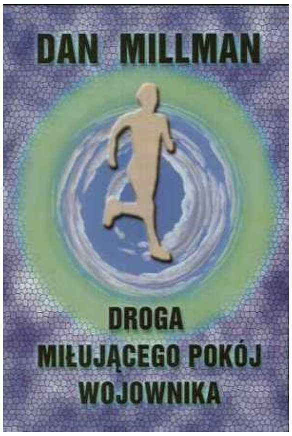
DAN MILLMAN

DROGA MIŁUJĄCEGO POKÓJ WOJOWNIKA

(Way of the Peaceful Warrior / wyd. orygin. 1994)



SPIS TREŚCI:

Podziękowania

Starożytne powiedzenie mówi: “Nie mamy przyjaciół i nie mamy wrogów. Mamy jedynie nauczycieli." W moim życiu miałem szczęście poznać wielu nauczycieli i przewodników, z których każdy na swój własny sposób przyczynił się do napisania tej książki.

Miłość moich rodziców, Vivian i Hermana Millmanów, i ich wiara we mnie dały mi odwagę, aby wkroczyć na Drogę.

Moja pierwsza redaktorka, Janice Gallagher, zadawała pytania i podsuwała sugestie pomocne w nadaniu ostatecznego kształtu tej książce.

Dziękuję szczególnie Halowi Kramerowi, któremu niezawodny instynkt wydawcy kazał podjąć ryzyko wydania tej książki.

W końcu wyrażam ogromną wdzięczność Joy – mojej żonie, towarzyszce, przyjaciółce i nauczycielce, która przez cały czas wspierała mojego ducha.

I, oczywiście, Sokratesowi!

Przedmowa

Na początku grudnia 1966, podczas trzeciego roku moich studiów na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley przeżyłem serię niesamowitych wydarzeń. Wszystko to zaczęło się dwadzieścia po trzeciej nad ranem na czynnej przez całą dobę stacji benzynowej. Wówczas to po raz pierwszy natknąłem się na Sokratesa. (Nie podał swojego prawdziwego nazwiska, lecz ja, po spędzeniu z nim kilku godzin owej nocy, pod wpływem impulsu nazwałem go imieniem starożytnego greckiego mędrca. Spodobało mu się to imię, więc tak już zostało.) To przypadkowe spotkanie i wszystkie zdarzenia, które po nim nastąpiły, całkowicie odmieniły moje życie.

Lata poprzedzające rok 1966 były dla mnie czasem radosnym. Wzrastałem w bezpiecznym środowisku, wychowywany przez kochających rodziców. Dzięki temu mogłem później w Londynie zdobyć Mistrzostwo Świata w gimnastyce akrobatycznej, podróżować po całej Europie i otrzymywać liczne dowody uznania. Życie przynosiło mi nagrody, lecz nie dawało ani trwałego spokoju, ani satysfakcji.

Teraz wiem, że w pewnym sensie, przez wszystkie te lata spałem i tylko śniłem, że żyję na jawie – do czasu spotkania Sokratesa, który został moim mentorem i przyjacielem. Zawsze sądziłem, że mam prawo do życia pełnego radości i mądrości, i że z czasem automatycznie zostanę nimi obdarowany. Nigdy jednak nie podejrzewałem, że będę musiał nauczyć się jak żyć – że istnieją pewne szczególne dziedziny i sposoby widzenia świata, które trzeba poznać, zanim będzie można przebudzić się do prostego, szczęśliwego i nieskomplikowanego życia.

Sokrates pokazał mi błędy w moim podejściu do życia, przeciwstawiając je swojej drodze – Drodze Miłującego Pokój Wojownika. Nieustannie żartował sobie z mojego poważnego, pełnego trosk i problemów życia. Robił to tak długo, aż zacząłem widzieć świat jego oczami – oczami mądrości, współczucia i humoru. Nie poddał się, dopóki nie odkryłem, co znaczy żyć jak wojownik.

Często przesiadywałem z nim do rana, słuchając go, dyskutując z nim i – wbrew sobie – wtórując mu śmiechem. Książka ta, choć opisuje moją własną historię, jest powieścią. Człowiek, którego nazwałem Sokratesem, istniał naprawdę. Miał jednak taki sposób stapiania się ze światem, że czasem trudno było powiedzieć kiedy odszedł i kiedy na jego miejscu pojawili się inni nauczyciele i zaczęły się inne doświadczenia w życiu. Pozwoliłem sobie na swobodę w przedstawianiu dialogów i kolejności zdarzeń. Posłużyłem się też w opowieści anegdotami i metaforami, aby podkreślić te lekcje, które Sokrates chciał przekazać.

Życie nie jest sprawą prywatną. Historia życia człowieka i lekcje z niej wynikające są użyteczne tylko wtedy, kiedy dzieli się je z innymi. Dlatego też zdecydowałem się uczcić mojego nauczyciela i podzielić się z Wami jego przenikliwą mądrością i humorem.

Wojownicy, wojownicy, tak siebie nazywamy. Walczymy o doskonałą cnotę, o to, co wielkie, o najwyższą mądrość, dlatego nazywamy siebie wojownikami, Aunguttara Nikaya.

Stacja benzynowa przy Rainbow's End

Rozpoczynam życie, pomyślałem, machając na pożegnanie matce i ojcu, gdy ruszyłem sprzed domu niezawodnym, starym valiantem. Wnętrze wyblakłego, białego samochodu wypchane było całym moim dobytkiem przygotowanym na pierwszy rok studiów. Czułem się silny, niezależny, gotowy na wszystko.

Podśpiewując sobie w rytm muzyki płynącej z radia, mknąłem na północ autostradami Los Angeles, potem przeciąłem Grapevine i wjechałem na drogę nr 99, która z kolei poprowadziła mnie przez zielone rolnicze równiny, rozciągające się aż do podnóży gór San Gabriel.

Tuż przed zmrokiem, gdy krętymi drogami zjeżdżałem ze wzgórz Oakland, ujrzałem skrzącą się zatokę San Francisco. Moje podniecenie rosło w miarę jak zbliżałem się do miasteczka uniwersyteckiego w Berkeley.

Znalazłem dom akademicki, rozpakowałem się i stanąłem na chwilę przed oknem, by popatrzeć na most Golden Gate i migoczące w ciemności światła San Francisco.

Pięć minut później spacerowałem już po Telegraph Avenue, oglądałem wystawy sklepowe i oddychałem świeżym powietrzem Północnej Kalifornii, rozkoszując się zapachami płynącymi z małych kawiarenek. Oczarowany, do późnej nocy przechadzałem się po malowniczych alejkach miasteczka uniwersyteckiego.

Następnego ranka, zaraz po śniadaniu, zszedłem na salę gimnastyczną Harmona. Miałem tam trenować sześć razy w tygodniu, ćwiczyć mięśnie, robić salta i pocić się całymi godzinami w pościgu za marzeniami o mistrzostwie.

Minęły zaledwie dwa dni, a już tonąłem w morzu ludzi, referatów i rozkładów zajęć. Kolejne miesiące były do siebie podobne, mijały i zmieniały się niezauważalnie, jak łagodne kalifornijskie pory roku. Na wykładach ledwie wytrzymywałem, za to na sali gimnastycznej – rozkwitałem. Kiedyś pewien przyjaciel powiedział mi, że jestem urodzonym akrobatą. Niewątpliwie wyglądałem na takiego: równo obcięte, krótkie, ciemne włosy, wysmukłe, muskularne ciało. Zawsze miałem skłonności do akrobacji, już jako dziecko lubiłem bawić się balansując na granicy lęku. Sala gimnastyczna stała się moim sanktuarium, w którym doznawałem dreszczu emocji i najwyższej satysfakcji, w którym podejmowałem nieustanne wyzwanie.

W ciągu dwóch lat jako reprezentant Federacji Gimnastycznej Stanów Zjednoczonych byłem w Niemczech, Francji i Anglii. Zdobyłem Mistrzostwo Świata w ćwiczeniach na batucie. Moje trofea gimnastyczne piętrzyły się w kącie pokoju. Moje zdjęcie pojawiało się w Daily Califomian tak często, że ludzie zaczęli rozpoznawać mnie na ulicy, a moja sława wciąż rosła. Kobiety uśmiechały się do mnie. Susie, powabna, zawsze słodka przyjaciółka o krótkich blond włosach i uśmiechu jak z reklamy pasty do zębów coraz częściej składała mi miłosne wizyty. Nawet na studiach wszystko szło dobrze! Czułem, że świat leży u mych stóp.

Mimo to, wczesną jesienią 1966, podczas trzeciego roku studiów, zaczęło pojawiać się coś ciemnego i nieuchwytnego. Było to w okresie, gdy już wyniosłem się z akademika i wynajmowałem małą kawalerkę na tyłach domu właściciela posesji. Już wtedy, pomimo wszystkich moich osiągnięć, czułem rosnącą melancholię. Wkrótce w snach pojawiły się koszmary. Niemal co noc budziłem się zlany potem. Prawie zawsze sen był taki sam:

Idę ciemną ulicą. Nade mną w szarej, kłębiącej się mgle, majaczą wysokie budynki bez drzwi i okien.

W moim kierunku zmierza ogromna, spowita w czerń postać. Raczej czuję, niż widzę przerażające widmo: w śmiertelnej ciszy patrzy na mnie połyskująca biała czaszka z czarnymi oczodołami. Kościsty palec wskazuje na mnie. Widmo przywołuje mnie białą szponiastą dłonią. Drżę ze strachu.

Zza przerażającej, zakapturzonej postaci wyłania się siwy starzec. Ma spokojną, gładką twarz. Porusza się bezszelestnie. Czuję, że jest dla mnie jedyną szansą ucieczki przed upiorem. Starzec posiada moc, by mnie uratować, lecz ani on mnie nie widzi, ani ja nie mogę go zawołać.

Śmierć w czarnym kapturze drwi z mojego strachu. Obraca się w kierunku siwego mężczyzny, lecz on śmieje się jej w twarz. Patrzę oszołomiony. Śmierć wściekle sięga po niego. Starzec chwyta upiora za pelerynę, podrzuca w górę i ciska go w moją stronę.

Nagle Kostucha znika. Mężczyzna o lśniących, białych włosach patrzy na mnie i wyciąga ręce w geście powitania. Podchodzę do niego, potem “wchodzę" prosto w niego i rozpuszczam się w jego

ciele. Gdy spoglądam na siebie, widzę że okrywa mnie czarna szata. Unoszę ręce i widzę białe, sękate dłonie kościotrupa, składające się do modlitwy.

Zwykle po takim śnie budziłem się z krzykiem.

Pewnej nocy, na początku grudnia, leżałem w łóżku i słuchałem jak świszczę wiatr przeciskający się przez szparkę w oknie. Nie mogłem zasnąć, więc wstałem, wciągnąłem na siebie wypłowiałe Lewisy, koszulkę, buty oraz kurtkę i wyszedłem. Było pięć po trzeciej nad ranem.

Włóczyłem się bez celu wdychając wilgotne, chłodne powietrze. Spoglądałem na rozgwieżdżone niebo i wsłuchiwałem się w nieliczne dźwięki dobiegające z cichych ulic. Chłód sprawił, że poczułem głód, więc skierowałem się ku czynnej także w nocy stacji benzynowej, żeby kupić trochę ciasteczek i coś do picia. Szedłem szybko przez miasteczko z rękoma w kieszeniach. Po drodze mijałem uśpione domy, aż dotarłem do oświetlonej stacji. Była to jasna, rozświetlona oaza w ciemnym pustkowiu zamkniętych barów, sklepów i kin.

Obszedłem garaż przylegający do stacji i prawie wpadłem na człowieka, który siedział w ciemności na krześle opartym o pokrytą czerwonymi kafelkami ścianę budynku. Cofnąłem się przestraszony. Mężczyzna miał na sobie czerwoną, wełnianą czapkę, szare sztruksowe spodnie, białe skarpety i japonki. Wyglądało na to, że czuł się zupełnie dobrze w lekkiej wiatrówce, mimo że termometr na ścianie nad jego głową wskazywał trzy stopnie.

Nie patrząc na mnie mężczyzna powiedział silnym, niemal melodyjnym głosem:

– Wybacz, że cię przestraszyłem.

– Och, hm, w porządku. Czy dostanę wodę sodową, szefie?

– Jest tylko sok owocowy. I nie nazywaj mnie “szefem"!

Odwrócił się w moim kierunku i z półuśmiechem zdjął czapkę odkrywając lśniące, siwe włosy. Roześmiał się.

Ten śmiech! Przez chwilę wpatrywałem się w niego tępym wzrokiem. To był starzec z mojego snu! Wysoki, szczupły, pięćdziesięcio-, a może sześćdziesięcioletni, o siwych włosach i jasnej, bez zmarszczek twarzy. Mężczyzna roześmiał się ponownie. Pomimo zmieszania jakie mnie ogarnęło, znalazłem jakoś drogę do drzwi z napisem “Biuro" i pchnąłem je. Poczułem jakby w tym samym momencie otworzyły się inne drzwi prowadzące w zupełnie inny wymiar. Drżąc osunąłem się na starą sofę. Zastanawiałem się, co też mogłoby przez te drzwi wtargnąć w mój poukładany świat. Przerażenie, jakie czułem, zmieszane było z dziwną fascynacją, której nie potrafiłem pojąć. Siedziałem tak i oddychałem płytko, próbując odzyskać utracone poczucie rzeczywistości.

Rozejrzałem się po kantorze. Jakże bardzo pomieszczenie to różniło się od sterylności i wyposażenia innych stacji benzynowych. Sofa, na której siedziałem, przykryta była kolorowym, choć wypłowiałym meksykańskim kocem. Po mojej lewej stronie, tuż przy wyjściu, stała szafka ze starannie rozłożonymi pomocami turystycznymi: mapami, bezpiecznikami, okularami przeciwsłonecznymi, itd. Za małym ciemnobrązowym biurkiem z drewna orzechowego stało krzesło wyściełane brunatnym sztruksem. Drzwi z napisem “Pomieszczenie prywatne" strzegł pojemnik z wodą mineralną. Tuż obok mnie znajdowały się drugie drzwi, które prowadziły do garażu.

Najbardziej uderzała domowa atmosfera panująca w tym pomieszczeniu. Na podłodze leżał długi jasnożółty dywan, kończący się tuż przed wycieraczką przy wejściu. Kilka pejzaży dodawało barwy niedawno malowanym, białym ścianom. Delikatna poświata żarzących się lampek działała na mnie uspokajająco. Jej kontrast z jaskrawym oświetleniem jarzeniowym na zewnątrz był ogromny. Lecz przede wszystkim ten pokój dawał poczucie ciepła, bezpieczeństwa i ładu.

Skąd mogłem wtedy przypuszczać, że będzie to miejsce niebywałych przygód, magii, strachu i romantycznych przeżyć? Wówczas pomyślałem jedynie, że przydałby się tu kominek.

Wkrótce mój oddech uspokoił się, a myśli, choć jeszcze nie ucichły zupełnie, przestały przynajmniej wirować. Pomyślałem, że podobieństwo siwego mężczyzny do człowieka ze snu bez wątpienia jest przypadkowe. Z westchnieniem wstałem, zapiąłem kurtkę i wyszedłem na chłodne powietrze.

Starszy mężczyzna siedział w tym samym miejscu, co poprzednio. Gdy przechodziłem obok niego, raz jeszcze rzuciłem ukradkowe spojrzenie na jego twarz. Moją uwagę przykuł błysk w jego oczach. Miał takie oczy, jakich nigdy jeszcze nie widziałem. W pierwszej chwili wydawało mi się, że były pełne łez gotowych zaraz popłynąć. Potem łzy zmieniły się w migotanie, tak jakby oczy odbijały światło

gwiazd. Spojrzenie to wciągało mnie coraz głębiej, aż same gwiazdy stały się odbiciem jego oczu. Na chwilę straciłem poczucie czasu, nie widząc nic oprócz tych nieustępliwych, ciekawskich oczu dziecka.

Nie wiem jak długo tam stałem. Może trwało to tylko parę sekund, a może parę minut. Mogło też trwać dłużej. Z przerażeniem zacząłem uświadamiać sobie, gdzie jestem. Czułem się zupełnie wytrącony z równowagi. Mrucząc pod nosem “dobranoc", pośpiesznie skręciłem za róg budynku.

Gdy doszedłem do krawężnika, zatrzymałem się. Czułem mrowienie na karku. Wiedziałem, że starzec patrzy na mnie. Odwróciłem głowę. Nie mogło minąć więcej niż piętnaście sekund. On tam był, stał na dachu z założonymi rękoma, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo! Spojrzałem na puste krzesło ciągle oparte o ścianę, potem jeszcze raz w górę. To niemożliwe! Nawet gdybym zobaczył, że starzec zmienia koło w bajkowym powozie z dyni zaprzężonym w gigantyczne myszy, nie byłbym bardziej zaskoczony.

W ciszy nocnej, stojąc z zadartą głową, wpatrywałem się w jego wysmukłą sylwetkę, imponującą nawet z tej odległości. Słyszałem gwiazdy dzwoniące jak dzwonki na wietrze. Nagle mężczyzna poruszył głową i spojrzał mi prosto w oczy. Znajdował się około dwudziestu metrów ode mnie, a ja niemal czułem jego oddech na swojej twarzy. Drżałem, lecz nie z zimna. Te drzwi, za którymi rzeczywistość zamienia się w sen, otworzyły się ponownie.

Wpatrywałem się w niego.

– Tak? – spytał – Mogę ci w czymś pomóc? (Prorocze słowa!)

– Przepraszam, ale...

– Przeprosiny przyjęte – uśmiechnął się.

Czułem, że się czerwienię. Zaczynało mnie to irytować. Grał ze mną w jakąś grę, której reguł nie znałem.

– W porządku. Jak pan wszedł na dach?

– Wszedłem na dach? – spytał niewinnie i ze zdziwieniem.

– Tak. Jak pan przeniósł się z tego krzesła – wskazałem ręką – na dach w niecałe dwadzieścia sekund? Siedział pan oparty o ścianę, o tam. Odwróciłem się, podszedłem do rogu, a pan...

– Dokładnie wiem, co ja robiłem – zapewnił donośnym głosem. – Nie trzeba mi tego opisywać. Pytanie brzmi, czy ty wiesz, co robiłeś?

– Oczywiście, że wiem, co robiłem!

Teraz byłem już zły. Nie byłem dzieckiem, które można pouczać! Ale rozpaczliwie chciałem odkryć sztuczkę starca.

– Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak pan wszedł na dach? – poprosiłem grzecznie, tłumiąc złość.

Starzec w milczeniu po prostu patrzył na mnie z góry, aż poczułem dreszcz przebiegający po plecach.

– Po drabinie – odpowiedział w końcu. – Stoi z tyłu budynku. Potem ignorując mnie, ponownie skierował wzrok ku niebu. Poszedłem szybko na tył budynku. Rzeczywiście, stała tam stara drabina, oparta krzywo o ścianę. Ale szczyt drabiny kończył się przynajmniej półtora metra przed skrajem dachu. Nawet jeśli starzec posłużył się nią – co było bardzo wątpliwe – nie tłumaczyło to faktu wspięcia się tam w parę sekund.

Nagle w ciemności coś dotknęło mojego ramienia. Wystraszony, odwróciłem się gwałtownie. Zobaczyłem jego rękę. W jakiś sposób starzec zszedł z dachu i podszedł mnie od tyłu. Wtedy odgadłem jedyne możliwe rozwiązanie. Miał brata bliźniaka! Bez wątpienia robili sobie zabawę strasząc niewinnych gości. Natychmiast mu to zarzuciłem.

– W porządku, szanowny panie, gdzie twój brat bliźniak? Nie pozwolę robić z siebie durnia.

Zmarszczył lekko brwi, po czym ryknął śmiechem. Tak! Dał się złapać. Miałem rację! Nakryłem go. Ale jego odpowiedź zupełnie zbiła mnie z tropu.

– Czy myślisz, że gdybym miał brata bliźniaka, to traciłbym czas na stanie tutaj i rozmowę z “durniem"?

Zaśmiał się ponownie i odszedł w stronę garażu, pozostawiając mnie z szeroko otwartymi ustami. Nie mogłem uwierzyć, że ten facet był aż tak bezczelny.

Poszedłem szybko za nim. Wszedł do garażu i zaczął majstrować przy gaźniku pod maską starego, zielonego Forda pickupa.

– A więc jestem głupcem, tak? – powiedziałem bardziej wojowniczo, niż zamierzałem.

– Wszyscy jesteśmy głupcami – odpowiedział. – Jednak tylko niewielu o tym wie. Reszta nie jest tego świadoma. Wydaje się, że należysz do tej drugiej grupy. Mógłbyś mi podać ten mały klucz?

Wręczyłem mu ten przeklęty klucz i zacząłem się zbierać do wyjścia. Ale przed odejściem musiałem się dowiedzieć.

– Proszę, powiedz mi, w jaki sposób wszedłeś na dach tak szybko. Naprawdę jestem ciekaw.

– Świat jest zagadką – powiedział wręczając mi z powrotem klucz – Nie ma potrzeby doszukiwać się sensu. Będę teraz potrzebował młotka i śrubokrętu, są tam – wskazał na półkę wiszącą za mną.

Sfrustrowany, obserwowałem go przez chwilę, zastanawiając się, jak wyciągnąć od niego to, co chciałem wiedzieć. On jednak nie zwracał na mnie uwagi. W końcu zrezygnowałem i ruszyłem w kierunku drzwi.

– Nie odchodź – usłyszałem.

Nie prosił. Nie rozkazywał. Było to rzeczowe stwierdzenie. Spojrzałem na niego. Miał łagodne oczy.

– Dlaczego miałbym zostać?

– Mogę ci się przydać – powiedział, wyciągając zręcznie gaźnik niczym chirurg podczas transplantacji serca. Położył go ostrożnie i zwrócił się twarzą do mnie.

Wpatrywałem się w niego.

Trzymaj – powiedział wręczając mi gaźnik. – Rozkręć go i wsadź części do tej puszki, żeby namokły. Odwróci to twoją uwagę od pytań.

Moje zakłopotanie przeszło w śmiech. Ten stary potrafił być impertynencki, ale potrafił też być interesujący. Zdecydowałem, że będę uprzejmy.

– Mam na imię Dan – powiedziałem wyciągając do niego rękę i uśmiechając się nieszczerze. – A jak tobie na imię?

W mojej wyciągniętej dłoni umieścił śrubokręt.

– Moje imię nie ma znaczenia, tak samo jak i twoje. Istotne jest to, co leży poza imionami i pytaniami. A więc będziesz potrzebował śrubokrętu, żeby rozebrać ten gaźnik – wskazał.

– Nic nie leży poza pytaniami – powiedziałem. – A jednym z nich jest: w jaki sposób wleciałeś na ten dach?

– Nie wleciałem, wskoczyłem – odpowiedział z twarzą pokerzysty. To żadna magiczna sztuczka, więc nie rób sobie nadziei. Chociaż, być może w twoim przypadku, będę musiał wykonać parę bardzo trudnych sztuczek. Wygląda na to, że trzeba będzie zmienić osła w człowieka.

– Za kogo się, do diabła, uważasz, mówiąc mi takie rzeczy?

– Jestem wojownikiem! – odparł. – Poza tym, to kim jestem zależy od tego, kim ty chciałbyś, żebym był.

– Nie możesz po prostu odpowiedzieć na zwykłe pytanie? Z nienawiścią zaatakowałem gaźnik.

– Zadaj jakieś, a ja spróbuję – powiedział uśmiechając się niewinnie.

Śrubokręt wyślizgnął mi się z ręki kalecząc palec.

– Do diabła! – wrzasnąłem i poszedłem przemyć ranę nad zlewem.

Starzec wręczył mi opatrunek. Postanowiłem być cierpliwy.

– A więc w porządku. Oto proste pytanie: Jak możesz mi się przydać?

– Już ci się przydałem – odpowiedział, wskazując bandaż na moim palcu.

Miałem tego dosyć.

– Słuchaj, nie mam zamiaru tracić tu więcej czasu. Muszę trochę pospać.

Odłożyłem gaźnik szykując się do wyjścia.

– Skąd wiesz, że nie spałeś przez całe swoje życie? Skąd wiesz, że teraz nie śpisz? – zaczął z błyskiem w oku.

– Jak wolisz – byłem zbyt zmęczony, aby się sprzeczać. – Jeszcze tylko jedna sprawa, zanim odejdę. Czy powiesz mi, jak dokonałeś tej swojej sztuczki?

Podszedł do mnie i mocno uścisnął mi rękę.

– Jutro, Dan, jutro.

Uśmiechnął się ciepło i natychmiast cały mój lęk i zakłopotanie zniknęły. Poczułem mrowienie w ramieniu, w barku, a potem w całym ciele.

– Miło było znowu ciebie zobaczyć – dodał.

– Co masz na myśli mówiąc “znowu" – zacząłem i połapałem się. – Wiem, jutro, jutro.

Obaj roześmialiśmy się. Podszedłem do drzwi i zatrzymałem się. Spojrzałem na niego.

– Do widzenia, Sokratesie – powiedziałem.

Spojrzał na mnie zdziwiony i dobrodusznie wzruszył ramionami. Myślę, że spodobało mu się to imię. Wyszedłem, nie mówiąc już ani słowa.

Przespałem wykład o ósmej rano. Ale na popołudniowym treningu byłem już całkiem rozbudzony i gotowy do pracy.

Razem z Rickiem, Sidem i innymi kolegami z grupy, przebiegliśmy schody w górę i w dół, a potem spoceni i zdyszani, leżeliśmy na podłodze, rozciągając mięśnie nóg, barków i pleców. Zazwyczaj nie rozmawiałem podczas tego rytuału, ale dziś miałem ochotę opowiedzieć im o tym, co zdarzyło się zeszłej nocy.

– Wczoraj w nocy na stacji benzynowej spotkałem niezwykłego faceta.

I tylko tyle potrafiłem powiedzieć.

Moi przyjaciele byli bardziej zajęci bólem nóg przy rozciąganiu, niż słuchaniem moich historyjek.

Rozgrzaliśmy się szybko robiąc kilka pompek w staniu na rękach, trochę przysiadów i podciągnięć nóg, po czym zaczęliśmy sesję akrobatyczną. Przez cały czas, gdy raz za razem śmigałem w powietrzu, robiłem obroty na wysokim drążku, przemachy nożycowe na koniu z łękami i gdy zmagałem się z nową, męczącą serią ćwiczeń na kółkach, myślałem o tajemniczych wyczynach człowieka, którego nazwałem “Sokratesem". Moje zranione uczucia sprawiały, że odsuwałem myśli o nim, jednak potrzeba odkrycia kim był ten zagadkowy osobnik była silniejsza.

Po kolacji szybko przejrzałem tematy z historii i psychologii, napisałem na brudno pracę z angielskiego i wybiegłem z mieszkania. Była dwudziesta trzecia. W miarę jak zbliżałem się do stacji, zaczęły ogarniać mnie wątpliwości. Czy on naprawdę chciał się znowu ze mną spotkać? Co mógłbym powiedzieć, żeby mu zaimponować i przedstawić się jako ktoś bardzo inteligentny?

Był na miejscu. Stał w drzwiach. Ukłonił się i ruchem ręki zaprosił mnie do kantoru.

– Zdejmij, proszę, buty. To taki mój zwyczaj.

Usiadłem na sofie i postawiłem buty w pobliżu, na wypadek gdybym chciał się szybko wynieść. Wciąż nie ufałem temu tajemniczemu obcemu.

Na zewnątrz zaczynało padać. Kolorowe i ciepłe wnętrze przyjemnie kontrastowało z ciemnością nocy i ponurymi chmurami. Poczułem się swobodnie.

– Wiesz, Sokratesie, mam wrażenie jakbym spotkał cię już wcześniej – powiedziałem odchylając się do tyłu.

– Spotkałeś – odpowiedział, ponownie otwierając w moim umyśle drzwi, za którymi sny i rzeczywistość stawały się jednym. Zamyśliłem się.

– Och, Sokratesie, miewam taki sen, w którym się pojawiasz. Obserwowałem go uważnie, ale jego twarz nie zdradzała niczego szczególnego.

– Bywam w snach wielu ludzi, tak zresztą, jak i ty. Opowiedz mi o swoim śnie – uśmiechnął się.

– Opowiedziałem mu ze szczegółami wszystko, co pamiętałem. Kiedy przerażające sceny pojawiły się w moim umyśle, pokój jakby pociemniał, a znany mi świat zaczął się oddalać.

– Tak, to bardzo dobry sen – powiedział, kiedy skończyłem.

Zanim zdążyłem spytać, co miał na myśli, dwukrotnie zadzwonił dzwonek. Sokrates włożył poncho i wyszedł na zewnątrz, w mokrą noc. Obserwowałem go wyglądając przez okno.

Panował duży ruch – gorączka piątkowego wieczoru. Wszystkim się spieszyło. Klienci podjeżdżali jeden za drugim. Czułem się głupio siedząc tak bezczynnie, więc wyszedłem, żeby mu pomóc, ale on zdawał się mnie nie zauważać.

Powitała mnie nie kończąca się kolejka samochodów: dwukolorowych, czerwonych, zielonych, czarnych, kabrioletów, furgonetek i wozów sportowych. Nastroje klientów były tak różne, jak ich samochody. Chyba tylko jedna lub dwie osoby znały Sokratesa, ale wielu ludzi zerkało na niego powtórnie, jakby zauważając w nim coś dziwnego, ale trudnego do określenia.

Obsługiwaliśmy klientów. Niektórzy z nich byli skorzy do zabawy, śmiali się głośno i puszczali radio na cały regulator. Sokrates śmiał się razem z nimi. Paru ponurych klientów było szczególnie niesympatycznych, lecz Sokrates traktował wszystkich jednakowo uprzejmie – jak gdyby każdy był jego osobistym gościem.

Po północy klienci pojawiali się rzadziej. Po godzinach wypełnionych ochrypłymi głosami, hałasem i ruchem, zimne powietrze wydawało się trwać w nienaturalnym bezruchu. Gdy weszliśmy do kantoru, Sokrates podziękował mi za pomoc. Wzruszyłem ramionami, ale było mi miło, że to zauważył. Pierwszy raz od długiego czasu komuś pomogłem.

Kiedy znaleźliśmy się w ciepłym kantorze, przypomniałem sobie naszą niedokończoną rozmowę. Gdy tylko opadłem na sofę, zacząłem mówić.

– Sokratesie, mam parę pytań.

Wzniósł ręce w geście modlitwy, patrząc w kierunku sufitu, jakby prosząc o boskie przewodnictwo lub anielską cierpliwość.

– Jakie – westchnął – są te twoje pytania?

– Dobrze. Nadal chcę wiedzieć jak przeniosłeś się wtedy na dach i dlaczego powiedziałeś: “Miło mi znowu ciebie widzieć." Chcę też wiedzieć, co mogę zrobić dla ciebie i w czym ty możesz mi być pomocny. I chcę wiedzieć ile masz lat.

– Zacznijmy więc od najprostszego. Mam dziewięćdziesiąt sześć lat według twojego czasu.

Nie miał dziewięćdziesięciu sześciu lat. Może pięćdziesiąt sześć, a co najwyżej sześćdziesiąt sześć. Siedemdziesiąt sześć, to jeszcze możliwe, choć byłoby zdumiewające. Ale dziewięćdziesiąt sześć? Kłamał – ale po co miałby to robić? Musiałem się też czegoś dowiedzieć o tej drugiej sprawie, która mu się wymknęła.

– Sokratesie, co masz na myśli mówiąc “twojego czasu"? Żyjesz w Czasie Wschodnim, a może jesteś – żartowałem słabo – z kosmosu?

– Czyż każdy z nas nie jest stamtąd? – odpowiedział pytaniem. Już wcześniej zacząłem brać pod uwagę taką możliwość.

– Nadal jednak chciałbym wiedzieć, co możemy dla siebie nawzajem zrobić.

– Po prostu: ja nie mam nic przeciwko temu, aby mieć ostatniego już ucznia, a tobie, rzecz jasna, przydałby się nauczyciel.

– Mam dosyć nauczycieli – powiedziałem chyba zbyt szybko.

– Och, naprawdę? – przerwał. – To, czy masz odpowiedniego nauczyciela, czy też nie, zależy od tego, czego chcesz się nauczyć. – Sokrates wstał lekko z krzesła i podszedł do drzwi. – Chodź ze mną. Chcę ci coś pokazać.

Podeszliśmy do miejsca, skąd mogliśmy spojrzeć w dół alei na migoczącą neonami dzielnicę handlową, i dalej, na światła San Francisco.

– Ten świat – powiedział Sokrates przesuwając ręką wzdłuż horyzontu – jest szkołą, Dan. Życie jest jedynym prawdziwym nauczycielem. Oferuje wiele doświadczeń, lecz gdyby samo doświadczenie przynosiło mądrość i spełnienie, wtedy wszyscy starsi ludzie byliby szczęśliwymi, oświeconymi mistrzami. Tymczasem lekcje doświadczenia są ukryte. Mogę pomóc ci uczyć się z doświadczeń, abyś mógł ujrzeć świat wyraźnie. Jasność jest czymś, czego właśnie teraz rozpaczliwie potrzebujesz. Twoja intuicja mówi ci, że to prawda, ale twój umysł się buntuje. Doświadczyłeś wiele, ale nauczyłeś się mało.

– Nie wiem, czy tak jest, Sokratesie, to znaczy, nie posuwałbym się aż tak daleko.

– Nie, Dan, nie wiesz jeszcze o tym, ale będziesz wiedział. I zajdziesz daleko, a nawet jeszcze dalej. Zapewniam cię.

Wróciliśmy do kantoru w chwili, gdy podjechała lśniąca, czerwona toyota. Sokrates podjął rozmowę otwierając zbiornik paliwa.

– Jak większość ludzi nauczyłeś się zbierać informacje spoza siebie, z książek, gazet, od ekspertów – wetknął dyszę węża do zbiornika. – Tak jak ten samochód, otwierasz się i pozwalasz faktom wlewać się. Czasami informacja jest wysoko, a czasem niskooktanowa. Nabywasz swoją wiedzę po aktualnej cenie, tak jak kupujesz benzynę.

– Hej, dzięki za przypomnienie. Termin zapłaty za następny semestr mija za dwa dni!

Sokrates tylko kiwnął głową i dalej napełniał paliwem zbiornik samochodu klienta. Choć zbiornik był już napełniony, Sokrates nadal pompował benzynę, aż paliwo zaczęło przelewać się i wyciekać na ziemię. Struga benzyny popłynęła wzdłuż chodnika.

– Sokratesie! Zbiornik jest pełen. Uważaj co robisz!

Nie zwracając na mnie uwagi, pozwolił benzynie płynąć.

– Dan, przepełniasz się informacjami tak samo jak ten zbiornik – mówił. – Jesteś pełen bezużytecznej wiedzy. Masz w sobie wiele faktów i opinii, jednakże o sobie samym wiesz mało. Zanim zaczniesz się uczyć, będziesz musiał najpierw opróżnić swój zbiornik.

Uśmiechnął się do mnie, mrugnął i wyłączył pompę.

– Mógłbyś posprzątać ten bałagan? – zapytał.

Odniosłem wrażenie, że miał na myśli coś więcej niż rozlaną benzynę. Pośpiesznie zmyłem chodnik wodą. Sokrates wziął od kierowcy pieniądze i z uśmiechem wydał mu resztę. Wróciliśmy do kantoru i rozsiedliśmy się wygodnie.

– Co zamierzasz robić? Chcesz napełniać mnie swoimi faktami? – najeżyłem się.

– Nie, nie zamierzam obciążać cię jeszcze większą ilością faktów. Zamierzam pokazać ci “mądrość ciała". Wszystko to, czego możesz kiedykolwiek potrzebować, jest w tobie. Tajemnice wszechświata odciśnięte są w komórkach twojego ciała. Ale ty nie doznałeś takiej wewnętrznej wizji – nie wiesz, jak słuchać własnego ciała. Uciekasz się jedynie do czytania książek i słuchania ekspertów, i masz nadzieję, że mają rację. Kiedy poznasz mądrość ciała, będziesz Nauczycielem pośród nauczycieli.

Z trudem powstrzymywałem złośliwy uśmieszek. Ten pracownik stacji benzynowej oskarżał moich profesorów o ignorancję i sugerował, że moja akademicka edukacja nie ma sensu!

– Och, jasne, Sokratesie, wiem o co ci chodzi, z tą “mądrością ciała", ale nie kupuję tego.

– Rozumiesz wiele rzeczy – powoli pokręcił głową – ale praktycznie nie uświadamiasz sobie niczego.

– A to co ma znaczyć?

– Rozumienie jest jednopłaszczyznowe. Jest to pojmowanie intelektem. Prowadzi do wiedzy, jaką teraz posiadasz. Z kolei uświadamianie sobie jest trójpłaszczyznowe. Jest równoczesnym zrozumieniem “całym ciałem" – głową, sercem i zmysłami. Zdobywa się je tylko poprzez czyste doświadczenie.

– Nadal nie wiem o co ci chodzi.

– Pamiętasz kiedy po raz pierwszy nauczyłeś się prowadzić samochód? Przedtem, gdy byłeś pasażerem, jedynie rozumiałeś jak się prowadzi samochód. Ale uświadomiłeś to sobie dopiero wtedy, kiedy zrobiłeś to po raz pierwszy.

– Zgadza się! – powiedziałem – Pamiętam to uczucie. A więc o to ci chodzi!

– Właśnie! Ten przykład idealnie opisuje doświadczenie uświadomienia sobie czegoś. Pewnego dnia powiesz to samo o swoim życiu.

Przez moment siedziałem cicho.

– Nadal mi nie wyjaśniłeś co to jest ta “mądrość ciała" – palnąłem.

– Choć ze mną – skinął na mnie Sokrates zmierzając w kierunku drzwi z napisem “Pomieszczenie prywatne".

Wewnątrz panowała całkowita ciemność. Nieco się przestraszyłem, lecz po chwili lęk ustąpił miejsca ciekawości. Miałem poznać pierwszy prawdziwy sekret: mądrość ciała.

Rozbłysło światło. Byliśmy w toalecie, a Sokrates sikał głośno do muszli klozetowej.

– To – powiedział dumnie – jest mądrość ciała.

Jego śmiech odbijał się echem od wyłożonych kafelkami ścian. Wyszedłem, usiadłem na sofie i wlepiłem wzrok w dywan.

– Sokratesie, ciągle chcę wiedzieć... – zacząłem mówić, gdy wrócił z łazienki.

– Jeżeli zamierzasz nazywać mnie Sokratesem – przerwał – to przynajmniej uszanuj to imię, pozwól czasem mi zadawać pytania i odpowiedz na nie. Co ty na to?

– W porządku! – odpowiedziałem – Zadałeś właśnie pytanie, a ja na nie odpowiedziałem. Teraz moja kolej. Chcę wiedzieć, co to za trik owo latanie zeszłej nocy...

– Uparciuch z ciebie, co?

– Zgadza się. Bez uporu nie byłbym dzisiaj tu, gdzie jestem. To kolejne pytanie, na które dostałeś prostą odpowiedź. Czy teraz możemy zająć się moimi pytaniami?

– A gdzie właściwie jesteś dzisiaj, teraz? – zapytał ignorując mnie.

Z ochotą zacząłem mu opowiadać o sobie. Jednak zauważyłem, że znowu odszedłem od interesujących mnie pytań. Mimo to, opowiedziałem o swojej dalszej i bliższej przeszłości i o moich niewytłumaczalnych depresjach. Słuchał cierpliwie, w skupieniu, jakby miał do dyspozycji bezmiar wolnego czasu. Zanim skończyłem, minęło parę godzin.

– Bardzo dobrze – powiedział. – Ale nadal nie odpowiedziałeś mi gdzie jesteś.

– Owszem, powiedziałem, pamiętasz? Powiedziałem ci, jak doszedłem do miejsca, w którym dzisiaj jestem: ciężką pracą.

– Gdzie jesteś?

– Co znaczy, gdzie jestem?

– Gdzie jesteś? – powtórzył łagodnie.

– Tutaj.

– Gdzie jest tutaj?

– W tym kantorze, na tej stacji benzynowej! – zaczynała mnie niecierpliwić ta zabawa.

– Gdzie jest ta stacja?

– W Berkeley.

– Gdzie jest Berkeley?

– W Kalifornii.

– Gdzie jest Kalifornia?

– W Stanach Zjednoczonych.

– Gdzie są Stany Zjednoczone?

– Na jednym z kontynentów półkuli zachodniej. Sokrates, ja...

– Gdzie są kontynenty?

– Na Ziemi – westchnąłem. – Skończyłeś?

– Gdzie jest Ziemia?

– W Systemie Słonecznym. Trzecia planeta od Słońca. Słońce jest małą gwiazdą w galaktyce zwanej Drogą Mleczną, zgadza się?

– Gdzie jest Droga Mleczna?

– O, bracie – westchnąłem niecierpliwie, wznosząc oczy ku niebu. – We Wszechświecie.

Usiadłem głębiej i skrzyżowałem ręce na piersiach na znak, że skończyłem.

– A gdzie – Sokrates uśmiechnął się – jest Wszechświat?

– Wszechświat jest, hm, są teorie o tym, jak jest zbudowany...

– Nie o to pytałem. Gdzie on jest?

– Nie wiem. Jak mam ci na to odpowiedzieć?

– I o to chodzi. Nie potrafisz odpowiedzieć na to pytanie i nigdy nie będziesz potrafił. Tego nie można wiedzieć. Nie masz pojęcia, gdzie jest Wszechświat, a tym samym nie wiesz, gdzie jesteś. W rzeczywistości nie wiesz, gdzie jest cokolwiek, ani też nie wiesz, co czym jest lub skąd się wzięło. To tajemnica. Moja ignorancja, Dan, bazuje na zrozumieniu tego faktu. Natomiast twoje rozumienie bazuje na ignorancji. Ja jestem durniem z poczuciem humoru, ty jesteś poważnym osłem.

– Słuchaj – powiedziałem – są pewne rzeczy, które powinieneś o mnie wiedzieć. Po pierwsze: jestem już w pewnym sensie wojownikiem. Jestem, mianowicie, cholernie dobrym gimnastykiem.

Aby podkreślić to, co właśnie powiedziałem i pokazać mu, że potrafię być spontaniczny, zerwałem się z sofy i wykonałem salto w tył z pozycji stojącej, z wdziękiem lądując na dywanie.

– Hej! – powiedział – to wspaniałe. Zrób to jeszcze raz!

– Dobra. To nie jest aż takie nadzwyczajne. Właściwie to dla mnie drobnostka.

Starałem się jak mogłem, żeby to nie brzmiało protekq'onalnie, ale nie byłem w stanie powstrzymać dumnego uśmiechu. Przywykłem do pokazywania podobnych sztuczek dzieciakom na plaży i w parku. One też zawsze chciały widzieć to jeszcze raz.

– W porządku, Sokratesie, patrz uważnie.

Poderwałem ciało w górę i miałem właśnie wykonać obrót, kiedy ktoś lub coś podrzuciło mnie w powietrze. Wylądowałem biodrem na sofie. Meksykański koc leżący na oparciu sofy zawinął się wokół mnie i zakrył całkowicie. Szybko wystawiłem spod niego głowę i spojrzałem na Sokratesa. Nadal siedział na swoim krześle w przeciwległym rogu pokoju, cztery metry ode mnie i uśmiechał się figlarnie.

– Jak to zrobiłeś? – byłem zupełnie zmieszany, a on patrzył na mnie niewinnym wzrokiem.

– Podobał ci się lot? – zapytał. – Chcesz to zobaczyć jeszcze raz? – dodał. – Chyba nie martwi cię ten mały poślizg, Dan? Nawet taki wielki wojownik jak ty może czasem zostać ośmieszony.

Wstałem oszołomiony i poprawiłem koc układając go po staremu. Musiałem zrobić coś z rękoma. Potrzebowałem czasu na zastanowienie. Jak on to zrobił? Kolejne pytanie, które pozostanie bez odpowiedzi.

Sokrates wyszedł cicho, by zatankować półciężarówkę pełną domowego dobytku. Kolejny podróżnik, któremu ten człowiek doda otuchy w jego wędrówce, pomyślałem. Potem zamknąłem oczy i rozważałem wyczyny Sokratesa, które z pozoru zaprzeczały prawom natury, a przynajmniej zdrowemu rozsądkowi.

– Miałbyś ochotę poznać parę tajemnic? – Nawet nie usłyszałem jak wszedł. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na swoim krześle.

Ja również skrzyżowałem nogi i pochyliłem się do przodu, pragnąc usłyszeć coś jeszcze. Źle oceniwszy miękkość sofy wychyliłem się trochę za bardzo i straciłem równowagę. Zanim zdołałem uwolnić nogi, leżałem jak długi na dywanie.

Sokrates wybuchnął śmiechem. Wstałem szybko i usiadłem sztywno. Za to on na widok mojej kamiennej twarzy nie posiadał się z radości. Przyzwyczajony raczej do aplauzu niż wyśmiewania, czując wstyd i wściekłość, zerwałem się na równe nogi. Sokrates momentalnie spoważniał. Jego twarz i głos tchnęły autorytetem.

– Siadaj – rozkazał wskazując na sofę. Usiadłem. – Pytałem cię, czy chcesz poznać pewną tajemnicę.

– Chcę – tę o dachach.

– Ty wybierasz czy chcesz poznać tajemnicę, czy też nie. Ja wybieram, co to za tajemnica.

– Dlaczego zawsze mam stosować się do twoich reguł?

– Bo to moja stacja – powiedział Sokrates przesadnie opryskliwie, prawdopodobnie nadal pokpiwając sobie ze mnie. – Teraz uważaj. A nawiasem mówiąc, czy siedzisz wygodnie i, hm... stabilnie? – mrugnął do mnie.

Zacisnąłem tylko zęby.

– Dan, są miejsca, które chciałbym ci pokazać i historie, które chciałbym opowiedzieć. Mam tajemnice do ujawnienia. Ale zanim zaczniemy tę podróż razem, musisz zrozumieć, że wartość tajemnicy leży nie w tym, co wiesz, ale w tym, co z tym zrobisz.

Wziął z półki stary słownik i trzymał go przed sobą w powietrzu.

– Używaj wiedzy jakiej tylko chcesz, ale dostrzegaj jej ograniczenia. Sama wiedza nie wystarcza – nie ma w niej serca. Żadna ilość wiedzy nigdy nie nakarmi, nie nasyci twojego ducha. Nie przyniesie ci najwyższego szczęścia ani spokoju. Życie wymaga czegoś więcej niż tylko samej wiedzy – wymaga intensywnych uczuć i ciągłej energii. By wiedza ożyła, trzeba właściwego działania.

– Wiem o tym, Sokratesie.

– To jest właśnie twój problem – wiesz, ale nie działasz. Nie jesteś wojownikiem.

– Sokratesie, po prostu nie mogę w to uwierzyć. Wiem, że gdy rzeczywiście rośnie napięcie, potrafię czasami działać jak wojownik – powinieneś zobaczyć mnie na sali gimnastycznej!

– Przyznaję, być może rzeczywiście czasami osiągasz stan umysłu wojownika – jesteś wtedy zdecydowany, giętki, pewny i wolny od wątpliwości. Potrafisz uczynić ciało ciałem wojownika: gibkim, prężnym, wrażliwym, wypełnionym energią. W rzadkich momentach możesz nawet mieć serce wojownika, kochając wszystko i wszystkich, którzy pojawią się przy tobie. Ale te cechy są w tobie podzielone. Brak ci integracji. Moim zadaniem jest poskładać cię od nowa.

– Sokratesie, zaczekaj chwilkę, do cholery. Choć nie wątpię, że posiadasz jakieś niezwykłe talenty i lubisz otaczać się aurą tajemniczości, nie widzę w jaki sposób ty miałbyś niby poskładać mnie z powrotem. Spójrzmy na sytuację: Ja jestem studentem uniwersytetu, a ty – mechanikiem samochodowym. Ja jestem mistrzem świata, ty – majstrujesz w garażu, robisz herbatę i czekasz, aż przyjdzie jakiś biedny dureń, którego mógłbyś nastraszyć. Może to ja mógłbym pomóc tobie poskładać się od nowa.

Nie za bardzo wiedziałem, co mówię, ale czułem się dobrze.

Sokrates śmiał się tylko i potrząsał głową, jakby nie całkiem wierzył w to, co mówię. Potem podszedł do mnie i uklęknął przede mną.

– Ty chcesz poskładać mnie od nowa? – zapytał. – Być może pewnego dnia będziesz miał tę szansę. Ale na razie, powinieneś zrozumieć różnicę pomiędzy nami. – Szturchnął mnie w żebra, potem szturchnął mnie jeszcze raz i jeszcze, mówiąc: – Wojownik działa...

– Do diabła, przestań! – wrzasnąłem. – Działasz mi na nerwy!

– ...a głupiec tylko reaguje.

– Więc dobrze. Czego oczekujesz?

– Szturcham ciebie, a ty się irytujesz. Obrażam cię, a ty unosisz się dumą i reagujesz gniewem. Ja ślizgam się na skórce od banana, a...

Zrobił dwa kroki do tyłu i poślizgnął się lądując z łoskotem na dywanie. Nie mogąc się powstrzymać, ryknąłem śmiechem. Usiadł na podłodze i zwrócił się w moją stronę.

– Twoje uczucia i reakcje, Dan – dodał na koniec – są automatyczne i łatwe do przewidzenia. Moje takie nie są. Ja swoje życie tworzę spontanicznie, twoje życie jest uwarunkowane twoją przeszłością.

– Skąd możesz wiedzieć aż tyle o mnie, o mojej przeszłości?

– Ponieważ obserwuję cię od lat.

– Pewnie, że tak – powiedziałem, czekając na żart. Żart nie nastąpił.

Zrobiło się późno, a ja miałem tak wiele do przemyślenia. Czułem, że to nowe wyzwanie przytłacza mnie. Nie byłem pewien, czy mu podołam. Sokrates wszedł, wytarł ręce i napełnił swój kubek wodą mineralną.

– Muszę już iść – powiedziałem, kiedy powoli pił. – Jest późno, a muszę jeszcze przygotować się do ważnych zajęć.

Sokrates milczał. Wstałem i założyłem kurtkę. Dopiero gdy byłem już przy drzwiach, przemówił powoli i uważnie. Każde słowo było jak delikatne uderzenie w policzek.

– Jeżeli chcesz mieć choć szansę, by zostać wojownikiem, to lepiej raz jeszcze rozważ swoje “ważności". W tym momencie masz inteligencję osła. Twój duch to kupa sentymentalnych bzdur. Rzeczywiście, masz mnóstwo ważnej pracy do zrobienia, ale w innej klasie niż to sobie wyobrażasz.

Wbiłem wzrok w podłogę. Potem przelotnie spojrzałem na jego twarz, ale nie byłem w stanie popatrzeć mu prosto w oczy. Odwróciłem głowę.

– Aby przeżyć lekcje, które cię czekają – kontynuował – będziesz potrzebował o wiele więcej energii niż kiedykolwiek wcześniej. Musisz oczyścić ciało z napięcia, uwolnić umysł z zastałej wiedzy i otworzyć serce na energie prawdziwych uczuć.

– Sokratesie, pozwól że przedstawię ci mój rozkład zajęć. Chcę abyś zrozumiał, jak bardzo jestem zajęty. Chciałbym odwiedzać cię często, ale mam tak mało wolnego czasu.

Popatrzył na mnie smutnym wzrokiem.

– Masz nawet mniej czasu niż mógłbyś to sobie wyobrazić.

– Co masz na myśli? – aż mi zaparło dech w piersiach.

– To nie ma teraz znaczenia – powiedział. – Mów dalej.

– Dobra, mam swoje cele. Chcę być mistrzem w gimnastyce. Chcę, żeby mój zespół zdobył mistrzostwo kraju. Chcę skończyć szkołę z dobrymi wynikami, a to oznacza dużo książek, które trzeba przeczytać i równie dużo prac, które trzeba napisać. A ty w zamian za to oferujesz mi przesiadywanie przez pół nocy na stacji benzynowej i słuchanie – mam nadzieję, że się nie obrazisz – bardzo dziwnego faceta, który usiłuje wciągnąć mnie w swój świat fantazji. To szaleństwo!

– Tak – uśmiechnął się smutno. – To szaleństwo.

Sokrates usiadł głęboko w swoim krześle i spuścił wzrok. Mój umysł sprzeciwiał się tej grze. Oburzała mnie jego poza bezradnego starca, a jednocześnie moje serce lgnęło do tego starego ekscentryka, który twierdził, że jest jakimś tam “wojownikiem". Zdjąłem kurtkę, ściągnąłem buty i znowu usiadłem. Przypomniała mi się historia, którą usłyszałem kiedyś od mojego dziadka:

W zamku na wysokim wzgórzu, z którego rozciągał się widok na całą krainę, mieszkał król, którego wszyscy kochali. Był tak lubiany, że ludzie z pobliskiego miasta codziennie przynosili mu dary, a jego urodziny obchodzono radośnie w całym królestwie. Ludzie kochali go za jego mądrość i sprawiedliwość.

Pewnego razu miasto spotkała tragedia. Źródło wody zostało zatrute i wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci, którzy się z niego napili – oszaleli. Jedynie król, który miał własne źródło, pozostał zdrowy.

Wkrótce potem ludzie z miasta zaczęli mówić o tym jak “dziwnie" zachowuje się ich król. Mówiono, że jego sądy są złe, a mądrość fałszywa. Wielu nawet posunęło się tak daleko, że zaczęli twierdzić, iż król oszalał. Wkrótce też przestał być popularny. Ludzie przestali przynosić mu prezenty i obchodzić jego urodziny.

Samotny król, wysoko na wzgórzu, pozostawał bez żadnych przyjaciół. Pewnego dnia postanowił opuścić wzgórze i odwiedzić miasto. Dzień był ciepły, więc napił się wody z miejskiej fontanny.

Tego wieczoru odbyła się wielka uroczystość. Wszyscy ludzie cieszyli się, ponieważ ich ukochany król “odzyskał rozum".

Zdałem sobie sprawę, że szalony świat, o którym mówił Sokrates, to nie był wcale jego świat, lecz mój. Byłem gotów do wyjścia. Wstałem.

– Sokratesie – spytałem – powiedziałeś, żebym słuchał głosu własnego ciała i nie uzależniał się od tego co piszą czy mówią inni ludzie. Wobec tego, dlaczego miałbym siedzieć cicho i słuchać tego, co ty mi mówisz?

– Bardzo dobre pytanie – odpowiedział. – Jest na to równie dobra odpowiedź. Po pierwsze, przekazuję ci tylko własne doświadczenie. Nie przedstawiam abstrakcyjnych teorii, które przeczytałem w książkach lub zasłyszałem od jakiegoś eksperta. Jestem tym, który naprawdę zna swoje ciało oraz swój umysł i dlatego znam również ciała i umysły innych ludzi. Poza tym – uśmiechnął się – skąd wiesz, że nie jestem głosem twojego ciała, które przemawia do ciebie przeze mnie?

Odwrócił się do swojego biurka i wziął w ręce jakieś papiery. Tego wieczoru byłem już wolny i mogłem odejść. Z głową pełną kłębiących się myśli zanurzyłem się w noc.

Przez kilka kolejnych dni byłem przygnębiony. Przy tym człowieku czułem się słaby i nie dość dobry. Byłem na niego zły za sposób w jaki mnie traktował. Przez cały czas zdawał się nie doceniać

mnie. A przecież nie byłem dzieckiem! Dlaczego miałbym grać rolę osła przesiadując na stacji benzynowej – myślałem – podczas gdy tu, w moim królestwie, jestem podziwiany i szanowany?

Trenowałem z większą zawziętością niż zwykle. Moje ciało płonęło rozgorączkowane, gdy raz za razem śmigałem w powietrzu i zmagałem się z ćwiczeniami. Jednak przynosiło mi to mniej satysfakcji niż przedtem. Za każdym razem, kiedy uczyłem się nowego ruchu lub gdy chwalono mnie, przypominałem sobie jak zostałem wyrzucony w powietrze i ciśnięty na sofę przez tego starca.

Hal, mój trener, martwiąc się o mnie, zaczął się dopytywać, czy coś jest ze mną nie tak. Zapewniałem go, że wszystko jest w porządku. Ale nie było. Nie miałem już ochoty na żarty z chłopakami z zespołu. Byłem rozbity.

Wkrótce Zakapturzona Kostucha ponownie pojawiła się w moim śnie. Tym razem jednak była pewna różnica. Sokrates przebrany w ponury strój Śmierci rechocząc wymierzył we mnie pistolet i wystrzelił chorągiewkę z okrzykiem: "Bang!" Obudziłem się tym razem chichocząc, zamiast jęczeć jak poprzednio.

Następnego dnia znalazłem w skrzynce pocztowej kartkę. Zawierała jedynie napis: "Ściśle tajne sekrety dachowe." Gdy tej nocy Sokrates przybył na stację, czekałem już na niego siedząc na stopniach. Przyszedłem wcześniej, żeby wypytać o niego pracowników dziennej zmiany. Chciałem poznać jego prawdziwe imię i może nawet ustalić gdzie mieszka, ale oni nic o nim nie wiedzieli.

– Kogo to obchodzi – ziewnął jeden z nich. – To tylko jakiś stary dziwak, który lubi nocne zmiany.

Sokrates zdjął wiatrówkę.

– No i co – zaatakowałem. – Powiesz mi w końcu jak dostałeś się na dach?

– Powiem. Myślę, że jesteś gotów, żeby to usłyszeć – powiedział poważnie. – W starożytnej Japonii istniała elitarna grupa wojowników-zabójców.

Wymówił ostatnie słowo syczącym szeptem, sprawiając, że w jednej chwili zdałem sobie sprawę z mroku i ciszy czającej się na zewnątrz. Znowu poczułem dreszcz na karku.

– Wojownicy ci – kontynuował – nazywali się ninja. Otaczały ich pełne grozy legendy i straszna reputacja. Mówiono, że potrafią zamieniać się w zwierzęta, mówiono nawet, że potrafią latać – oczywiście jedynie na krótkie dystanse.

– Oczywiście – zgodziłem się, czując lodowaty podmuch wiatru otwierający na oścież drzwi do świata snu. Zastanawiałem się co knuje Sokrates, kiedy ten skinął na mnie i poprowadził do garażu, w którym pracował nad japońskim wozem sportowym.

– Trzeba wymienić świece – powiedział Sokrates nurkując pod lśniącą maską.

– Dobra, ale co z dachem? – ponaglałem.

– Dojdę do tego za moment, jak tylko wymienię te świece. Cierpliwości. To co chcę ci powiedzieć warte jest czekania, wierz mi.

Usiadłem bawiąc się drewnianym młotkiem leżącym na stole. Z kąta dobiegł mnie głos Sokratesa.

– Wiesz, to bardzo zabawna praca, jeśli naprawdę wykonujesz ją uważnie.

Dla niego, być może, rzeczywiście była zabawna.

Nagle położył świece, podbiegł do wyłącznika światła i przekręcił go. Zapadła ciemność tak całkowita, że nie widziałem nawet własnych rąk. Zacząłem denerwować się. Nigdy nie wiedziałem co Sokrates zrobi, a po tym całym gadaniu o ninja...

– Sokratesie?! Sokratesie?!

– Gdzie jesteś? – wykrzyknął tuż spoza mnie. Odwróciłem się gwałtownie i wpadłem na maskę samochodu.

– N...n...nie nie wiem! – wyjąkałem.

– Absolutna prawda – powiedział włączając światło. – Widzę, że robisz się coraz mądrzejszy – powiedział wyszczerzając w uśmiechu wszystkie zęby.

Pokręciłem głową na jego dziwactwa i ulokowałem się na zderzaku zerkając pod otwartą maskę, by zobaczyć, których części brakuje.

– Sokratesie, mógłbyś przestać błaznować i "ruszyć" z tematem? On tymczasem zręcznie zamocował nowe świece, sprawdził zaciski i kontynuował opowieść:

– Owi ninja nie byli adeptami magii. Ich sekretem był najbardziej intensywny trening, tak fizyczny, jak i umysłowy, jaki tylko człowiek może sobie wyobrazić.

– Sokratesie, dokąd to wszystko prowadzi?

– Aby zobaczyć, dokąd coś prowadzi, najlepiej jest poczekać do końca – odpowiedział i kontynuował opowieść: – Ninja potrafili pływać ubrani w ciężką zbroję. Potrafili wspinać się po gładkich ścianach jak jaszczurki, opierając palce nóg i rąk na ledwie widocznych szczelinach. Zaprojektowali pomysłowe ciemne i prawie niewidoczne liny wspinaczkowe, stosowali też sprytne sposoby ukrywania się. Znali wiele trików, iluzji i przeróżnych sposobów ucieczki. Ninja – dodał na koniec – byli wspaniałymi skoczkami.

– Nareszcie gdzieś docieramy! – niemal zatarłem ręce w oczekiwaniu.

– Młodego wojownika, gdy był jeszcze dzieckiem, uczono skakać w następujący sposób: Otrzymywał ziarenko kukurydzy, które sadził. W miarę jak roślinka rosła, młody wojownik przeskakiwał przez jej małą łodygę wiele, wiele razy. Każdego dnia roślinka rosła, każdego dnia chłopiec przeskakiwał ją. Wkrótce łodyga była wyższa od niego, ale to go nie powstrzymywało. Jeśli nie zdołał przeskoczyć przez łodygę, otrzymywał nowe ziarno i zaczynał od nowa. W końcu nie było takiej łodygi, której młody ninja by nie przeskoczył.

– Dobrze, i co z tego? Jaki w tym sekret? – zapytałem, czekając na obiecaną rewelację.

Sokrates przerwał i wziął głęboki oddech.

– Tak więc widzisz, młodzi ninja ćwiczyli z ziarenkami kukurydzy. Ja ćwiczę ze stacjami benzynowymi. Zapanowała cisza. Potem stację benzynową wypełnił dźwięczny śmiech Sokratesa. Śmiał się tak bardzo, że aż musiał oprzeć się o Datsuna, którego naprawiał.

– A więc to już wszystko, ha? Czy właśnie to zamierzałeś opowiedzieć mi o dachach?

– Dan, to już wszystko co możesz wiedzieć, zanim sam zaczniesz to robić – odpowiedział.

– Chcesz mi powiedzieć, że zamierzasz uczyć mnie jak wskakiwać na dachy? – zapytałem odzyskując dobry nastrój.

– Może tak, a może nie. Każdy z nas ma swoje własne, unikalne uzdolnienia. Ty może nauczysz się skakać na dachy – wyszczerzył zęby. – A teraz podaj mi tamten śrubokręt, dobrze?

Rzuciłem mu śrubokręt. Przysięgam, że złapał go w powietrzu patrząc w zupełnie inną stronę! Używał go przez chwilę po czym odrzucił mi go krzycząc: “Ręce do góry!" Śrubokręt z głośnym łoskotem upadł na podłogę. Byłem rozdrażniony. Nie wiedziałem, ile jeszcze poniżeń jestem w stanie znieść.

Tygodnie szybko mijały, a bezsenne noce stały się dla mnie rzeczą powszednią. Jakoś się do tego przystosowałem. Nastąpiła też jeszcze jedna zmiana. Odkryłem, że wizyty u Sokratesa stają się bardziej interesujące niż ćwiczenia gimnastyczne.

Co noc obsługiwaliśmy klientów żartując z nimi. On nalewał benzynę, a ja czyściłem szyby. Sokrates zachęcał mnie, abym opowiadał o swoim życiu. Natomiast na temat własnego życia zachowywał dziwne milczenie. Na moje pytania odpowiadał zdawkowym “później" lub dawał wymijające odpowiedzi.

Gdy zapytałem go, dlaczego tak bardzo interesują go szczegóły mojego życia, powiedział:

– Muszę zrozumieć iluzje, którymi żyjesz, uchwycić zakres twojej choroby. Będziemy musieli oczyścić twój umysł, zanim otworzy się brama, przez którą wkroczysz na drogę wojownika.

– Tylko nie ruszaj mojego umysłu. Lubię go takim, jakim jest.

– Gdybyś naprawdę lubił go takim, jakim jest, nie byłoby cię tutaj. W przeszłości zmieniałeś swój umysł wielokrotnie. Wkrótce dokonasz przemiany bardziej gruntownej.

Po tej rozmowie postanowiłem, że będę ostrożny z tym facetem. Nie znałem go dobrze i nadal nie byłem pewien jak bardzo jest szalony.

Jakby na potwierdzenie moich wątpliwości, zachowanie Sokratesa zmieniało się nieustannie, było nieszablonowe, pełne humoru, nieraz dziwaczne. Pewnego razu, w samym środku wykładu na temat “najwyższych korzyści płynących z niezachwianego, pogodnego spokoju i opanowania", pobiegł z krzykiem za małym, białym pieskiem, który właśnie wysiusiał się na schodach stacji.

Innym razem, mniej więcej w tydzień po tym, jak przegadaliśmy całą noc, poszliśmy nad strumień Strawberry Greek. Tam stanęliśmy na moście i patrzyliśmy w dół na wezbraną zimowymi deszczami wodę.

– Ciekawe, jak głęboki jest dzisiaj strumień? – rzuciłem obojętnie, gapiąc się bezmyślnie na płynącą szybko wodę. W następnej chwili wylądowałem w kłębiącej się, mulistej strudze.

Zrzucił mnie z mostu!

– No więc, jak głęboko?

– Wystarczająco – wybełkotałem, wypełzając w przemoczonym odzieniu na brzeg. Koniec z próżną spekulacją. Postanowiłem odtąd trzymać buzię na kłódkę.

Z czasem zacząłem dostrzegać coraz więcej różnic pomiędzy nami. Na stacji, gdy robiłem się głodny, pochłaniałem batoniki czekoladowe. Sokrates chrupał świeże jabłko czy gruszkę lub przyrządzał sobie herbatę ziołową. Ja kręciłem się na sofie, tymczasem on siedział nieruchomo jak Budda na swoim krześle. Moje ruchy były niezgrabne i hałaśliwe w porównaniu z jego kocim sposobem poruszania się po podłodze. A przecież był starszym człowiekiem.

Tak jak na początku, co noc dostawałem wiele małych lekcji. Pewnego razu popełniłem błąd narzekając na kolegów w szkole, którzy moim zdaniem odnosili się do mnie niezbyt przyjaźnie.

– Zamiast winić innych lub okoliczności za twe własne kłopoty, lepiej wziąłbyś w swoje ręce odpowiedzialność za swoje życie, jakie by ono nie było – powiedział cicho. – Kiedy otworzą ci się oczy, to zobaczysz, że twoje zdrowie, szczęście i wszystkie okoliczności w życiu są, świadomie lub nieświadomie, w dużej mierze zaaranżowane przez ciebie samego.

– Nie wiem co masz na myśli, ale chyba się z tym nie zgadzam.

– Dobrze. Oto historyjka o facecie takim jak ty, Dan:

Na pewnej budowie, gdzieś na Środkowym Zachodzie, gdy rozlegał się sygnał na lunch, wszyscy pracownicy siadali razem do jedzenia. Codziennie Sam rozpakowywał swoją paczkę z jedzeniem i zaczynał narzekać.

– Do diabła! – krzyczał – znowu te kanapki z masłem orzechowym i dżemem. Nie cierpię masła orzechowego z dżemem!

Dzień po dniu Sam bezustannie narzekał na swoje kanapki z masłem orzechowym i dżemem. Mijały tygodnie i jego zachowanie zaczęło denerwować innych robotników. W końcu jeden z członków brygady nie wytrzymał:

– Do licha, Sam, jeśli tak nie cierpisz masła orzechowego i dżemu, dlaczego nie powiesz swojej starej, żeby ci zrobiła coś innego?

– Co znaczy: mojej starej? – odparł Sam. – Nie mam żony. Sam sobie robię kanapki.

Sokrates przerwał, a potem dodał:

– Tak więc widzisz, w tym życiu wszyscy sami sobie robimy nasze kanapki.

Podał mi brązową torbę, w której były dwie kanapki.

– Wolisz z serem i pomidorem czy z pomidorem i serem? – spytał szczerząc zęby.

– Och, daj mi którąkolwiek – odparłem.

– Gdy będziesz już w pełni odpowiedzialny za swoje życie – powiedział Sokrates, gdy jedliśmy – staniesz się w pełni człowiekiem. Gdy już staniesz się w pełni człowiekiem, być może odkryjesz co to znaczy być wojownikiem.

– Dzięki Sokratesie za pokarm dla umysłu i dla ciała – powiedziałem kłaniając się wytwornie. Zarzuciłem na siebie kurtkę i zbierałem się do wyjścia. – Nie będzie mnie przez parę tygodni – dodałem. – Zbliżają się egzaminy i będę musiał się trochę pouczyć. – Zanim zdołał to skomentować, machnąłem mu na pożegnanie ręką i ruszyłem do domu.

Pochłonęły mnie ostatnie w tym semestrze wykłady. Na sali gimnastycznej trenowałem najintensywniej jak tylko mogłem. Gdy tylko pozwalałem sobie na chwile przerwy, myśli i uczucia zaczynały się kłębić dokuczliwie. Czułem pierwsze oznaki tego, co w przyszłości miało przerodzić się w poczucie wyobcowania z codziennego świata. Po raz pierwszy w życiu miałem wybór pomiędzy dwoma odrębnymi światami. Jeden był szalony, drugi był normalny – ale ja po prostu nie wiedziałem, który jest który, tak więc nie przypisywałem się do żadnego z nich.

Nie potrafiłem odsunąć rodzącego się poczucia, że być może – jedynie być może – Sokrates nie był aż tak ekscentryczny. Prawdopodobnie opis mojego życia, który mi przedstawił, był dokładniejszy, niż mogłem sobie wyobrazić. Zaczynałem naprawdę dostrzegać jak postępowałem wobec innych ludzi, a to, co widziałem, niepokoiło mnie. Byłem towarzyski tylko zewnętrznie, ale tak naprawdę interesowałem się jedynie sobą.

Bill, jeden z moich najlepszych przyjaciół, spadł z konia i złamał nadgarstek. Rick nauczył się salta w tył z pełnym obrotem, nad którym pracował przez cały rok. W obu przypadkach moja reakcja emocjonalna była taka sama: nie czułem nic.

Moje poczucie własnej ważności malało szybko pod ciężarem rosnącej wiedzy o sobie.

Pewnego wieczoru, tuż przed egzaminami, usłyszałem pukanie do drzwi. Byłem zaskoczony i jednocześnie szczęśliwy widząc Susie, blondynkę o białych zębach, maskotkę klubową, której nie widziałem od paru tygodni. Uświadomiłem sobie jak bardzo byłem samotny.

– Nie zamierzasz mnie zaprosić. Dan?

– Och! Tak! Naprawdę cieszę się, że cię widzę. Siadaj, proszę! Pozwól, że pomogę ci zdjąć płaszcz. Masz ochotę coś zjeść? Może chcesz coś do picia?

Ona tylko wpatrywała się we mnie.

– O co chodzi, Susie?

– Wyglądasz na zmęczonego, Danny, ale... – wyciągnęła rękę i dotknęła mojej twarzy. – Jest coś... twoje oczy wyglądają jakoś inaczej. Co to jest?

– Zostań ze mną dzisiaj, Susie – powiedziałem i dotknąłem jej policzka.

– Myślałam, że nigdy o to nie poprosisz. Zabrałam nawet szczoteczkę do zębów!

Gdy następnego ranka odwróciłem się na bok, poczułem zapach potarganych włosów Susie, słodki jak letniej słomy, i jej lekki oddech. Powinienem czuć się dobrze, pomyślałem, lecz byłem w nastroju ponurym jak mgła za oknem.

Przez parę następnych dni spędziłem z Susie mnóstwo czasu. Zdaje się, że nie byłem zbyt miłym kompanem, ale jej dobry nastrój starczał dla nas obojga.

Coś powstrzymywało mnie od powiedzenia jej o Sokratesie. On był z innego świata, świata w którym nie było dla niej miejsca. Jak ona mogłaby coś zrozumieć, skoro nawet ja nie byłem w stanie pojąć tego, co się ze mną działo?

Nadeszły końcowe egzaminy. Poszły mi dobrze, ale nie obchodziło mnie to. Susie pojechała do domu na wiosenne ferie, a ja cieszyłem się, że zostałem sam.

Wiosenne ferie wkrótce się skończyły. Po zaśmieconych ulicach Berkeley powiały ciepłe wiatry. Wiedziałem, że nadszedł czas powrotu do świata wojowników, do dziwnej, małej stacji benzynowej. Powrotu, być może, z większą otwartością i pokorą niż poprzednio. Ale teraz byłem pewniejszy jednego – jeśli Sokrates znowu zaatakuje mnie swoim ciętym językiem, odpłacę mu natychmiast tą samą monetą!

Księga Pierwsza
WIATR ZMIAN

1. Powiew magii

Był późny wieczór. Po treningu i obiedzie uciąłem sobie drzemkę, a gdy się obudziłem, była już prawie północ. Powoli poszedłem w kierunku stacji benzynowej, rozkoszując się rześkim powietrzem rozpoczynającej się wiosny. Silny wiatr wiał mi w plecy jakby pomagając iść ścieżkami miasteczka uniwersyteckiego.

Gdy zbliżyłem się do znajomego skrzyżowania, zwolniłem. Zaczęło lekko mżyć i zrobiło się zimniej. Przez zaparowane okna zobaczyłem jak w ciepłej i miłej atmosferze kantoru Sokrates pije coś ze swojego kubka. Oczekiwanie i lęk zmieszały się powodując, że poczułem ucisk w piersiach, a serce zabiło mi szybciej.

Przeszedłem przez ulicę i patrząc na chodnik zbliżałem się do drzwi biura. Wiatr wiał mi w plecy. Nagły powiew sprawił, że na karku poczułem przenikliwe zimno. Podniosłem głowę i w drzwiach zobaczyłem Sokratesa, który wpatrywał się we mnie i węszył jak wilk. Zdawał się przenikać mnie wzrokiem. Wspomnienia Zakapturzonej Kostuchy powróciły. Wiedziałem, że ten człowiek ma w sobie wiele ciepła i współczucia, ale wyczuwałem, że za jego ciemnymi oczami czai się też wielkie, nieznane mi niebezpieczeństwo.

Łagodny głos Sokratesa natychmiast rozwiał moje obawy.

– Dobrze, że wróciłeś – powiedział.

Uprzejmym gestem ręki zaprosił mnie do kantoru. Ledwo zdążyłem zdjąć buty i usiąść, gdy zadzwonił dzwonek. Przetarłem ręką szybę i wyjrzałem na zewnątrz. Na stację podjeżdżał właśnie stary plymouth ze sflaczałą oponą. Sokrates już wychodził na zewnątrz ubrany w swoje wojskowe poncho. Obserwując go zastanawiałem się jak to możliwe, że ktoś taki jak on mógł mnie wystraszyć.

Wówczas pogrążone w ciemnościach nocy deszczowe chmury sprawiły, że powróciły niejasne obrazy śmierci w czarnym kapturze z mojego snu, a cichy szmer padającego deszczu zmienił się we wściekłe bębnienie kościstych palców o dach. Kręciłem się niespokojnie na sofie zmęczony intensywnym treningiem na sali gimnastycznej. W następnym tygodniu miały się odbyć Mistrzostwa Konferenq'i i dzisiaj mieliśmy ostatni trening przed zawodami.

Sokrates otworzył drzwi do kantoru.

Wyjdź na zewnątrz. Natychmiast powiedział stojąc w drzwiach, po czym odszedł.

Wstałem, założyłem buty i wyjrzałem przez zaparowaną szybę. Sokrates stał za pompami, poza zasięgiem świateł stacji. Na wpół spowity ciemnością, wyglądał jakby miał na głowie czarny kaptur.

Nie zamierzałem tam wychodzić. Kantor był jak forteca broniąca mnie przed nocą – i przed tym światem na zewnątrz, który już zaczynał działać mi na nerwy niczym hałaśliwy ruch uliczny w centrum. Nie. Nie miałem zamiaru wyjść. Sokrates skinął na mnie z ciemności jeszcze raz, potem jeszcze raz. Poddałem się losowi i jednak wyszedłem.

Zbliżyłem się ostrożnie do Sokratesa.

– Posłuchaj, czujesz to? – zapytał.

– Co?

– Poczuj!

Właśnie w tym momencie deszcz ustał i wydawało się, że wiatr zmienia kierunek. Dziwne – ciepły wiatr.

– Wiatr, Sokratesie?

– Tak, wiatr. Zmienia kierunek. Oznacza to punkt zwrotny dla ciebie – teraz. Mogłeś sobie tego nie uświadamiać, ani też ja, ale istotnie – dziś w nocy jest przełomowy moment w twoim życiu. Odszedłeś, ale wróciłeś. A teraz wiatr się zmienia. – Popatrzył na mnie przez chwilę, a potem skierował się do kantoru.

Wszedłem za nim i usiadłem na znajomej sofie. Sokrates siedział nieruchomo na swoim miękkim, brązowym krześle i wpatrywał się we mnie. Głosem wystarczająco silnym, by można nim było przebić ścianę, ale na tyle lekkim, by mogły go ponieść marcowe wiatry, Sokrates oznajmił:

– Jest coś, co muszę teraz zrobić. Nie bój się. Wstał.

– Sokratesie, przerażasz mnie! – wyjąkałem ze złością i w miarę jak on powoli zbliżał się do mnie, skradając się jak tygrys na polowaniu, wciskałem się coraz głębiej w sofę, na której siedziałem.

Wyjrzał szybko przez okno upewniając się, że nic nam nie przeszkodzi, potem uklęknął przede mną i powiedział cicho:

– Dan, pamiętasz, jak ci mówiłem, że będziemy musieli popracować nad zmianą twojego umysłu, zanim zdołasz dostrzec drogę wojownika?

– Tak, ale naprawdę nie sądzę...

– Nie bój się – powtórzył z uśmiechem. – Niech cię pocieszy powiedzenie Konfucjusza: "Tylko najwięksi mędrcy i najwięksi głupcy nie zmieniają się." – Mówiąc to wyciągnął ręce i położył je delikatnie, lecz zdecydowanie na moich skroniach.

Przez chwilę nic się nie działo – aż nagle wewnątrz głowy poczułem rosnące ciśnienie. Pojawiło się głośne buczenie, a potem dźwięk jak szum fal rozlewających się po plaży. Słyszałem bijące dzwony i czułem jakby moja głowa miała się zaraz rozpaść. I właśnie wtedy zobaczyłem światło, po czym nastąpiła eksplozja jasności. Coś we mnie umierało – wiedziałem to na pewno – a coś innego rodziło się! Potem światło pochłonęło wszystko.

Ocknąłem się leżąc na sofie. Sokrates podawał mi filiżankę herbaty, potrząsając mną lekko.

– Co się ze mną stało?

– Powiedzmy, że poruszyłem twoje energie i otworzyłem parę nowych kanałów. Fajerwerki były po prostu oznaką rozkoszy, jaką czuł twój umysł w tej kąpieli energetycznej. Efekt tego jest taki, że spadł z ciebie ciężar iluzji wiedzy, jaką gromadziłeś przez całe swoje życie. Obawiam się, że od tej chwili zwykła wiedza nie da ci już zadowolenia.

– Nie rozumiem o co ci chodzi

– Zrozumiesz – powiedział bez cienia uśmiechu.

Byłem bardzo zmęczony. Wypiliśmy herbatę w ciszy. Potem, przepraszając, wstałem, włożyłem na siebie sweter i jakby we śnie wyszedłem do domu.

Następny dzień wypełniony był wykładami, na których profesorowie bełkotali słowa nie mające dla mnie ani sensu, ani znaczenia. W sali 101, sali historii, Watson perorował o tym, jak to polityczne instynkty Churchilla wpłynęły na wynik wojny. Przestałem robić notatki. Byłem zbyt zajęty obserwowaniem kolorów i struktury pomieszczenia oraz odczuwaniem energii otaczających mnie ludzi. Brzmienie głosów moich profesorów było dużo bardziej interesujące, niż koncepcje, które przekazywali. Sokratesie, co ze mną zrobiłeś?!! Nigdy nie zdołam przebrnąć przez końcowe egzaminy.

Wychodziłem właśnie z wykładu, zafascynowany guzkowatą strukturą dywanu, kiedy usłyszałem znajomy głos.

– Cześć, Danny! Nie widziałam cię od tylu dni. Dzwoniłam co noc, ale ciebie nigdy nie było. Gdzie się ukrywałeś?

– Och, cześć Susie. Miło znowu cię widzieć. Byłem... to znaczy uczyłem się.

Jej słowa pląsały w powietrzu. Ledwo mogłem je zrozumieć, za to czułem to, co ona czuła – była zraniona i trochę zazdrosna. Jednak jej twarz promieniała jak zawsze.

– Chętnie bym z tobą porozmawiał, Susie, ale idę na salę gimnastyczną.

– Och, zapomniałam – poczułem jej rozczarowanie. – No cóż, zobaczymy się wkrótce? – zapytała.

– Jasne.

– Hej! – zawołała. – Czyż wykład Watsona nie był wspaniały? Wprost uwielbiam słuchać o życiu Churchilla. Czyż nie jest to interesujące?

– Uch, no tak, wspaniały wykład.

– Dobra, na razie, Dany.

– Cześć

Odwracając się przypomniałem sobie co Sokrates mówił o moich “wzorcach nieśmiałości i lęku". Być może miał rację. Tak naprawdę nie czułem się dobrze z ludźmi. Nigdy nie byłem pewien, co powiedzieć.

Jednak tego popołudnia, na sali gimnastycznej, z pewnością wiedziałem co robić. Ożyłem, całkowicie odkręcając kurek energii. Bawiłem się, huśtałem, skakałem. Byłem klaunem, magikiem, szympansem. Był to jeden z moich najlepszych dni w życiu. Mój umysł był tak czysty, że czegokolwiek bym nie próbował, czułem dokładnie jak mam to wykonać. Moje ciało było rozluźnione, gibkie, szybkie i lekkie. W akrobatyce wynalazłem salto do tyłu z półtora obrotem, które w drugiej części przechodziło w śrubę. Na wysokim drążku rozpędzałem się za pomocą kołowrotów przechodząc do lotu z podwójnym obrotem – obie figury akrobatyczne były wykonane po raz pierwszy w Stanach Zjednoczonych.

Parę dni później nasz zespół poleciał do Oregonu na Mistrzostwa Konferencji. Wygraliśmy zawody i wróciliśmy do domu. To było jak sen: zmagania, fanfary i chwała. Pomimo to nie potrafiłem uciec od trapiących mnie problemów.

Myślałem o wszystkim, co się wydarzyło od czasu tamtej nocy, gdy doświadczyłem eksplozji światła. Tak jak przewidział Sokrates, coś stało się na pewno, ale było to przerażające i nie podobało mi się. Być może Sokrates nie był tym, na kogo wyglądał, być może był sprytniejszy lub bardziej zły, niż przypuszczałem.

Myśli te rozwiały się, gdy tylko przekroczyłem próg oświetlonego kantoru i ujrzałem ujmujący uśmiech Sokratesa.

– Jesteś gotów do odbycia podróży? – zapytał, gdy tylko usiadłem.

– Podróży? – powtórzyłem jak echo.

– Tak – na wycieczkę, przejażdżkę, wędrówkę, wakacje – na przygodę.

– Nie, dzięki. Nie jestem odpowiednio ubrany.

– Nonsens! – ryknął tak głośno, że obaj rozejrzeliśmy się wokoło, by zobaczyć, czy nie usłyszeli tego jacyś przechodnie.

– Szszsz! – wyszeptał głośno. – Nie tak głośno, obudzisz wszystkich.

Korzystając z jego dobrego humoru wykrztusiłem:

– Sokratesie, życie nie ma już dla mnie sensu. Poza ćwiczeniami na sali, nic mi się nie udaje. Czyż nie miałeś mi pomóc? Myślałem, że to właśnie robią nauczyciele.

Zaczął mówić, ale przerwałem mu.

– I jeszcze jedno. Zawsze wierzyłem, że trzeba znaleźć własną ścieżkę w życiu. Nikt nikomu nie może mówić jak ma żyć.

Sokrates klepnął się dłonią w czoło i wzniósł oczy w górę.

– Jestem częścią twojej ścieżki, pawianie. Nie wykradłem cię z kołyski i nie uwięziłem tutaj. Możesz odejść, kiedy tylko zechcesz. – Podszedł do drzwi i otworzył je na oścież.

Właśnie w tym momencie na stację podjechała czarna limuzyna, a Sokrates udając brytyjski akcent dodał:

– Pański samochód czeka, sir.

Zdezorientowany pomyślałem, że naprawdę mamy odbyć jakąś przejażdżkę limuzyną. W końcu, czemu nie? Tak więc, zamroczony, podszedłem prosto do samochodu i zacząłem wpychać się na tylne siedzenie. Znalazłem się twarzą w twarz z gapiącym się na mnie małym człowieczkiem o pomarszczonej twarzy starca, trzymającym w ramionach dziewczynę w wieku około szesnastu lat, prawdopodobnie z ulic Berkeley. Wpatrywał się we mnie wzrokiem wrogo usposobionej jaszczurki.

Sokrates chwycił mnie od tyłu za sweter i wyciągnął z samochodu. Zamykając drzwi przeprosił:

– Pan wybaczy mojemu młodemu przyjacielowi. Nigdy nie był w tak pięknym aucie i po prostu poniosło go. Nieprawdaż, Jack?

Przytaknąłem tępo.

– O co tu chodzi? – wyszeptałem rozpaczliwie.

Ale Sokrates już mył szyby. Kiedy samochód odjechał, zaczerwieniłem się ze wstydu.

– Dlaczego mnie nie powstrzymałeś, Sokratesie?

– Szczerze mówiąc, było to zabawne. Nie zdawałem sobie sprawy, że możesz być aż tak naiwny.

Staliśmy pośród nocy spoglądając na siebie nawzajem. Sokrates uśmiechał się, a ja, czując przypływ złości, zacisnąłem zęby.

– Jestem naprawdę zmęczony tym robieniem z siebie durnia przy tobie! – wrzasnąłem.

– No dobrze. Ale musisz przyznać, że ćwiczyłeś tę rolę tak pilnie, że grasz ją niemal doskonale.

Obróciłem się na pięcie, kopnąłem pojemnik na śmieci i pomaszerowałem z powrotem do kantoru. Wtedy coś mnie zastanowiło.

– Dlaczego przed chwilą nazwałeś mnie Jack?

– Taki skrót od jackass (osioł) – powiedział mijając mnie.

– W porządku, do diabła z tym – powiedziałem biegnąc za nim do kantoru. – Ruszajmy w twoją podróż. Cokolwiek dajesz, biorę!

– Dobra. A więc to twoje nowe oblicze – dzielny Danny.

– Dzielny, czy nie dzielny, nie dam za wygraną. Czy powiesz mi, dokąd się teraz wybieramy? Dokąd ja mam się wybrać? To ja powinienem kontrolować sytuację, nie ty!

Sokrates wziął głęboki oddech.

– Dan, nie mogę ci nic powiedzieć. Większość drogi wojownika jest subtelna, niewidzialna dla niewtajemniczonego. Do tej chwili, pokazując ci twój własny umysł, pokazywałem ci, czym wojownik nie jest. Przekonasz się o tym już wkrótce, a teraz muszę zabrać cię w podróż. Chodź ze mną.

Zaprowadził mnie do schowka, którego wcześniej nie zauważyłem. Był ukryty w garażu za półkami z narzędziami. Na podłodze leżał mały dywanik, na którym stało ciężkie krzesło z prostym oparciem. Dominował tam szary kolor. Poczułem mdłości.

– Siadaj – powiedział łagodnie.

– Nie usiądę, dopóki nie wyjaśnisz mi, co to wszystko znaczy. – Skrzyżowałem ręce na piersiach.

Teraz z kolei on wybuchnął.

– Ja jestem wojownikiem, ty jesteś pawianem. Nie będę, do cholery, nic wyjaśniał. Teraz zamknij się i siadaj lub wracaj na swoją salę gimnastyczną i zapomnij, że kiedykolwiek mnie znałeś!

– Nie żartujesz, prawda?

– Nie, nie żartuję!

Wahałem się przez chwilę, po czym usiadłem. Sokrates sięgnął do szuflady, wyciągnął z niej jakieś długie kawałki płótna i zaczął przywiązywać mnie do krzesła.

– Co masz zamiar robić, torturować mnie? – próbowałem żartować.

– Nie, a teraz zamilknij, proszę – powiedział zawiązując ostatni pasek wokół mojego nadgarstka i przeciągając go za krzesłem niczym lotniczy pas bezpieczeństwa.

– Czy będziemy latać? – zapytałem nerwowo.

– W pewnym sensie, tak – odpowiedział, uklęknął przede mną, chwycił moją głowę w swoje dłonie i umieścił kciuki na górnych krawędziach oczodołów. Szczękałem zębami. Miałem dręczącą potrzebę oddania moczu. Ale w następnej sekundzie zapomniałem o wszystkim. Błysnęły kolorowe światła. Zdawało mi się, że słyszę jego głos, ale nie rozumiałem, co mówi. Był zbyt daleko.

Szliśmy korytarzem spowitym w niebieską mgłę. Moje stopy poruszały się, ale nie czułem ziemi. Otaczały nas gigantyczne drzewa, które zmieniły się w budynki. Budynki stały się skałami, a my wspinaliśmy się stromym kanionem, który następnie stał się skrajem pionowego urwiska.

Mgła rozproszyła się. Powietrze zrobiło się mroźne. Zielone chmury rozciągnęły się pod nami na przestrzeni wielu kilometrów, stykając się na horyzoncie z pomarańczowym niebem.

Drżałem. Próbowałem powiedzieć coś Sokratesowi, ale mój głos był stłumiony. Nie potrafiłem opanować drżenia ciała. Sokrates położył mi rękę na brzuchu. Była bardzo ciepła i działała cudownie uspokajająco. Odprężyłem się, a on chwycił mnie mocno pod ramię, zacisnął uścisk i rzucił się do przodu, poza krawędź świata, ciągnąc mnie za sobą.

Nagle chmury zniknęły, a my zwisaliśmy z krokwi jakiegoś krytego stadionu, wysoko nad ziemią, huśtając się niepewnie jak dwa pijane pająki.

– Ups! – powiedział Sokrates. – Mały błąd w obliczeniach.

– Co u diabła! – wrzasnąłem, usiłując znaleźć lepszy uchwyt. Podciągnąłem się i dysząc ciężko położyłem na belce, oplatając ją rękoma i nogami. Sokrates w tym czasie usadowił się już wygodnie na belce przede mną. Zauważyłem, że jak na starego człowieka, radzi sobie całkiem nieźle.

– Hej, spójrz! – wskazałem. To zawody gimnastyczne! Sokratesie, jesteś niemożliwy.

– Ja niemożliwy? – zaśmiał się cicho. – Popatrz kto siedzi na belce przy mnie.

– Jak stąd zejdziemy?

– Tak samo jak się tu dostaliśmy, oczywiście.

– A jak się tu dostaliśmy? Sokrates podrapał się po głowie.

– Nie jestem pewien. Liczyłem na miejsca w pierwszym rzędzie. Przypuszczam, że były już wyprzedane.

Zacząłem się śmiać histerycznie. Cała ta sytuacja była zbyt komiczna. Położył mi rękę na ustach.

– Szsz! – Sokrates odsunął rękę. To był błąd.

– Chachachacha! – roześmiałem się głośno, zanim znowu zakrył mi usta. Uspokoiłem się, ale czułem, że kręci mi się w głowie, i zacząłem chichotać.

– Ta podróż jest prawdziwa – wyszeptał szorstko – bardziej prawdziwa niż sny na jawie w twoim zwykłym życiu. Patrz uważnie!

W tym momencie scena pode mną rzeczywiście przykuła moją uwagę. Z tej wysokości publiczność zlewała się w wielokolorowy wzór kropek, połyskujący, falujący, jak obraz impresjonisty. Mój wzrok przyciągnęła wzniesiona pośrodku areny platforma ze znajomym jasnoniebieskim kwadratem maty do ćwiczeń, otoczona różnymi przyrządami gimnastycznymi. Na ten widok poczułem nerwowy skurcz w żołądku. Doświadczałem zwykłej tremy przed zawodami.

Sokrates sięgnął do małego plecaka (skąd on go wziął?) i wręczył mi lornetkę, właśnie w chwili, gdy jakaś zawodniczka weszła na matę. Wycelowałem lornetkę w samotną gimnastyczkę i zauważyłem, że jest ze Związku Radzieckiego. A więc byliśmy widzami odbywającego się gdzieś międzynarodowego turnieju. Gdy dziewczyna podeszła do asymetrycznych poręczy, uświadomiłem sobie, że słyszę co mówi do siebie! Akustyka tutaj musi być fantastyczna, pomyślałem. Ale wtedy ujrzałem, że jej usta się nie poruszają.

Szybko przesunąłem lornetkę na publiczność i usłyszałem wrzawę wielu głosów – a przecież wszyscy siedzieli w milczeniu. Wtedy zrozumiałem. W jakiś sposób odczytywałem ich myśli!

Skierowałem lornetkę z powrotem na gimnastyczkę. Pomimo bariery językowej mogłem zrozumieć jej myśli: “Bądź silna... gotowa..." Widziałem zestaw jej ćwiczeń, gdy przebiegała przez niego myślą.

Wtedy wycelowałem lornetkę w człowieka z publiczności, w faceta w białej sportowej koszuli. Oddawał się fantazjom seksualnym na temat jednej z zawodniczek ze Wschodnich Niemiec. Uwagę innego mężczyzny, najwyraźniej trenera, pochłaniała kobieta, która miała rozpocząć ćwiczenia. Jakaś kobieta z publiczności również ją obserwowała, myśląc: “Piękna dziewczyna... miała przykry upadek zeszłego roku... mam nadzieję, że pójdzie jej dobrze."

Zauważyłem, że nie odbieram słów, ale uczucia-pojęcia – czasami ciche lub stłumione, a czasem głośne i wyraźne. Właśnie dzięki temu mogłem “zrozumieć" rosyjski, niemiecki czy jakikolwiek inny język.

Zauważyłem też coś jeszcze. Kiedy gimnastyczka ze Związku Radzieckiego wykonywała swoje ćwiczenia, jej umysł był spokojny. Kiedy skończyła i wróciła na swoje krzesło – myśli wystartowały od nowa. Podobnie było z gimnastykiem ze Wschodnich Niemiec ćwiczącym na kółkach i Amerykaninem ćwiczącym na drążku. Ponadto najlepsi zawodnicy podczas wykonywania swoich ćwiczeń mieli najspokojniejsze umysły.

Jednego z zawodników ze Wschodnich Niemiec, podczas przechodzenia z jednego stania na rękach na poręczach do drugiego, rozproszył hałas. Zrozumiałem, że hałas przyciągnął jego umysł. Pomyślał: “Co?..." i w tej chwili zepsuł ostatni obrót, który miał zakończyć się stójką na rękach.

Jako telepatyczny obserwator zerkałem w umysły ludzi na widowni. “Jestem głodny... Muszę złapać lot o jedenastej, inaczej plany w Dusseldorfie legną w gruzach... Jestem głodny!" Ale gdy tylko jakiś zawodnik wykonywał ćwiczenia, umysły publiczności uciszały się również.

Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, dlaczego tak bardzo kochałem gimnastykę. Dawała mi błogosławione wytchnienie od hałaśliwych myśli. Gdy wykonywałem obroty na drążku albo gdy robiłem salto, nic innego nie miało znaczenia. Kiedy ciało było aktywne, umysł odpoczywał w ciszy.

Mentalny hałas z widowni zaczynał mnie irytować, jak grające zbyt głośno stereo. Opuściłem lornetkę i pozwoliłem jej zawisnąć. Niestety zapomniałem przymocować pasek wokół szyi i prawie runąłem w dół próbując złapać lornetkę, podczas gdy ona spadała prosto na matę do ćwiczeń i na zawodniczkę znajdującą się bezpośrednio pode mną!

– Sokratesie! – wyszeptałem zatrwożony.

Sokrates siedział nieporuszony. Spojrzałem w dół, by zobaczyć szkody, które wyrządziłem, ale lornetka zniknęła. Sokrates uśmiechnął się.

– Gdy podróżujesz ze mną, zdarzeniami rządzą nieco inne prawa.

Nagle zniknął, a ja runąłem w przestrzeń, nie w dół, lecz w górę. Miałem niejasne poczucie, że cofam się od krawędzi urwiska, w dół kanionu, potem w mgłę, jak bohater szalonego filmu puszczonego do tyłu.

Sokrates wycierał moją twarz mokrą ścierką. Osunąłem się, wciąż będąc przywiązany do krzesła.

– I co? – zapytał. – Jak podróż?

– Możemy to powtórzyć. Uf, rozwiążesz mnie?

– Jeszcze nie teraz – odparł sięgając ponownie do mojej głowy.

– Nie, zaczekaj! – zdołałem wydusić, zanim światło zgasło i powiał wyjący wiatr, który poniósł mnie daleko w przestrzeń i czas.

Stałem się wiatrem, jednak miałem oczy i uszy. Widziałem daleko i słyszałem wszystko. Wiałem wzdłuż wschodnich wybrzeży Indii, nad Zatoką Bengalską, minąłem sprzątaczkę zajętą swoją pracą. W Hongkongu zawirowałem wokół sprzedawcy delikatnych tkanin targującego się głośno z klientem. Przemknąłem ulicami Sao Paulo, susząc pot na ciałach niemieckich turystów grających w siatkówkę w gorącym, tropikalnym słońcu.

Nie ominąłem żadnego kraju. Przemknąłem z wyciem nad Chinami i Mongolią oraz nad rozległymi, bogatymi ziemiami Związku Radzieckiego. Wiałem przez doliny i alpejskie łąki Austrii, dmuchnąłem zimnem nad norweskimi fiordami. Podrywałem śmieci na Placu Pigalle w Paryżu. W pewnej chwili byłem trąbą powietrzną przewalającą się przez Teksas, w innej – łagodnym wietrzykiem w Cantan w Ohio, pieszczącym włosy młodej dziewczyny rozmyślającej o samobójstwie.

Doświadczyłem każdej emocji, usłyszałem każdy krzyk cierpienia i każdy wybuch śmiechu. Otworzyły się przede mną wszystkie ludzkie troski i radości. Czułem je wszystkie i rozumiałem.

Świat był zamieszkany przez umysły wirujące szybciej niż jakikolwiek wiatr, poszukujące rozrywki i ucieczki od kłopotów jakie niosły ze sobą zmiany i dylematy życia i śmierci – szukające celu, bezpieczeństwa, radości, próbujące zgłębić tajemnice. Wszyscy, wszędzie żyli w pomieszaniu, zawzięcie szukali. Rzeczywistość nigdy nie odpowiadała ich marzeniom. Szczęście było tuż za rogiem – za rogiem, za który nigdy nie skręcali.

A źródłem tego wszystkiego był ludzki umysł.

Sokrates zdejmował pasy, którymi byłem związany. Promienie słońca wpadały przez okno garażu świecąc mi prosto w oczy – oczy, które tak wiele widziały – wypełniając je łzami.

Sokrates pomógł mi dojść do kantoru. Gdy drżąc leżałem na sofie, uświadomiłem sobie, że nie byłem już tym naiwnym, zarozumiałym młodzikiem, który parę minut lub godzin, albo parę dni temu, trzęsąc się siedział na szarym krześle. Czułem się bardzo stary. Widziałem cierpienie świata, stan ludzkiego umysłu i prawie płakałem ogarnięty nieutulonym smutkiem. Nie było ucieczki.

Natomiast Sokrates był jowialny.

– No, koniec zabawy. Moja zmiana już się prawie skończyła. Może byś tak, dzieciaku, powlókł się do domu i pospał trochę?

Z trudem wstałem z sofy i wsadziłem rękę w niewłaściwy rękaw kurtki. Uwalniając się z niej, zapytałem słabo:

– Sokratesie, dlaczego mnie związałeś?

– Jak widzę, nigdy nie jesteś za słaby na pytania. Związałem cię, żebyś nie spadł z krzesła, gdy mknąłeś z wiatrem bawiąc się w Piotrusia Pana.

– Czy naprawdę latałem? Bo tak czułem. – Usiadłem ponownie, czując ociężałość.

– Powiedzmy na razie, że był to lot wyobraźni.

– Zahipnotyzowałeś mnie, czy co?

– Nie w taki sposób jak myślisz – z pewnością nie w tym samym stopniu, w jakim byłeś zahipnotyzowany swoimi własnymi zawikłanymi procesami umysłowymi. – Roześmiał się, podniósł swój plecak (gdzie ja go wcześniej widziałem?) i szykował się do wyjścia. – Po prostu wciągnąłem cię w jedną z wielu równoległych rzeczywistości – dla twojej zabawy i nauki.

– Ale jak?

– To trochę skomplikowane. Może odłożylibyśmy to na następny raz? – Sokrates ziewnął i przeciągnął się jak kot.

Gdy potykając się wyszedłem za drzwi, usłyszałem za sobą głos Sokratesa:

– Śpij dobrze. Czeka cię mała niespodzianka, kiedy się obudzisz.

– Proszę, już żadnych niespodzianek – wymamrotałem i oszołomiony skierowałem się w stronę domu. Ledwo pamiętam jak padłem na łóżko. Potem była tylko ciemność.

Obudziło mnie głośne tykanie nakręcanego zegara, stojącego na niebieskiej komodzie. Lecz przecież ja nie miałem nakręcanego zegara. Nie miałem niebieskiej komody. Ani też nie posiadałem tej grubej kołdry, leżącej teraz w nieładzie u moich stóp. W tym momencie zauważyłem, że stopy też nie były moje. O wiele za małe, pomyślałem. Słońce wlewało się przez nieznane mi okno.

Kim jestem i gdzie się znajduję? Na moment zatrzymałem się na szybko zacierających się wspomnieniach, które zaraz rozpłynęły się.

Małymi stopkami kopnąłem resztę przykrywającej mnie kołdry i wyskoczyłem z łóżka w momencie gdy Mamusia zawołała: “Danneeey – czas wstawać, kochanie." Był 22 luty, 1952 – moje szóste urodziny. Zrzuciłem piżamę na podłogę i kopnąłem ją pod łóżko, po czym zbiegłem na dół w spodenkach i podkoszulce Lone Ranger. Za kilka godzin mieli przyjść koledzy z prezentami, i miał być placek, i lody, i mnóstwo zabawy!

Gdy już wszyscy się rozeszli i sprzątnięto wszystkie dekoracje z przyjęcia, bawiłem się obojętnie nowymi zabawkami. Byłem znudzony, zmęczony i bolał mnie brzuch. Zamknąłem oczy i zapadłem w sen.

Zobaczyłem jak każdy następny dzień mijał tak samo jak poprzedni: szkoła przez cały tydzień, potem weekend, szkoła, weekend, lato, jesień, zima i wiosna.

Lata mijały i wkrótce byłem jednym z czołowych szkolnych gimnastyków w Los Angeles. Na sali gimnastycznej życie było ekscytujące, poza nią – ogólne rozczarowanie. Nieliczne chwile radości przeżywałem odbijając się na batucie lub ściskając na tylnym siedzeniu samochodu Phyllis – moją pierwszą dziewczynę o zaokrąglonych kształtach.

Pewnego dnia zadzwonił do mnie Harold Frey z Berkeley w Kaliforni i zaoferował mi stypendium na Uniwersytecie! Nie mogłem doczekać się wyjazdu na wybrzeże do nowego życia. Jednak Phyllis nie podzielała mojego entuzjazmu. Zaczęliśmy się sprzeczać na ten temat i w końcu zerwaliśmy ze sobą. Czułem się źle, ale pocieszały mnie plany dotyczące nowego collegu. Byłem pewien, że wkrótce zacznie się prawdziwe życie!

Lata w collegu przemykały wypełnione zwycięstwami gimnastycznymi, lecz niewiele było innych osiągnięć. Podczas ostatniego roku, tuż przed olimpijskimi eliminacjami gimnastycznymi, ożeniłem się z Susie. Zamieszkaliśmy w Berkeley, abym mógł ćwiczyć z zespołem. Byłem tak zajęty, że nie miałem zbyt wiele czasu ani energii dla żony.

Ostatnie eliminacje odbyły się na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. Kiedy ogłoszono wyniki, wpadłem w ekstazę – byłem w zespole! Niestety moje osiągnięcia na Olimpiadzie nie dorównały moim oczekiwaniom. Powróciłem do domu i wkrótce o mnie zapomniano.

Urodził się nam syn i zacząłem odczuwać rosnącą odpowiedzialność i presję obowiązków. Znalazłem pracę polegającą na sprzedaży ubezpieczeń, która pochłaniała większość moich dni i nocy. Nigdy nie miałem czasu dla rodziny. Po roku żyłem już z Susie w separacji a w końcu ona dostała rozwód. Nowy start – pomyślałem smutno.

Pewnego dnia spojrzałem w okno i zdałem sobie sprawę, że minęło 40 lat – byłem już stary. Gdzie przeleciało moje życie? Z pomocą swojego psychiatry zdołałem opanować problem picia. Wcześniej miałem pieniądze, domy i kobiety, ale teraz nie miałem nic. Byłem samotny.

Późną nocą leżałem w łóżku i zastanawiałem się gdzie jest mój syn – nie widziałem go od lat. Myślałem o Susie i przyjaciołach z dawnych, dobrych czasów.

Teraz spędzałem całe dnie siedząc w ulubionym bujanym fotelu, popijając wino, oglądając telewizję i rozmyślając o przeszłości. Obserwowałem dzieci bawiące się przed domem. Zdawało mi się, że to było dobre życie. Zdobyłem wszystko, o co walczyłem, dlaczego więc nie byłem szczęśliwy?

Pewnego dnia, jedno z dzieci bawiących się na trawniku podeszło do werandy. Sympatyczny mały chłopiec uśmiechając się zapytał ile mam lat.

– Mam dwieście lat – odparłem.

– Nie, nie masz – zachichotał i oparł ręce na biodrach.

Również się roześmiałem. Wywołało to jeden z moich napadów kaszlu, a Mary, moja śliczna, młoda pielęgniarka, musiała poprosić go, aby odszedł.

Gdy już pomogła mi odzyskać oddech, łapiąc z trudem powietrze powiedziałem:

– Mary, czy mogłabyś mnie zostawić na chwilę samego?

– Oczywiście, panie Millman.

Nawet nie patrzyłem jak odchodziła – oglądanie się za nią było jedną z przyjemności życia, która umarła dawno temu.

Siedziałem samotnie. Zdawało mi się, że właściwie byłem samotny przez całe życie. Odchyliłem się do tyłu na swoim bujanym fotelu i oddychałem. Moja ostatnia przyjemność. A wkrótce i jej nie będzie. Zapłakałem gorzko i bezgłośnie.

– Do diabła! – pomyślałem. – Dlaczego moje małżeństwo musiało się rozpaść? Czy mogłem coś zrobić inaczej? Jak mogłem naprawdę żyć?

Nagle poczułem przerażający, dokuczliwy lęk, najgorszy w moim życiu. Czyż to możliwe, żebym przeoczył coś bardzo ważnego – coś, co naprawdę miało znaczenie? Nie, to niemożliwe – zapewniłem siebie. Wyrecytowałem głośno wszystkie swoje osiągnięcia. Lęk jednak nie ustawał.

Powoli wstałem, spojrzałem z werandy mojego domu na wzgórzu w dół na miasto i zastanawiałem się: Gdzie przeleciało życie? Po co ono było? Czyż każdy...

– Och, moje serce, ach, moje ramię, ten ból! – próbowałem wołać o pomoc, ale nie mogłem złapać tchu.

Kostki moich dłoni pobielały, gdy drżąc chwytałem się kurczowo poręczy. Moje ciało zmieniło się w lód, a serce w kamień. Osunąłem się na fotel. Głowa opadła mi na piersi.

Ból nagle zniknął i pojawiły się światła, jakich nigdy wcześniej nie widziałem i głosy, których nigdy wcześniej nie słyszałem. Przepływały wizje.

– Czy to ty, Susie? – zapytał odległy głos w mojej głowie. W końcu wszystkie obrazy i dźwięki stały się punktem światła, potem zniknęły.

Znalazłem spokój jakiego nigdy wcześniej nie znałem.

Usłyszałem śmiech wojownika. Zszokowany usiadłem, lata powróciły do mnie. Byłem w swoim własnym łóżku, we własnym mieszkaniu, w Berkeley, w Kaliforni. Nadal byłem studentem, a mój elektroniczny budzik pokazywał dwadzieścia pięć po szóstej po południu. Przespałem wykłady i trening!

Wyskoczyłem z łóżka i spojrzałem w lustro dotykając swojej ciągle młodej twarzy. Przeszył mnie dreszcz i odetchnąłem z ulgą. To był tylko sen – całe życie w jednym śnie, “mała niespodzianka" Sokratesa.

Usiadłem i roztrzęsiony wyjrzałem przez okno. Mój sen był wyjątkowo żywy. Istotnie, przeszłość zgadzała się całkowicie, zgadzały się nawet szczegóły, o których już dawno zapomniałem. Sokrates powiedział, że te podróże są prawdziwe. Czy ta również była prawdziwa i przepowiadała moją przyszłość?

Za dziesięć dziesiąta ruszyłem szybko na stację benzynową i spotkałem Sokratesa w chwili, gdy wchodził. Gdy tylko wszedł do środka, a zmiennik z dziennej zmiany wyszedł, zapytałem:

– No dobrze, Sokratesie. Co się właściwie ze mną działo?

– Sam wiesz lepiej ode mnie. To było twoje życie, nie moje, dzięki Bogu.

– Sokratesie, błagam cię – wyciągnąłem do niego ręce. – Czy właśnie takie ma być moje życie? Bo jeśli tak, to nie widzę sensu, by żyć dalej.

Przemówił bardzo cicho i powoli, tak jak robił to, gdy chciał, abym zwrócił na coś szczególną uwagę.

– Tak jak istnieją różne interpretacje przeszłości i wiele sposobów zmiany teraźniejszości, tak jest wiele możliwych przyszłości. To, co ci się przyśniło, było bardzo prawdopodobną przyszłością – tą, do której zmierzałeś i którą pewnie byś miał, gdybyś mnie nie spotkał.

– Czy to znaczy, że gdybym tamtej nocy zdecydował się minąć stację benzynową, ten sen byłby moją przyszłością?

– Bardzo możliwe. I ciągle jeszcze może być. Ale możesz wybrać i zmienić swoje obecne położenie. Możesz zmienić swoją przyszłość.

Sokrates przyrządził dla nas herbatę i delikatnie postawił kubek obok mnie. Jego ruchy były przemyślane i pełne wdzięku.

– Nie wiem co z tym zrobić – powiedziałem. – Moje życie w ostatnich miesiącach było jak nieprawdopodobna powieść. Wiesz, o czy mówię? Czasami chciałbym móc wrócić do normalnego życia. To tajemnicze życie z tobą tutaj, te sny i podróże – to jest dla mnie zbyt trudne.

Sokrates wziął głęboki oddech. Miałem usłyszeć coś bardzo ważnego.

– Dan, gdy tylko będziesz gotowy, zwiększę swoje wymagania w stosunku do ciebie. Gwarantuję ci, że pewnego dnia zechcesz zostawić życie, które znasz i wybierzesz warianty, które wydadzą ci się atrakcyjniejsze, przyjemniejsze, bardziej “normalne". Jednak zrobienie tego teraz byłoby większym błędem niż jesteś w stanie to sobie wyobrazić.

– Ale przecież ja widzę wartość tego, co mi pokazujesz.

– Może tak jest, ale nadal masz zdumiewającą zdolność oszukiwania samego siebie. Dlatego właśnie potrzebowałeś zobaczyć we śnie swoje życie. Pamiętaj o tym, gdy ogarnie cię pokusa pogoni za swoimi iluzjami.

– Nie martw się o mnie Sokratesie. Dam sobie radę. Gdybym wiedział co mnie czeka, trzymałbym język za zębami.

2. Sieć iluzji

Marcowe wiatry uspokajały się. Kolorowe wiosenne kwiaty rozsiewały w powietrzu swoją woń – czułem ich zapach nawet pod prysznicem, gdy zmywałem z ciała pot i przemywałem otarcia po intensywnym treningu

Ubrałem się szybko i zbiegłem tylnymi schodami z sali gimnastycznej Harmona, żeby popatrzeć na niebo nad Edward Field zmieniające barwę na pomarańczową wraz z ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Chłodne powietrze orzeźwiło mnie. Odprężony, w zgodzie z całym światem, spokojnym krokiem poszedłem w stronę centrum miasta. Po drodze do kina kupiłem cheeseburgera. Dziś wieczorem grali “Wielką ucieczkę", pasjonujący film o śmiałej ucieczce brytyjskich i amerykańskich jeńców wojennych. Po filmie pobiegłem truchtem wzdłuż University Avenue w kierunku miasteczka uniwersyteckiego, skręciłem w lewo w Shattuck i dotarłem na stację benzynową wkrótce po tym, jak Sokrates objął służbę. Był to pracowity wieczór, więc pomagałem mu. Skończyliśmy pracę po północy. Weszliśmy do kantoru i umyliśmy ręce, po czym Sokrates zaskoczył mnie przygotowując chiński obiad – z okazji rozpoczęcia nowej fazy jego nauczania.

Zaczęło się, gdy opowiedziałem mu o “Wielkiej ucieczce".

– Wydaje się, że to pasjonujący film – powiedział rozpakowując torbę ze świeżymi warzywami, które przyniósł. – A także odpowiedni dla ciebie.

– Tak? A niby czemu?

Ty też, Dan, potrzebujesz ucieczki. Jesteś więźniem swoich własnych iluzji – iluzji dotyczących ciebie samego i świata. Aby się od nich uwolnić, będziesz potrzebował więcej odwagi i siły niż jakikolwiek bohater filmowy.

Czułem się tej nocy tak dobrze, że w ogóle nie byłem w stanie traktować poważnie gadania Sokratesa.

– Nie czuję się jakbym był w więzieniu – z wyjątkiem sytuacji, kiedy przywiązałeś mnie do krzesła.

Sokrates zaczął myć warzywa.

– Nie widzisz swojego więzienia, ponieważ jego kraty są niewidoczne – skomentował przekrzykując szum płynącej wody. – Częścią mojego zadania jest wskazać ci twój problem i mam nadzieję, że będzie to najbardziej rozczarowujące doświadczenie w twoim życiu.

– Wielkie dzięki, przyjacielu – odpowiedziałem oburzony jego złą wolą.

– Myślę, że mnie nie zrozumiałeś – wskazał na mnie bakłażanem, po czym posiekał go na kawałki i wrzucił do miski. – Rozczarowanie jest największym darem jaki mogę ci ofiarować. Jednak z powodu swojego zamiłowania do iluzji, uważasz to określenie za negatywne. Gdy mówisz do przyjaciela: “Och, cóż za rozczarowanie musiałeś przeżyć" – współczujesz mu, podczas gdy powinieneś z nim świętować. Słowo roz–czarowanie znaczy dosłownie uwolnienie od zaczarowania, czyli iluzji. Ale ty trzymasz się kurczowo swoich iluzji.

– Fakty, proszę – rzuciłem mu wyzwanie.

– Fakty – powiedział odkładając na bok tofu, które właśnie kroił w kostkę. – Dan, ty cierpisz. Ty zasadniczo nie cieszysz się swoim życiem. Twoje rozrywki, swawole, a nawet twoja gimnastyka, są chwilowymi środkami pomagającymi ci rozproszyć ukryte poczucie lęku.

– Chwileczkę – zirytowałem się. – Chcesz powiedzieć, że gimnastyka, seks i filmy są złe?

– Nie, same w sobie nie są złe. Ale dla ciebie są nałogami, a nie przyjemnościami. Używasz ich, aby oderwać się od tego o czym wiesz, że powinieneś się tym zająć – od wyrwania się na wolność.

– Czekaj, Sokratesie. To nie są fakty.

– Tak, to są fakty i łatwo można je zweryfikować, choć jeszcze tego nie widzisz. Ty Dan, w swojej odruchowej pogoni za osiągnięciami i rozrywkami, unikasz podstawowego źródła swojego cierpienia.

– A więc tak to widzisz? – odparłem ostro, niezdolny do ukrycia niechęci w głosie.

– Nie to chciałeś usłyszeć, prawda?

– Istotnie. To ciekawa teoria, ale nie wydaje mi się, aby pasowała do mnie. To wszystko. Może tak powiedziałbyś mi coś w lepszym stylu?

– Jasne – odparł, zgarniając warzywa i wracając do siekania. – Prawda jest taka, Dan, że twoje życie jest cudowne i tak naprawdę wcale nie cierpisz. Nie potrzebujesz mnie i właściwie już jesteś wojownikiem. Jak to brzmi?

– Lepiej! – zaśmiałem się, a mój nastrój momentalnie się poprawił. Ale wiedziałem, że to nie była prawda. – Nie sądzisz Sokratesie, że prawdopodobnie prawda leży gdzieś pośrodku?

– Sądzę, że twoje “pośrodku" – odparł Sokrates nie odrywając oczu od warzyw – jest cholernie daleko od mojego punktu widzenia.

– Czy to tylko ja jestem idiotą – zapytałem obronnie – czy też specjalizujesz się w pracy z duchowymi inwalidami?

– Można by tak powiedzieć – uśmiechnął się lejąc olej sezamowy na chińską patelnię i umieszczając ją na gorącej płycie. – Ale prawie cała ludzkość cierpi na twoją dolegliwość.

– A co to za dolegliwość?

– Chyba już to wyjaśniłem – powiedział cierpliwie. – Jeżeli nie dostajesz tego, czego chcesz – cierpisz, jeżeli dostajesz to, czego nie chcesz – również cierpisz. Nawet gdy dostajesz dokładnie to, czego chcesz, nadal cierpisz, ponieważ nie możesz zatrzymać tego na zawsze. Twoim problemem

jest twój umysł. Umysł chciałby uwolnić się od zmian, uwolnić się od bólu, uwolnić się od konieczności życia i śmierci. Ale zmiana jest prawem i żadne udawanie nie zmieni tej rzeczywistości.

– Sokratesie, naprawdę potrafisz być przygnębiający, wiesz o tym? Chyba nie jestem już nawet głodny. Jeżeli życie jest tylko cierpieniem, to po co w ogóle czymkolwiek się przejmować?

– Życie nie jest cierpieniem. Po prostu ty raczej wolisz cierpieć, niż cieszyć się życiem. Będziesz tak cierpiał do czasu aż nie porzucisz tego, do czego umysł jest przywiązany i po prostu nie wyruszysz w drogę wolny, bez względu na to, co się wydarzy.

Sokrates wrzucał warzywa na skwierczącą patelnię, mieszając je równocześnie. Pomieszczenie wypełnił smakowity zapach. Cała moja niechęć zniknęła.

– Chyba właśnie wrócił mi apetyt.

Sokrates roześmiał się, rozdzielił chrupiące warzywa na dwa talerze i postawił je na swoim starym biurku, które posłużyło nam za stół obiadowy.

Jedliśmy w milczeniu, nabierając małe kawałki chińskimi pałeczkami. Pochłonąłem warzywa w niecałe trzydzieści sekund. Chyba naprawdę byłem głodny. Podczas gdy Sokrates kończył swój posiłek, zapytałem go:

– Jakie więc są pozytywne strony posiadania umysłu? Spojrzał na mnie znad talerza.

– Nie ma żadnych – odparł i spokojnie powrócił do jedzenia.

– Nie ma żadnych?! Sokratesie, to naprawdę szalone! A co z rzeczami, które tworzy umysł? Książki, biblioteki, sztuka? Co z tymi wszystkimi udogodnieniami naszego życia stworzonymi przez wybitne umysły?

Uśmiechnął się szeroko i odłożył pałeczki.

– Nie ma żadnych wybitnych umysłów – powiedział, po czym zaniósł naczynia do zlewu.

– Sokratesie, przestań wypowiadać nieodpowiedzialne stwierdzenia i wytłumacz się!

Wyłonił się z łazienki, niosąc w górze dwa lśniące talerze.

– Lepiej będzie jeśli ponownie zdefiniuję ci parę terminów. “Umysł" jest jednym z tych śliskich określeń, co “miłość". Właściwa definicja zależy od twojego stanu świadomości. Spójrz na to w ten sposób: masz mózg, który kieruje ciałem, gromadzi informacje i przetwarza je. Abstrakcyjne procesy mózgu nazywamy “intelektem". Nigdzie tu jeszcze nie wspomniałem o umyśle. Mózg, a umysł to nie to samo. Mózg jest rzeczywisty, umysł nie jest. “Umysł" jest złudnym rezultatem podstawowych procesów mózgowych. Jest jak narośl. Zawiera wszelkie przypadkowe, niekontrolowane myśli, które przenikają do świadomości z podświadomości. Świadomość nie jest umysłem. Przytomność nie jest umysłem. Uwaga nie jest umysłem. Umysł jest przeszkodą, utrudnieniem. Jest rodzajem błędu ewolucyjnego w człowieku, naczelną słabością w ludzkim eksperymencie. Nie widzę zastosowania dla umysłu.

Siedziałem w ciszy, oddychając powoli. Niezbyt wiedziałem co powiedzieć. Wkrótce jednak odzyskałem mowę.

– Bez wątpienia masz niezwykłe spojrzenie na sprawę. Nie jestem pewien o czym mówisz, ale brzmi to naprawdę szczerze.

Uśmiechnął się tylko i wzruszył ramionami.

– Sokratesie – kontynuowałem. – Czy mam odciąć sobie głowę, aby uwolnić się od umysłu?

– Jest to jakiś sposób – uśmiechnął się – ale ma niepożądane skutki uboczne. Mózg może być narzędziem. Potrafi pamiętać numery telefonów, rozwiązywać zagadki matematyczne lub tworzyć poezję. W ten sposób pracuje dla reszty ciała – jak traktor. Ale kiedy nie możesz przestać myśleć o tym problemie matematycznym czy numerze telefonu, lub gdy dręczące myśli i wspomnienia pojawiają się bez twojego zamierzenia, to nie jest to działanie twojego mózgu, ale błąkanie się umysłu. Wtedy umysł kontroluje ciebie – traktor pędzi na oślep.

– Zaczynam rozumieć.

– Aby naprawdę to zrozumieć, musisz obserwować siebie i zobaczyć to, o czym mówię. Pojawia się w tobie myśl o złości i stajesz się zły. Tak jest ze wszystkimi twoimi emocjami. Reagują jak kolano stuknięte młoteczkiem, odpowiadając na myśli, których nie kontrolujesz. Twoje myśli są jak dzikie małpy ukąszone przez skorpiona.

– Sokratesie, myślę, że...

– Za dużo myślisz!

– Właśnie ci chciałem powiedzieć, że naprawdę chcę się zmienić. To jedna z moich cech – zawsze byłem otwarty na zmiany.

– To – powiedział Sokrates – jest jedna z twoich największych iluzji. Chętnie zmieniasz ubrania, fryzury, kobiety, mieszkania i pracę. Aż nadto chętnie zmieniasz wszystko z wyjątkiem siebie. Ale będziesz musiał się zmienić. Albo ja pomogę ci otworzyć oczy, albo zrobi to czas, ale czas nie zawsze jest delikatny – powiedział złowieszczo. – Wybieraj. Ale najpierw uświadom sobie, że jesteś w więzieniu – potem możemy zaplanować twoją ucieczkę.

Powiedziawszy to, wrócił za biurko, wziął ołówek i zaczął sprawdzać rachunki. Wyglądał jak pracowity urzędnik. Miałem wyraźne wrażenie, że na dziś to już wszystko. Cieszyłem się, że wykład się skończył.

Przez następnych parę dni, które wkrótce przeciągnęły się w tygodnie, byłem, jak to sobie mówiłem, zbyt zajęty, żeby odwiedzić Sokratesa. Ale jego słowa brzmiały mi w głowie. Zaabsorbowało mnie ich znaczenie.

Założyłem mały notes, w którym zapisywałem swoje myśli podczas dnia – z wyjątkiem treningów, kiedy myśli ustępowały miejsca działaniu. Po dwóch dniach musiałem kupić większy notes. W ciągu tygodnia ten także zapełnił się. Byłem zdumiony widząc ogrom i ogólną negatywność moich procesów myślowych.

To ćwiczenie zwiększyło moją świadomość własnego szumu myślowego – podniosłem poziom głośności własnych myśli, które przedtem były tylko podświadomym podkładem. Przestałem zapisywać, ale myśli nadal dudniły. Być może Sokrates mógłby coś z tym zrobić. Postanowiłem odwiedzić go tej nocy.

Znalazłem go w garażu. Czyścił parą silnik starego Chevroleta. Właśnie miałem zacząć mówić, gdy w drzwiach pojawiła się niska, ciemnowłosa, młoda kobieta. Nawet Sokrates nie usłyszał jak wchodziła, co było bardzo niezwykłe. Zobaczył ją chwilę przede mną i “poszybował" ku niej z otwartymi ramionami. Ona też podbiegła ku niemu i objęli się, wirując po pomieszczeniu. Przez następnych parę minut po prostu patrzyli sobie w oczy. Sokrates pytał “Tak?", a ona odpowiadała “Tak". Było to dość dziwaczne.

Nie mając nic innego do roboty, gapiłem się na nią za każdym razem, gdy mnie mijała zataczając koła. Była niskiego wzrostu, niewiele ponad półtora metra, robiła wrażenie silnej, choć z aurą subtelnej delikatności. Jej długie, czarne, zaczesane w tył włosy związane były w kok, podkreślając jasną, błyszczącą cerę. W jej twarzy najbardziej zwracały uwagę duże, ciemne oczy.

Moje gapienie się musiało w końcu zwrócić ich uwagę.

– Dan, to jest Joy – powiedział Sokrates.

Spodobała mi się od razu. Jej oczy połyskiwały słodkim, lekko figlarnym uśmiechem.

– Czy Joy to twoje imię, czy opis twojego nastroju? – spytałem, starając się, by zabrzmiało to mądrze.

– Jedno i drugie – odpowiedziała. Popatrzyła na Sokratesa. Skinął głową. Potem uściskała mnie. Objęła mnie delikatnie ramionami w pasie i przytuliła czule. Naraz poczułem dziesięciokrotnie większy przypływ energii niż kiedykolwiek wcześniej. Czułem się pocieszony, uzdrowiony, wypoczęty i całkowicie porażony miłością.

Joy patrzyła na mnie swymi dużymi, świecącymi oczami, aż moje własne oczy zaszkliły się.

– Ten stary Budda przeciskał cię przez wyżymaczkę, co? – zapytała cicho.

– Uch, chyba tak. – (Obudź się, Dan!)

– No cóż, ten wycisk jest wiele wart. Wiem, mnie dopadł już wcześniej.

Nie mogłem wydobyć z siebie głosu, aby zapytać o szczegóły. Poza tym Joy odwróciła się już do Sokratesa i powiedziała:

– Muszę już iść. Może byśmy wszyscy spotkali się tutaj w sobotę rano o dziesiątej i poszli do Tilden Park na piknik? Przygotuję jedzenie. Zanosi się na ładną pogodę. Zgoda?

Popatrzyła na Sokratesa, potem na mnie. Pokiwałem tępo głową, gdy ona bezgłośnie wypłynęła przez drzwi.

Przez resztę wieczoru Sokrates nie miał ze mnie żadnego pożytku. Tak naprawdę cała reszta tygodnia była stratą. W końcu, gdy nadeszła sobota, poszedłem bez koszulki na przystanek autobusowy. Miałem nadzieję, że wiosenne słońce opali mnie trochę, i że zrobię na Joy wrażenie swoim muskularnym torsem.

Pojechaliśmy autobusem do parku i poszliśmy na przełaj po szeleszczących liściach, które tworzyły gruby kobierzec pośród otaczających nas sosen, brzóz i wiązów. Rozpakowaliśmy jedzenie na trawiastym pagórku skąpanym w ciepłych promieniach słońca. Położyłem się na kocu, by spiec się w słońcu. Miałem nadzieję, że Joy dołączy do mnie.

Nagle, bez ostrzeżenia, zerwał się wiatr i nadciągnęły chmury. Nie wierzyłem własnym oczom. Zaczęło padać – najpierw mżawka, potem nagła ulewa. Przeklinając, chwyciłem koszulkę i nałożyłem ją. Sokrates śmiał się tylko.

– Jak możesz uważać, że to zabawne! – zbeształem go. – Mokniemy tutaj, autobus będzie dopiero za godzinę, a całe jedzenie jest do niczego. To Joy je przyrządziła. Jestem pewien, że ona nie sądzi, by... – Joy śmiała się również.

– Nie śmieję się z deszczu – powiedział Sokrates. – Śmieję się z ciebie. – Zaryczał i poturlał się po mokrych liściach. Joy zaczęła tańczyć “Deszczową piosenkę". Ginger Rogers i Budda – tego już było za wiele.

Deszcz przestał padać tak samo nagle, jak zaczął. Wyjrzało słońce i wkrótce nasze jedzenie i rzeczy znowu były suche.

– Myślę, że to mój taniec zadziałał – powiedziała Joy i ukłoniła się.

Siedziałem przygnębiony. Joy usiadła za mną i zrobiła mi masaż barków.

– Czas, żebyś z doświadczeń życia zaczął czerpać naukę, a nie narzekał na nie lub rozkoszował się nimi, Dan – powiedział Sokrates – Właśnie objawiły ci się dwie bardzo ważne lekcje. Spadły, że tak powiem, z nieba.

Grzebałem w jedzeniu próbując nie słuchać go.

– Po pierwsze – powiedział chrupiąc listek sałaty – ani twoje rozczarowanie, ani gniew nie były spowodowane deszczem.

Miałem usta zbyt pełne sałatki ziemniaczanej, aby zaprotestować. Sokrates kontynuował wymachując po królewsku kawałkiem marchewki.

– Deszcz był manifestacją natury absolutnie zgodną z prawem. Twój “smutek" ze zmarnowanego pikniku i “szczęście", kiedy słońce pojawiło się z powrotem, były produktami twoich myśli. Nie miały one nic wspólnego z faktycznymi wydarzeniami. Czy nie byłeś nigdy “nieszczęśliwy", na przykład, podczas świąt? Jasno z tego wynika, że twój umysł, a nie inni ludzie ani okoliczności, jest źródłem twoich nastrojów. To jest pierwsza lekcja.

Sokrates przełknął swojego ziemniaka i powiedział:

– Druga lekcja wypływa z obserwacji tego jak jeszcze pogorszył ci się humor, gdy zauważyłeś, że ja nie jestem ani trochę zmartwiony. Zacząłeś przyrównywać się do wojownika, przepraszam, dwóch wojowników – uśmiechnął się szeroko do Joy. – Nie podobało ci się to, prawda, Dan? Może z tego wynikać, że zmiana jest niezbędna.

Siedziałem markotny myśląc o tym, co usłyszałem. Nawet nie zauważyłem, że Sokrates i Joy odeszli gdzieś. Wkrótce znowu zaczęło mżyć.

Sokrates i Joy wrócili na koc. Sokrates zaczął skakać naśladując moje wcześniejsze zachowanie.

– Cholerny deszcz! – wrzeszczał. – Nasz piknik idzie w diabły! Tupał wściekle, po czym przerwał w połowie ruchu, mrugnął

do mnie i uśmiechnął się figlarnie. Potem zanurkował, lądując brzuchem na mokrych liściach i udawał, że pływa. Joy zaczęła śpiewać czy śmiać się – nie byłem w stanie określić co to było.

Odrzuciłem zły nastrój i zacząłem tarzać się razem z nimi w mokrych liściach, siłując się z Joy. To mi się podobało najbardziej i sądzę, że Joy również sprawiło przyjemność. Biegaliśmy i tańczyliśmy dziko, aż nadszedł czas powrotu. Joy miała naturę wesołego szczeniaka, jednakże ze wszelkimi cechami dumnej, silnej kobiety. “Tonąłem" szybko.

Gdy autobus kołysząc się zjeżdżał w dół z łagodnych wzgórz wznoszących się nad Zatoką, niebo w zachodzącym słońcu zmieniło kolor na różowozłoty. Sokrates czynił słabe próby streszczenia swoich lekcji, podczas gdy ja robiłem co mogłem, by go ignorować i przytulałem się do Joy na tylnim siedzeniu.

– Hm, hm... jeśli mogę prosić o uwagę – powiedział. Złapał mnie dwoma palcami za nos i obrócił moją twarz w swoją stronę.

– Czego chcesz? – zapytałem. Gdy Sokrates trzymał mnie za nos, Joy szeptała coś w moje ucho. – Wolę słuchać jej niż ciebie – powiedziałem.

– Ona może tylko sprowadzić cię na manowce – uśmiechnął się szeroko, uwalniając mój nos. – Nawet młody dureń w ferworze miłości nie może nie dostrzec, że to jego umysł tworzy zarówno jego rozczarowania, jak i radości.

– Doskonały dobór słów – powiedziałem zatracając się w oczach Joy.

Gdy autobus objeżdżał wzgórze, wszyscy siedzieliśmy cicho, obserwując zapalające się światła San Francisco. Zatrzymaliśmy się u podnóża wzgórza. Joy wstała szybko i wyskoczyła z autobusu. Sokrates podążył za nią. Zacząłem iść za nimi, ale on odwrócił się i powiedział "Nie". To było wszystko. Joy popatrzyła na mnie przez otwarte okno.

– Joy, kiedy znowu cię zobaczę?

– Być może wkrótce. To zależy – powiedziała.

– Zależy od czego? – dopytywałem się. – Joy, poczekaj! Nie odchodź! Panie Kierowco, proszę mnie wypuścić! – Ale autobus już ruszał zostawiając ich z tyłu. Joy i Sokrates zniknęli w mroku.

W niedzielę wpadłem w głęboką depresję, której nie mogłem żadną miarą opanować. Na poniedziałkowym wykładzie ledwo słyszałem słowa profesora. Podczas treningu umysł miałem pochłonięty myślami, czułem się wyzuty z energii. Od czasu pikniku nic nie jadłem. Przygotowałem się do poniedziałkowej wieczornej wizyty na stacji benzynowej. Jeżeli spotkam tam Joy to albo zmuszę ją, żeby poszła ze mną, albo pójdę z nią.

Była tam, a jakże. Gdy wchodziłem do biura, żartowała właśnie z Sokratesem. Czując się jak obcy, zastanawiałem się, czy może nie śmieją się ze mnie. Wszedłem, zdjąłem buty i usiadłem.

– Dobra, Dan. Czy dzisiaj jesteś cokolwiek mądrzejszy niż byłeś w sobotę? – zapytał Sokrates. Joy tylko się uśmiechnęła, ale jej uśmiech ranił. – Nie byłem pewien czy pojawisz się dzisiaj, Dan, z obawy, że mógłbym powiedzieć coś, czego nie chciałbyś usłyszeć. – Jego słowa raniły jak ostre sztylety. Zacisnąłem zęby.

– Spróbuj się odprężyć, Dan – powiedziała Joy. Wiem, że starała się pomóc, ale czułem się przytłoczony i krytykowany przez nich oboje.

– Dan – kontynuował Sokrates. – Jeśli pozostaniesz ślepy na swoje słabości, to nie będziesz mógł ich naprawić, ani nie wykorzystasz swoich sił. To tak jak w gimnastyce. Spójrz na siebie!

Ledwie mogłem wydobyć z siebie głos. Gdy w końcu zacząłem mówić, mój głos drżał z napięcia, gniewu i litości nad samym sobą.

– Właśnie pa... patrzę.

Nie chciałem zachowywać się w ten sposób w jej obecności!

– Mówiłem ci już, że kierowanie się impulsami i nastrojami umysłu jest podstawowym błędem – ciągnął Sokrates wesoło. – Jeśli będziesz się przy tym upierał, to pozostaniesz sobą, a nie potrafię wyobrazić sobie gorszego losu! – roześmiał się na to serdecznie, a Joy z aprobatą pokiwała głową.

– On potrafi być nadąsany, co? – uśmiechnęła się szeroko do Sokratesa.

Siedziałem bardzo spokojnie, zaciskając tylko pięści. W końcu mogłem mówić:

– Nie wydaje mi się, żeby któreś z was było bardzo zabawne. – Z najwyższym trudem kontrolowałem głos.

Sokrates odchylił się na krześle i z bezlitosnym okrucieństwem powiedział:

– Jesteś wściekły, ale robisz kiepską robotę ukrywając to, ośle. (Nie przy Joy! – pomyślałem.) Twoja złość – mówił dalej – jest dowodem na to, że tkwisz z uporem przy swoich iluzjach. Po co bronić czegoś, w co nawet się nie wierzy? Kiedy ty dorośniesz?

– Słuchaj, ty stary wariacie! – zaskrzeczałem. – Czuję się świetnie! Dostawałem tu tylko kopniaki. I w końcu musiałem to zobaczyć. To twój świat jest pełen cierpienia, nie mój. Rzeczywiście jestem przygnębiony, ale tylko wtedy, gdy jestem z tobą!

Ani Joy ani Sokrates nie powiedzieli ani słowa. Pokiwali tylko głowami ze zrozumieniem i współczuciem. Do diabła z ich współczuciem!

– Oboje sobie myślicie, że wszystko jest takie jasne, proste i zabawne. Nie rozumiem was i nie jestem pewien, czy mam ochotę zrozumieć.

Zaślepiony zakłopotaniem, zmieszaniem i cierpieniem wypadłem za drzwi przysięgając sobie, że zapomnę o nim, zapomnę o niej, zapomnę, że pewnej gwiaździstej nocy wszedłem na tę staq'ę.

Moje oburzenie było udawane i dobrze o tym wiedziałem. Co gorsze, wiedziałem, że oni też o tym wiedzieli. Nawaliłem. Czułem się słaby i głupi jak mały chłopak. Zniósłbym utratę twarzy przed Sokratesem, ale nie przed Joy. A teraz byłem pewien, że straciłem ją na zawsze.

Biegłem ulicami, aż zorientowałem się, że oddalam się od domu. W końcu wylądowałem w knajpie przy University Avenue, w pobliżu Grove Street. Upiłem się i gdy wreszcie dotarłem do swojego mieszkania, wdzięczny byłem za nieświadomość.

Nie było już dla mnie powrotu. Postanowiłem spróbować żyć normalnym życiem, które odrzuciłem parę miesięcy wcześniej. Pierwszą rzeczą do zrobienia było odrobienie zaległości na studiach, o ile w ogóle miałem je ukończyć. Susie pożyczyła mi notatki z historii, a jeden z kolegów z drużyny dał mi notatki z psychologii. Przesiadywałem nocami pisząc referaty. Zatopiłem się w książkach. Miałem mnóstwo do zapamiętania – i mnóstwo do zapomnienia.

Na sali gimnastycznej trenowałem do upadłego. Z początku mój trener i koledzy byli zachwyceni widząc mój przypływ energii. Rick i Sid, dwaj moi najbliżsi kumple, zdumieni byli moją odwagą i żartowali na temat “Dana szukającego śmierci". Wykonywałem każdą akrobację, czy byłem do niej przygotowany, czy nie. Myśleli, że tryskam odwagą, a ja wiedziałem, że chcę bólu – chciałem fizycznego bólu, który uzasadniłby ból wewnątrz mnie.

Po jakimś czasie żarty Ricka i Sida zmieniły się w troskę.

– Dan, zauważyłeś, że zaczynasz mieć podkrążone oczy? Kiedy ostatni raz się goliłeś? – pytał Rick.

Sid sądził, że robię się zbyt szczupły.

– Czy coś nie tak, Dan?

– To moja sprawa – odburknąłem. – To znaczy, nie, dzięki Sid, wszystko w porządku. Chudy i ponury, taki styl, wiesz, nie?

– Pośpij trochę od czasu do czasu, bo do lata nic z ciebie nie zostanie.

– Dobra, na pewno. – Nie powiedziałem mu, że chętnie bym zniknął.

Parę deko tłuszczu, które jeszcze miałem zmieniłem w mięśnie. Wyglądałem na siłacza, jak jeden z posągów Michała Anioła. Moja blada skóra była jak marmur.

Prawie co wieczór chodziłem do kina, ale nie potrafiłem usunąć z umysłu obrazu Sokratesa siedzącego, być może z Joy, w kantorze stacji. Czasami miałem ponurą wizję ich dwojga siedzących tam razem i śmiejących się ze mnie. Może stałem się ich ofiarą.

Nie spędzałem czasu ani z Susie, ani z innymi kobietami, które znałem. Wszelkich potrzeb seksualnych, jakie miałem, pozbywałem się na treningach, wypłukując je z siebie wraz z potem. Poza tym, jak mógłbym patrzeć w oczy innej dziewczyny, po tym gdy patrzyłem w oczy Joy? Pewnej nocy obudziło mnie pukanie. Usłyszałem nieśmiały głos Susie na zewnątrz:

– Danny, jesteś tam? Dan?

Wsunęła karteczkę pod drzwiami. Nawet nie wstałem, aby na nią spojrzeć.

Moje życie stało się piekłem. Śmiech ludzi ranił moje uszy. Wyobrażałem sobie Sokratesa i Joy chichoczących jak czarownik i wiedźma i spiskujących przeciwko mnie. Filmy, które oglądałem straciły kolory, jedzenie smakowało jak mdła papka. Pewnego dnia na wykładzie, gdy profesor Watkins analizował wpływy społeczne czegoś tam, wstałem i usłyszałem własny głos:

– Bzdury! – ryknąłem co sił w płucach.

Watkins próbował mnie zignorować, ale 500 par oczu spoglądało na mnie. Publiczność. Ja im pokażę!

– Bzdury! – wrzasnąłem.

Kilka anonimowych dłoni zaklaskało, tu i ówdzie rozległ się śmiech i szepty. Watkins nigdy nie tracił swego stoickiego spokoju.

– Może byś zechciał to wyjaśnić? – zaproponował. Przepchnąłem się pomiędzy rzędami i podszedłem do podium.

Nagle pożałowałem, że nie ogoliłem się i nie założyłem czystej koszuli. Stanąłem z nim twarzą w twarz.

– Co te bzdury mają wspólnego ze szczęściem, z życiem? Większy aplauz z audytorium. Czułem, że Watkins próbował oszacować, czy przypadkiem nie jestem niebezpieczny – i zdecydował, że nie jest to wykluczone. Do diabła z tym! Nabierałem pewności siebie.

– Być może masz trochę racji – zgodził się łagodnie.

Mój Boże, ustępowano mi na oczach 500 osób! Chciałem wyjaśnić im, jak to jest – chciałem nauczyć ich, sprawić, żeby ujrzeli. Obróciłem się do sali i zacząłem mówić im o moim spotkaniu na stacji benzynowej z człowiekiem, który pokazał mi, że życie nie jest tym, czym wydaje się być. Zacząłem opowiadać historię króla na górze, samotnego pośród mieszkańców miasta, którzy zwariowali. Na początku zapanowała śmiertelna cisza. Potem parę osób zaczęło się śmiać. Co było nie tak? Nie powiedziałem nic śmiesznego. Ciągnąłem opowieść, ale wkrótce fala śmiechu rozeszła się po audytorium. Czy to oni wszyscy byli szalem, czy ja?

Profesor Watkins szepnął mi coś do ucha, ale nie usłyszałem. Kontynuowałem ni w pięć, ni w dziewięć. Szepnął jeszcze raz.

– Synu, myślę, że oni się śmieją, ponieważ masz rozpięty rozporek.

Upokorzony zerknąłem w dół, a potem jeszcze raz na tłum. Nie! Nie! Kolejny raz robię z siebie głupka! Znowu wychodzę na osła! Zacząłem płakać, a śmiech zamarł.

Wypadłem z sali i biegłem przez miasteczko dopóki starczyło mi sił. Dwie kobiety przeszły obok mnie – plastikowe roboty, społeczne trutnie. Gdy je mijałem, z obrzydzeniem obrzuciły mnie wzrokiem, po czym odwróciły głowy.

Spojrzałem na swoje brudne ubranie, które prawdopodobnie śmierdziało. Moje włosy były splątane i nie uczesane. Nie goliłem się od kilku dni. Odkryłem, że jestem na terenie klubu studenckiego, ale nie pamiętałem jak się tam dostałem. Opadłem na lepkie, pokryte plastikową folią krzesło i zasnąłem. Śniło mi się, że siedzę na drewnianym koniu przygwożdżony do niego połyskującym mieczem. Koń przymocowany do pochyłej karuzeli kręci się w kółko, a ja rozpaczliwie usiłuję złapać uzdę. Melancholijna muzyka gra fałszywie, a w jej tle słyszę przerażający śmiech. Obudziłem się z zawrotami głowy i potykając się poszedłem do domu.

Dryfowałem przez codzienną uczelnianą rzeczywistość jak upiór. Mój świat stanął do góry nogami. Próbowałem powrócić do starego rytmu życia, znaleźć motywację do nauki i treningu, ale w niczym już nie potrafiłem odnaleźć sensu.

Tymczasem wykładowcy wciąż trajkotali na temat renesansu, instynktów szczurów i wczesnych lat Miltona. Dzień w dzień, jakby we śnie, włóczyłem się po Sproul Plaża pośród demonstracji studenckich i biernych protestów. Nic z tego nie miało dla mnie najmniejszego znaczenia. Samorządy studenckie nie interesowały mnie, narkotyki nie mogły przynieść mi ulgi. Dryfowałem więc, obcy na obcej ziemi, złapany przez dwa światy, nie mogąc uchwycić się żadnego z nich.

Pewnego dnia, późnym popołudniem, siedziałem w gaju sekwojowym w pobliżu miasteczka uniwersyteckiego. Czekałem na zmrok i myślałem w jaki sposób najlepiej mógłbym się zabić. Nie należałem już do tego świata. Zgubiłem gdzieś buty. Miałem tylko jedną skarpetkę, a moje stopy były brązowe od zakrzepłej krwi. Nie czułem bólu, nie czułem nic.

Postanowiłem po raz ostatni odwiedzić Sokratesa. Powlokłem się w kierunku stacji i zatrzymałem na skrzyżowaniu. Sokrates kończył właśnie myć samochód, kiedy na stację weszła kobieta z małą dziewczynką, w wieku około czterech lat. Nie sądzę, żeby kobieta znała Sokratesa. Być może pytała go o drogę. Nagle dziewczynka wyciągnęła do niego ręce. Podniósł ją, a ona zarzuciła mu ręce na szyję. Kobieta próbowała ją odciągnąć, ale dziewczynka nie chciała go puścić. Sokrates śmiał się i mówił coś do niej delikatnie stawiając na ziemi. Potem uklęknął i oboje uściskali się.

Ogarnął mnie niezrozumiały smutek i zacząłem płakać. Moje ciało drżało z bólu. Odwróciłem się, przebiegłem kilkaset metrów i runąłem się na ścieżkę. Byłem zbyt zmęczony, by iść do domu, aby robić cokolwiek – może właśnie to mnie uratowało.

Obudziłem się w szpitalu. W ramię miałem wbitą igłę. Ktoś mnie ogolił i umył. Czułem, że przynajmniej odpocząłem. Zwolniono mnie następnego popołudnia. Zadzwoniłem do Centrum Zdrowia Cowella.

– Doktor Baker, dzień dobry – odezwała się jego sekretarka.

– Nazywam się DaN Millman. Chciałbym umówić się z doktorem Bakerem jak najszybciej.

– Dobrze, panie Millman – powiedział pogodny, profesjonalnie przyjazny głos sekretarki psychiatry. – Doktor może pana przyjąć w przyszłym tygodniu. Czy wtorek o trzynastej panu pasuje?

– Nie ma nic wcześniejszego?

– Obawiam się, że nie...

– Zabiję się, zanim minie ten tydzień, proszę pani.

– Czy może pan przyjść dzisiaj po południu? – zapytała uspokajająco. – Może być o drugiej?

– Tak.

– Dobrze, do widzenia, panie Millman.

Doktor Baker był wysokim, korpulentnym mężczyzną, z lekkim nerwowym tikiem koło lewego oka. Nagle całkowicie odeszła mi ochota na rozmowę z nim. Jak miałbym zacząć? “No więc, Herr Doktor. Mam nauczyciela o imieniu Sokrates, który wskakuje na dachy – nie, nie zeskakuje z nich, to jest właśnie to, co ja planuję zrobić. I, o tak – zabiera mnie w podróże w inny czas i miejsce, i staję się wiatrem, i jestem trochę przygnębiony i, tak, w szkole wszystko dobrze i jestem gwiazdą w gimnastyce i chcę się zabić."

Wstałem.

– Dziękuję za pański cenny czas, doktorze. Już czuję się wspaniale. Chciałem tylko zobaczyć jak żyje lepsza klasa ludzi. Jest świetnie.

Doktor Baker zaczął mówić dobierając “właściwe" słowa, ale ja już wyszedłem, poszedłem do domu i zasnąłem. Chwilowo sen wydawał się najłatwiejszym rozwiązaniem.

Tej nocy powlokłem się na stację. Joy tam nie było. Część mnie doznała ogromnego rozczarowania – tak bardzo chciałem raz jeszcze spojrzeć jej w oczy, trzymać ją w ramionach i być w jej objęciach – ale część mnie poczuła ulgę. Znów byliśmy sam na sam – Sokrates i ja.

Kiedy usiadłem, nie wspomniał nic o mojej nieobecności, powiedział tylko:

– Wyglądasz na zmęczonego i przygnębionego.

Powiedział to bez cienia współczucia. Moje oczy wypełniły się łzami.

– Tak, jestem przygnębiony. Przyszedłem się z tobą pożegnać. Jestem ci to winien. Utknąłem w pół drogi i nie zniosę tego więcej. Nie chcę już dłużej żyć.

– Mylisz się odnośnie dwóch spraw, Dan. – Podszedł i usiadł obok mnie na sofie. – Po pierwsze, nie jesteś jeszcze w pół drogi, dużo ci do tego brakuje. Ale jesteś bardzo blisko końca tunelu. A druga sprawa – powiedział sięgając do moich skroni – to to, że nie zabijesz się.

Spojrzałem na niego. Wtedy uświadomiłem sobie, że już nie jesteśmy na stacji. Siedzieliśmy w pokoju taniego hotelu. Czuło się tam charakterystyczny, stęchły zapach, na podłodze leżały cienkie, szare chodniki, a całe umeblowanie stanowiły dwa małe łóżka i małe, pęknięte, stare lustro.

– Co się dzieje? – na moment wróciło w moim głosie życie. Te podróże zawsze były szokiem dla mojego organizmu. Poczułem nagły przypływ energii.

– Ktoś próbuje popełnić samobójstwo. Tylko ty możesz go powstrzymać.

– Jeszcze nie próbuję się zabić – powiedziałem.

– Nie ty, durniu. Ten młody człowiek za oknem, na występie. Jest studentem Uniwersytetu Południowej Kalifornii. Ma na imię Donald, gra w piłkę nożną i studiuje filozofię. Jest na ostatnim roku i nie chce dłużej żyć. Idź do niego – Sokrates gestem wskazał na okno.

– Sokratesie, nie mogę.

– A więc on umrze.

Wyjrzałem przez okno i około piętnastu pięter niżej zobaczyłem grupki malutkich z tej wysokości ludzi stojących na ulicach w śródmieściu Los Angeles i gapiących się w górę. Ujrzałem też jasnowłosego, młodego chłopaka w brązowych Lewisach i koszulce, który trzy metry ode mnie stał na wąskim występie i spoglądał w dół. Szykował się do skoku.

Nie chcąc, by się przestraszył, zawołałem go po imieniu. Nie usłyszał mnie.

– Donaldzie! – zawołałem ponownie. Poderwał głowę i prawie stracił równowagę.

– Nie zbliżaj się do mnie! – ostrzegł. – Skąd znasz moje imię? – zapytał.

– Mój przyjaciel cię zna, Donaldzie. Mogę tu usiąść na tym występie i pogadać z tobą? Nie będę się zbliżał.

– Nie, dość już słów. – Twarz miał sflaczałą, monotonny głos prawie pozbawiony był życia.

– Don, czy ludzie nazywają cię Don?

– Tak – odpowiedział automatycznie.

– Dobra, Don, rozumiem, to jest twoje życie. W każdym razie 99 procent ludzi na świecie zabija się.

– A co to ma, do cholery, znaczyć? – zapytał, a nutka powracającego życia zabrzmiała w jego głosie. Przylgnął mocniej do ściany.

– Dobra, powiem ci. Większość ludzi zabija sposób, w jaki żyją – wiesz, co mam na myśli, Don? Czasem zajmuje im to trzydzieści, czterdzieści lat. Zabijają się poprzez palenie czy picie, przez stres lub przejedzenie, ale tak czy inaczej zabijają się.

Zbliżyłem się do niego o metr. Musiałem ostrożnie dobierać słowa.

– Don, ja mam na imię Dan. Żałuję, że nie mamy więcej czasu na rozmowę, być może wiele nas łączy. Ja również jestem sportowcem, z Uniwersytetu w Berkeley.

– Tak, ale... – przerwał i zaczął się trząść.

– Słuchaj Don, siedzenie tu, na tym występie, trochę mnie przeraża. Muszę wstać, żeby się czegoś złapać. – Wstałem powoli. Ja również trochę drżałem. Jezu, pomyślałem, co ja tu robię na tym występie?

Mówiłem cicho, próbując nawiązać z nim kontakt.

– Don, słyszałem, że dziś ma być piękny zachód słońca. Wiatry Santa Ana niosą chmury burzowe. Jesteś pewien, że nie chcesz już nigdy zobaczyć kolejnego zachodu lub wschodu słońca? Jesteś pewien, że nie chcesz już nigdy pójść na wycieczkę w góry?

– Nigdy nie byłem w górach.

– Nie uwierzyłbyś, Don. Wszystko tam jest czyste – woda i powietrze. Wszędzie czuje się zapach sosnowych igieł. Może moglibyśmy skoczyć tam razem. Co o tym sądzisz? Do licha, jeśli chcesz się zabić, zawsze będziesz mógł to zrobić później, jak już zobaczysz góry.

Powiedziałem to, co mogłem powiedzieć. Teraz wszystko zależało od niego. Gdy tak do niego mówiłem, z każdą chwilą coraz bardziej chciałem, aby żył. Byłem teraz tylko metr od niego.

– Przestań! – powiedział. – Chcę umrzeć... teraz. Poddałem się.

– W porządku – powiedziałem. – W takim razie skaczę z tobą. W końcu i tak widziałem już te cholerne góry. Po raz pierwszy spojrzał na mnie.

– Mówisz poważnie?

– Tak, mówię poważnie. Skaczesz pierwszy, czy ja mam to zrobić?

– Ale dlaczego chcesz umierać? – zapytał, – To szalone. Wyglądasz tak zdrowo. Na pewno masz po co żyć.

– Wiesz co – powiedziałem. – Nie wiem jakie ty masz problemy, ale przy moich są one znikome. Nawet byś ich nie pojął. Lepiej o nich nie wspominać.

Spojrzałem w dół. To byłoby takie łatwe – tylko się wychylić i pozwolić grawitacji dokończyć dzieła. I chociaż raz udowodniłbym, że ten pyszałkowaty Sokrates się pomylił. Mógłbym lecąc śmiać się i

krzyczeć: “Pomyliłeś się, stary durniu!", aż gruchnąłbym o ziemię, roztrzaskał kości, zmiażdżył narządy i odciął się na zawsze od wszystkich nadchodzących zachodów słońca.

– Zaczekaj! – To Don wyciągnął do mnie rękę. Zawahałem się, potem ją chwyciłem. Gdy spojrzałem mu w

oczy, jego twarz zaczęła się zmieniać. Zwęziła się. Jego włosy pociemniały, ciało zmalało. Stałem tam patrząc sam na siebie. Potem lustrzane odbicie zniknęło i zostałem sam.

Przestraszony, zrobiłem krok w tył i poślizgnąłem się. Runąłem w dół koziołkując, okiem umysłu widziałem przerażającego zakapturzonego upiora oczekującego na dole. Słyszałem głos Sokratesa, który wrzeszczał gdzieś z góry:

– Dziesiąte piętro – bielizna damska, prześcieradła, ósme piętro – sprzęt domowy, kamery.

Leżałem w kantorze na sofie patrząc na uśmiechającego się łagodnie Sokratesa.

– I co? – zapytał. – Ciągle zamierzasz się zabić?

– Nie. – Wraz z tą decyzją raz jeszcze spadł na mnie ciężar odpowiedzialności za własne życie. Powiedziałem mu jak się czuję. Sokrates chwycił mnie za ramiona i powiedział tylko:

– Trzymaj się tego, Dan.

Tej nocy, zanim odszedłem, zapytałem go:

– Gdzie jest Joy? Chcę ją znowu zobaczyć.

– W odpowiednim czasie. Być może później przyjdzie do ciebie.

– Ale gdybym tylko mógł z nią porozmawiać, byłoby mi dużo łatwiej.

– Kto ci powiedział, że będzie łatwo?

– Sokratesie – powiedziałem. – Ja muszę się z nią zobaczyć!

– Jedyne co musisz, to przestać widzieć świat z punktu widzenia swoich własnych pragnień. Wyluzuj się! Kiedy pokonasz umysł, dojdziesz do swoich zmysłów. Do tego czasu chcę, żebyś nadal obserwował, na ile to możliwe, śmietnik własnego umysłu.

– Gdybym chociaż mógł do niej zadzwonić...

– Doczekasz się w końcu!

W następnych tygodniach hałas w mojej głowie panował niepodzielnie. Dzikie, przypadkowe, głupie myśli; poczucie winy, obawy, pragnienia – hałas. Nawet podczas snu ogłuszająca ścieżka dźwiękowa moich snów atakowała moje uszy. Sokrates miał całkowitą rację. Byłem w więzieniu.

Był wtorek, dziesiąta wieczór, gdy przybiegłem na stację. Wpadając do kantoru, wyjęczałem.

– Sokratesie! Zwariuję, jeżeli nie ściszę tego hałasu! Mój umysł jest szalony – wszystko jest tak jak powiedziałeś!

– Bardzo dobrze! – powiedział. – To pierwsze odkrycie wojownika.

– Jeśli to ma być postęp, to wolę się cofać.

– Dan, co się dzieje, gdy wsiadasz na dzikiego konia, o którym sądziłeś, że jest oswojony?

– Zrzuca cię – albo wybija ci kopytem zęby.

– Życie, na swój zabawny sposób, dało ci w zęby wielokrotnie. Nie mogłem temu zaprzeczyć.

– Ale gdy wiesz, że koń jest dziki, możesz z nim postępować w odpowiedni sposób.

– Myślę, że rozumiem, Sokratesie.

– Czy może chodzi ci o to, że już rozumiesz, że myślisz? – uśmiechnął się.

Wyszedłem z instrukcją, by pozwolić mojemu odkryciu “stabilizować się" jeszcze przez parę dni. Starałem się robić to jak najlepiej. Przez kilka ostatnich miesięcy moja świadomość wzrosła, ale wszedłem do kantoru z tymi samymi pytaniami:

– Sokratesie, w końcu zdałem sobie sprawę z rozmiarów szumu w mojej głowie. Mój koń jest dziki – jak mam go oswoić? Jak uciszyć ten hałas? Co mam robić?

– Hm, – podrapał się po głowie – myślę, że będziesz musiał rozwinąć bardzo duże poczucie humoru. – Ryknął śmiechem, potem ziewnął i przeciągnął się. Nie robił tego w taki sposób, w jaki

zazwyczaj robi to większość ludzi – rozciągając ramiona na boki, ale przeciągał się jak kot. Wygiął plecy w kabłąk, aż usłyszałem jak jego kręgosłup zaczął strzelać: trach–trach–trach–trach.

– Sokratesie, czy wiesz, że wyglądasz jak kot, gdy się tak przeciągasz?

– Tak sądzę – odparł obojętnie. – Naśladowanie praktycznych zwyczajów różnych zwierząt jest dobrą rzeczą, tak samo jak naśladowanie pozytywnych cech niektórych ludzi. Osobiście podziwiam koty. Poruszają się jak wojownicy. A tobie się zdarzało, że wzorowałeś się na ośle – dodał. – Nie sądzisz, że czas już zacząć poszerzać repertuar?

– Tak, tak myślę – odpowiedziałem spokojnie, ale byłem zły. Znalazłem jakąś wymówkę i poszedłem do domu wcześniej, tuż po północy. Spałem przez pięć godzin, wstałem zanim zadzwonił budzik i ponownie poszedłem w kierunku stacji.

W tym momencie podjąłem ciche postanowienie. Koniec z odgrywaniem roli ofiary, kogoś, przy kim Sokrates mógłby czuć się lepszy. Teraz ja będę myśliwym. Wytropię go.

Była jeszcze godzina do świtu, kiedy to kończyła się jego zmiana. Schowałem się niedaleko stacji w krzakach, które odgradzały dolny skraj miasteczka uniwersyteckiego. Zamierzałem pójść za Sokratesem i w jakiś sposób odnaleźć Joy.

Spoglądając przez liście, obserwowałem każdy jego ruch. Przy intensywnym czuwaniu moje myśli ucichły. Moim jedynym pragnieniem było dowiedzieć się czegoś o życiu Sokratesa poza stacją – na ten temat zawsze milczał. Teraz sam wytropię odpowiedź.

Wpatrywałem się w niego jak sowa. Widziałem, jaki jest sprawny i pełen gracji. Zmywał szyby samochodów bez żadnego zbędnego ruchu, niczym artysta wtykał w otwór zbiornika dyszę dystrybutora paliwa.

Sokrates wszedł do garażu, prawdopodobnie, aby popracować przy samochodzie. Poczułem się zmęczony. Niebo było już jasne, gdy poderwałem się z parominutowej drzemki. Och, nie – zgubiłem go!

Wtedy dostrzegłem jak przygotowywał się do wyjścia. Poczułem skurcz serca, gdy wyszedł ze stacji, przeszedł przez ulicę i skierował się prosto w stronę miejsca, w którym siedziałem – sztywny, drżący i obolały, ale dobrze schowany. Miałem tylko nadzieję, że tego ranka nie będzie miał ochoty na głupstwa i nie zechce połazić po krzakach.

Cofnąłem się głębiej między listowie i wstrzymałem oddech. Para sandałów przeszła obok, nie dalej niż metr od miejsca mojej kryjówki. Ledwo słyszałem jego ciche kroki. Podążył ścieżką, która skręcała w prawo.

Szybko, ale ostrożnie jak wiewiórka, przemykałem tą samą ścieżką. Sokrates szedł w zadziwiającym tempie, ledwie mogłem za nim nadążyć i prawie go zgubiłem. W pewnym momencie, daleko przed sobą, zobaczyłem siwą głowę wchodzącą do Biblioteki Doe. Co on może robić w takim miejscu? – pomyślałem. Drżąc z podniecenia podszedłem bliżej.

Wszedłem przez duże, dębowe drzwi i minąłem grupkę studentów – “rannych ptaszków", którzy odwracali głowy i śmiali się patrząc na mnie. Nie zwracałem na nich uwagi tropiąc swoją ofiarę wzdłuż korytarza. Ujrzałem jak Sokrates skręcił w prawo i zniknął. Podbiegłem do tego miejsca, gdzie zniknął. Nie mogłem się mylić. Wszedł przez te drzwi. Była to męska toaleta i nie było z niej innego wyjścia.

Nie śmiałem wejść do środka. Ustawiłem się przy aparacie telefonicznym. Minęło dziesięć minut, dwadzieścia. Czyż mogłem go zgubić? Mój pęcherz wysyłał sygnały alarmowe. Musiałem wejść do środka – nie tylko żeby znaleźć Sokratesa, ale by skorzystać z toalety. Niby czemu nie? To w końcu był mój teren, nie jego. To on będzie musiał się tłumaczyć. Mimo to sytuaq'a będzie niezręczna.

Wszedłem do wyłożonej kafelkami toalety. W pierwszej chwili nie dostrzegłem nikogo. Załatwiwszy własną potrzebę, zacząłem szukać uważniej. Nie było innych drzwi, więc on nadal musiał tu być. Jakiś mężczyzna wyszedł z kabiny i zobaczył mnie, jak kucając zaglądałem pod drzwi kabin. Pośpiesznie opuścił toaletę kręcąc z dezaprobatą głową i marszcząc brwi.

Powróciłem do poszukiwań. Pochyliłem głowę, rzucając szybkie spojrzenie pod ostatnią kabinę. Najpierw zobaczyłem parę stóp w sandałach, a potem nagle w polu widzenia pojawiła się twarz Sokratesa, do góry nogami, z przechylonym, szerokim uśmiechem. Najwidoczniej stał tyłem do drzwi i nachylając się do przodu wystawił głowę pomiędzy kolanami.

W szoku potknąłem się i przewróciłem do tyłu. Byłem całkowicie zdezorientowany. Nie potrafiłem znaleźć wytłumaczenia swojego dziwacznego zachowania w toalecie.

Sokrates otworzył drzwi kabiny na oścież z promiennym uśmiechem.

– Ojej, można dostać zatwardzenia, gdy się jest śledzonym przez młodego wojownika! – Jego śmiech zagrzmiał w wyłożonym kafelkami pomieszczeniu, a ja poczerwieniałem. Znowu mu się udało! Znowu pozwoliłem z siebie zrobić osła i prawie czułem jak wydłużają mi się uszy. Aż kipiałem ze wstydu i ze złości.

Czułem, że moja twarz robi się czerwona. Spojrzałem w lustro i zobaczyłem, że we włosach mam ładnie upiętą żółtą wstążkę. Wszystko zaczęło nabierać sensu – uśmiechy ludzi i śmiech, gdy szedłem przez miasteczko, i dziwne spojrzenie faceta w toalecie. Sokrates musiał przypiąć mi ją, gdy przysnąłem w krzakach. Nagle poczułem ogromne zmęczenie, odwróciłem się i wyszedłem za drzwi.

Zanim drzwi zamknęły się za mną, usłyszałem Sokratesa, który mówił nie bez tonu sympatii w głosie:

– To miało ci tylko przypomnieć, kto tu jest nauczycielem, a kto uczniem.

Tego popołudnia ćwiczyłem z dziką furią. Nie odzywałem się do nikogo. Przezornie nikt też nie odezwał się do mnie ani słowem. W duszy wściekałem się i przysięgałem, że zrobię wszystko, co niezbędne, aby Sokrates uznał mnie za wojownika.

Jeden z kolegów z grupy zatrzymał mnie, gdy wychodziłem i wręczył kopertę.

– Ktoś zostawił to w biurze trenera. Jest zaadresowana do ciebie, Dan. Jeden z twoich fanów?

– Nie wiem. Dzięki, Herb.

Wyszedłem za drzwi i rozerwałem kopertę. Na gładkiej kartce papieru było napisane: “Gniew jest silniejszy niż lęk, silniejszy niż żal. Twój duch wzrasta. Jesteś gotów na miecz – Sokrates."

3. Uwalniające cięcie

Następnego ranka znad Zatoki nadciągnęła mgła. Przysłoniła letnie słońce i ochłodziła powietrze. Obudziłem się późno. Zrobiłem sobie herbatę i zjadłem jabłko.

Postanowiłem odprężyć się przed przystąpieniem do codziennych zajęć. Wyciągnąłem więc swój mały telewizor i nasypałem ciasteczek do miseczki. Włączyłem jakiś melodramat i pogrążyłem się w cudzych problemach. Gdy tak wpatrywałem się w ekran, zahipnotyzowany filmem, sięgnąłem po kolejne ciasteczko i odkryłem, że miseczka była pusta. Czyżbym zjadł je wszystkie?

Nieco później poszedłem pobiegać na Edwards Field. Spotkałem tam Dwighta, który pracował w Lawrence Hali of Science w Berkeley Hills. Musiałem spytać o jego imię po raz drugi, ponieważ “nie dosłyszałem" za pierwszym razem. Kolejny przykład mojej słabej uwagi i błądzącego umysłu. Po kilku okrążeniach Dwight wspomniał coś o bezchmurnym, błękitnym niebie. Byłem tak pochłonięty myślami, że nawet nie zauważyłem nieba. Potem Dwight skierował się ku wzgórzom – był maratończykiem – a ja wróciłem do domu rozmyślając o własnym umyśle – o ujarzmieniu jego aktywności, jeśli w ogóle o to chodziło.

Zauważyłem, że na sali treningowej jestem w pełni skupiony i precyzyjnie wykonuję każdą czynność, ale kiedy tylko kończę ćwiczenia, moje myśli ponownie przesłaniają mi postrzeganie.

Tego wieczoru poszedłem na stację wcześnie, mając nadzieję spotkać się z Sokratesem już na początku jego zmiany. Robiłem co mogłem, żeby zapomnieć o wczorajszym zajściu w bibliotece i gotów byłem poznać każde antidotum na mój nadaktywny umysł, które Sokrates raczy mi zasugerować.

Czekałem. Minęła północ. Niebawem nadszedł Sokrates.

Gdy tylko weszliśmy do kantoru, zacząłem kichać i wydmuchiwać nos. Byłem lekko przeziębiony. Sokrates nastawił wodę na herbatę, a ja, zgodnie ze swoim zwyczajem, zacząłem zadawać pytania.

– Sokratesie, jak mam zatrzymać myśli, swój umysł – inaczej niż przez rozwijanie poczucia humoru?

– Najpierw musisz zrozumieć skąd się biorą myśli, jak powstają. Teraz, na przykład, jesteś przeziębiony. Te fizyczne objawy mówią ci, że ciało potrzebuje równowagi, chce odbudować właściwą

relację ze światłem słonecznym, świeżym powietrzem, prostym jedzeniem. Pragnie odprężyć się w odpowiednim środowisku.

– Co to wszystko ma wspólnego z moim umysłem?

– Bardzo dużo. Przypadkowe myśli, które ci przeszkadzają i rozpraszają cię, są również oznakami braku harmonii z otoczeniem. Kiedy umysł opiera się życiu, pojawiają się myśli. Kiedy dzieje się coś sprzecznego z przekonaniami, robi się zamieszanie. Myśl jest nieświadomą reakcją na życie.

Na stację wjechał samochód. Na przednich siedzeniach siedziała sztywno starsza para w oficjalnych strojach.

– Chodź ze mną – polecił Sokrates. Zdjął kurtkę i bawełniany podkoszulek, odsłaniając gołą klatkę piersiową i ramiona z chudymi, dobrze zarysowanymi mięśniami pod gładką, półprzeźroczystą skórą.

Podszedł do samochodu od strony kierowcy i uśmiechnął się do zszokowanej pary.

– Czym mogę wam służyć, ludzie? Paliwa dla ducha? Może oleju, żeby złagodził problemy waszego wieku? A może nowy akumulator, by dodał nieco energii waszemu życiu? – Mrugnął do nich porozumiewawczo i stał nieruchomo uśmiechając się, gdy tymczasem auto skoczyło do przodu i umknęło ze stacji. Podrapał się po głowie. – Może właśnie im się przypomniało, że nie zakręcili kranu w domu?

Gdy odpoczywaliśmy w kantorze, popijając herbatę, Sokrates wyjaśnił mi swoją lekcję:

– Widziałeś, że ci ludzie opierali się temu, co dla nich było nienormalną sytuacją. Uwarunkowani swoimi wartościami i lękami, nie nauczyli się reagować spontanicznie. A mogłem stać się główną atrakcją ich dnia! – Po chwili mówił dalej: – Widzisz, Dan, gdy się opierasz temu, co się wydarza, twój umysł zaczyna pracować na przyspieszonych obrotach. Myśli, które w ciebie uderzają, faktycznie są twoim własnym wytworem.

– A czy twój umysł działa inaczej?

– Mój umysł jest jak staw o niezmąconej powierzchni. Natomiast twój umysł jest pełen fal, ponieważ czujesz się oddzielony od nieplanowanych, niepożądanych zdarzeń i często przez nie zagrożony. Twój umysł jest jak staw, do którego ktoś wrzucił ogromny głaz!

Słuchając wpatrywałem się w głąb własnego kubka, kiedy poczułem dotknięcie tuż za uszami. Nagle moja uwaga wzrosła. Wpatrywałem się głębiej, coraz głębiej w kubek, w dół, w dół...

Znajdowałem się pod wodą i patrzyłem w górę. To zabawne! Czyżbym wpadł do własnego kubka z herbatą? Miałem płetwy i skrzela – byłem rybą. Machnąłem ogonem i pomknąłem w kierunku dna, gdzie było cicho i spokojnie.

Nagle potężny głaz rozbił powierzchnię wody. Fale uderzeniowe odrzuciły mnie w tył. Machając płetwami odpłynąłem w poszukiwaniu schronienia. Ukryłem się, czekając aż wszystko się uspokoi. Z upływem czasu przyzwyczaiłem się do małych kamieni, które czasami wpadały do wody, tworząc kręgi na jej powierzchni. Jednak większe chlupnięcia nadal mną wstrząsały.

Ponownie znalazłem się w “suchym" świecie wypełnionym dźwiękiem. Leżałem na sofie i patrzyłem szeroko otwartymi oczami na uśmiechającego się Sokratesa.

– Sokratesie, to było niewiarygodne!

– Proszę, dość tych rybich historii! Cieszę się, że dobrze ci się pływało. Mogę teraz kontynuować? – Nie czekał na odpowiedź. – Byłeś bardzo nerwową rybą, która uciekała przed każdym większym pluskiem. Później przywykłeś do fal, ale nadal nie miałeś wglądu w ich przyczynę. Jak widzisz – mówił dalej – ryba potrzebuje olbrzymiego przeskoku świadomości, aby móc dostrzec źródło fal, znajdujące się poza wodą, w której jest zanurzona. Ty również potrzebujesz podobnego przeskoku świadomości. Kiedy jasno zrozumiesz, czym jest źródło, zobaczysz, że fale twojego umysłu nie mają z tobą nic wspólnego. Będziesz je po prostu obserwował, bez przywiązania, nie będąc zmuszonym do reagowania za każdym razem, gdy do wody wpada kamyk. Gdy uspokoisz swoje myśli, uwolnisz się od niepokoju świata. Pamiętaj, gdy masz zmartwienie, zostaw myśli i zajmij się swoim umysłem!

– Ale jak, Sokratesie?

– Całkiem niezłe pytanie! – wykrzyknął. – Jak już nauczyłeś się podczas swoich treningów, skoki gimnastyczne – czy też świadomości – nie zdarzają się od razu. Ich opanowanie wymaga czasu i praktyki. A praktyką wglądu w źródło własnych fal jest medytacja.

Oznajmiwszy to, przeprosił i wyszedł do toalety. Teraz nadszedł czas, by zaskoczyć go moją niespodzianką.

– Jestem krok przed tobą, Sokratesie – wrzasnąłem z sofy, by mógł usłyszeć mnie przez drzwi toalety. – Tydzień temu zapisałem się do grupy medytacyjnej. Pomyślałem, że sam mógłbym zrobić coś z tym moim starym umysłem – wyjaśniłem. – Co wieczór siedzimy tam razem przez pół godziny. Zaczynam już bardziej się odprężać i trochę kontroluję własne myśli. Zauważyłeś, że jestem spokojniejszy? Powiedz, praktykujesz medytację? Jeśli nie, to mogę ci pokazać, czego się nauczyłem...

Drzwi toalety otworzyły się z hukiem i Sokrates wyskoczył z dzikim, mrożącym krew w żyłach okrzykiem. Trzymając nad głową lśniący miecz samurajski biegł prosto na mnie! Zanim zdążyłem się ruszyć, miecz świsnął tnąc powietrze i zatrzymał się parę centymetrów nad moją głową. Spojrzałem na wiszący nade mną miecz, a potem na Sokratesa. Szczerzył zęby w uśmiechu.

– Wiesz jak zrobić pokazowe wejście! Prawie umarłem ze strachu! – wysapałem.

Ostrze uniosło się powoli. Wisząc nad moją głową, zdawało się rozświetlać całe pomieszczenie. Lśniło tak, że musiałem zmrużyć oczy. Postanowiłem siedzieć cicho.

Ale Sokrates tylko ukłęknął przede mną na podłodze, delikatnie położył miecz pomiędzy nami, usiadł, zamknął oczy, wziął głęboki oddech i znieruchomiał. Obserwowałem go przez chwilę, zastanawiając się, czy ten “śpiący tygrys" obudzi się i rzuci na mnie, jeśli się poruszę. Minęło dziesięć minut, dwadzieścia. Pomyślałem, że być może chce, żebym również medytował, więc zamknąłem oczy i siedziałem przez pół godziny. Potem otworzyłem oczy i obserwowałem go siedzącego jak Budda. Zacząłem się kręcić i wstałem cicho, aby nalać sobie wody. Napełniałem kubek, kiedy położył mi dłoń na ramieniu. Wzdrygnąłem się i woda wylała mi się na buty.

– Sokratesie, wolałbym, żebyś się tak nie skradał. Czy nie mógłbyś robić trochę hałasu?

– Cisza jest sztuką wojownika – powiedział z uśmiechem – a medytacja jest jego mieczem. Jest to główna broń, której użyjesz, aby odciąć się od swoich iluzji. Ale zrozum: użyteczność miecza zależy od szermierza. Ty jeszcze nie wiesz jak używać tej broni, tak więc w twoich rękach może stać się niebezpiecznym, zwodniczym lub bezużytecznym narzędziem. Początkowo medytacja może pomóc ci odprężyć się. Ale ty obnosisz się ze swoim “mieczem", z dumą pokazujesz go przyjaciołom. Lśnienie tego miecza wtrąca wielu medytujących w jeszcze większą iluzję, aż w końcu porzucają go, aby szukać kolejnej “wewnętrznej alternatywy". Natomiast wojownik używa miecza umiejętnie i z głębokim zrozumieniem. Tnie umysł na strzępy, rozpruwając myśli, by ujawnić ich brak istoty. Słuchaj i ucz się:

Gdy Aleksander Wielki maszerował ze swoją armią przez pustynię, dotarł do dwóch grubych lin związanych w potężny węzeł gordyjski. Nikt nie potrafił go rozwiązać, aż stanął przed nim Aleksander. Bez chwili wahania dobył miecza i jednym potężnym cięciem przeciął węzeł na dwie części. Był wojownikiem!

– Tak właśnie musisz atakować węzły swojego umysłu – mieczem medytacji. Aż do czasu, gdy przestaniesz potrzebować jakiejkolwiek broni.

W tym momencie wtoczył się na stację stary volkswagen z karoserią świeżo pomalowaną na biało i z tęczą wymalowaną na boku. Wewnątrz siedziało sześć trudnych do odróżnienia od siebie osób. Gdy zbliżyliśmy się do nich, zobaczyliśmy że są tam dwie kobiety i czterech mężczyzn, wszyscy ubrani od stóp do głów w identyczne niebieskie stroje. Rozpoznałem, że są to członkowie jednej z wielu grup duchowych z rejonu Zatoki. Ludzie ci obłudnie udawali, że nas nie widzą, jakby nasza przyziemność mogła ich skalać.

Oczywiście Sokrates przyjął wyzwanie, natychmiast udając kulawego, sepleniącego osobnika. Drapiąc się bez przerwy, wyglądał zupełnie jak Quasimodo.

– Hej, Jack – powiedział do kierowcy, który miał najdłuższą brodę, jaką kiedykolwiek widziałem. – Chceta paliwa, czy co?

– Tak, chcemy paliwa – odpowiedział mężczyzna głosem łagodnym jak olej sałatkowy.

Sokrates łypnął okiem na dwie kobiety z tyłu i wtykając głowę przez okno wyszeptał głośno:

– Hej, wy medytujecie? – zapytał tak, jakby miał na myśli wyjątkową formę seksualnego wyzwolenia.

– Owszem – odpowiedział kierowca głosem, z którego biła kosmiczna wyższość. – A teraz, czy mógłbyś nalać nam benzyny?

Sokrates dał mi znak, abym napełnił zbiornik, podczas gdy sam zaczął naciskać wszystkie guziki, które miał przed sobą kierowca.

– Ej ty, wiesz, w tej sukni wyglądasz coś jak dziewczyna, facet – nie zrozum mnie złe, jest naprawdę ładna. A czemu się nie golisz? Co tam kryjesz pod tymi kłakami?

Ja kurczyłem się ze wstydu, a Sokrates rozkręcał się na dobre:

– Ej – powiedział do jednej z kobiet. – Czy ten facet, to twój chłopak? Powiedz mi – zwrócił się do mężczyzny na przednim siedzeniu. – Czy wy to w ogóle robicie, czy się oszczędzacie, tak jak pisali w National Enquirer?

Tego było już za wiele. Zanim Sokrates wydał im resztę – guzdrząc się niesamowicie (mylił się w obliczeniach i zaczynał od nowa) – nie mogłem już powstrzymać śmiechu, a ludzie w samochodzie trzęśli się ze złości. Kierowca chwycił drobne i ruszył ze stacji w niezbyt świątobliwy sposób. Gdy samochód odjeżdżał, Sokrates wrzasnął:

– Medytacja dobrze wam robi. Ćwiczcie dalej!

Ledwie zdążyliśmy wrócić do kantoru, gdy na stację wjechał duży chevrolet. Prawie równocześnie z brzdękiem dzwonka rozległo się niecierpliwe trąbienie klaksonu. Wyszedłem z Sokratesem, aby mu pomóc.

Za kółkiem siedział czterdziestoletni “nastolatek" ubrany w jaskrawy, satynowy strój i duży ozdobiony piórami kapelusz safari. Był niesamowicie nerwowy i bezustannie stukał dłonią w kierownicę. Obok niego siedziała kobieta w trudnym do określenia wieku. Mrugała sztucznymi rzęsami i pudrowała nos przeglądając się w tylnim lusterku.

Z jakiegoś powodu ich widok mnie raził. Wyglądali głupio. Miałem ochotę powiedzieć: “Dlaczego nie zachowujecie się odpowiednio do swojego wieku?", lecz tylko obserwowałem i czekałem.

– Ej, facet, masz tu automat z papierosami? – zapytał nerwowy kierowca.

Sokrates przestał robić to, co robił.

– Nie, proszę pana, ale trochę dalej jest całodobowy sklep – odpowiedział z ciepłym uśmiechem, po czym z pełną uwagą wrócił do pilnowania paliwa. Wydał resztę w taki sposób, jakby podawał herbatę cesarzowi.

Gdy samochód odjechał pozostaliśmy jeszcze przy pompie wdychając nocne powietrze.

– Tych ludzi potraktowałeś tak uprzejmie, a byłeś zdecydowanie nieprzyjemny w stosunku do odzianych w niebieskie stroje poszukiwaczy duchowych, którzy przecież na pewno byli na wyższym poziomie rozwoju. O co tu chodzi?

Choć raz dał mi prostą, bezpośrednią odpowiedź.

– Jedyne poziomy jakie powinny cię interesować to mój i twój – powiedział z uśmiechem. – Ci ludzie potrzebowali uprzejmości. Natomiast poszukiwacze duchowi potrzebowali czegoś innego, co sprowokowałoby ich do myślenia.

– A czego ja potrzebuję? – bąknąłem.

– Więcej praktyki – odpowiedział szybko. – Twoja tygodniowa medytacja nie pomogła ci zachować spokoju, gdy biegłem na ciebie z mieczem, ani też nie pomogła naszym niebiesko odzianym przyjaciołom, kiedy trochę z nich pożartowałem. Inaczej mówiąc – przewrót w przód to jeszcze nie cała gimnastyka. Technika medytacyjna to tylko część drogi wojownika. Jeżeli nie dostrzeżesz całości obrazu, możesz ulec złudzeniu, możesz ćwiczyć przez całe życie jedynie przewroty w przód – lub tylko medytację – i w ten sposób osiągniesz tylko częściową korzyść z treningu. To, czego ci potrzeba, aby utrzymać właściwy kurs, to specjalna mapa, która obejmowałaby cały badany teren. Wtedy zrozumiesz przydatność – i ograniczenia – medytacji. A ja się pytam – gdzie można dostać dobrą mapę?

– Oczywiście, na stacji benzynowej!

– Dobrze, proszę pana, zapraszam więc do kantoru. Dam panu odpowiednią mapę.

Śmiejąc się, weszliśmy przez drzwi do garażu. Klapnąłem na sofie, a Sokrates bezszelestnie usadowił się pomiędzy solidnymi poręczami swojego pokrytego pluszem krzesła.

Wpatrywał się we mnie przez pełną minutę.

– Oho – mruknąłem nerwowo pod nosem – coś się szykuje.

– Problem polega na tym – westchnął w końcu – że nie potrafię wyznaczyć terenu dla ciebie, przynajmniej nie w tylu... słowach. – Wstał i podszedł do mnie z błyskiem w oku, który zapowiadał, że mam pakować walizki – wybierałem się w podróż.

Przez chwilę czułem, że z jakiegoś miejsca w kosmosie rozszerzam się z prędkością światła, nadymam, eksploduję do najdalszych granic istnienia, aż stałem się wszechświatem. Nie pozostało nic, co nie byłoby we mnie. Stałem się wszystkim. Byłem Świadomością rozpoznającą samą siebie. Byłem czystym światłem, które fizycy zrównują z całą materią, a poeci nazywają miłością. Byłem jednym i byłem wszystkim, przekraczając blaskiem wszystkie światy. W tym jednym momencie to, co wieczne, niepoznawalne, zostało mi objawione bez cienia wątpliwości.

W jednej chwili znalazłem się z powrotem w swojej własnej śmiertelnej formie, unosząc się pośród gwiazd. Ujrzałem pryzmat w kształcie ludzkiego serca, który wielkością przewyższał wszystkie galaktyki. Rozszczepiał on światło świadomości w eksplozję jaśniejących kolorów, promienie mieniące się wszystkimi barwami tęczy rozchodziły się po całym kosmosie.

Moje własne ciało stało się promiennym pryzmatem, emanującym na wszystkie strony wielokolorowe światło. Pojąłem, że najwyższym celem ludzkiego ciała jest stać się czystym kanałem dla tego światła – by jego jasność mogła rozpuszczać wszelkie przeszkody, wszelkie trudności, wszelki opór.

Czułem światło rozchodzące się po całym ciele. Zrozumiałem, że świadomość człowieka to sposób, w jaki doświadcza on światła świadomości.

Poznałem znaczenie uwagi – jest to celowe ukierunkowanie świadomości. Ponownie poczułem własne ciało – tym razem jako puste naczynie. Spojrzałem na nogi – wypełniły się ciepłym, promiennym światłem, przechodzącym w jasność. Spojrzałem na ramiona – to samo. Skupiałem uwagę na każdej części ciała, aż raz jeszcze cały stałem się światłem. W końcu uświadomiłem sobie proces prawdziwej medytacji – rozszerzać świadomość, ukierunkowywać uwagę, by w końcu poddać się Światłu Świadomości.

W ciemności błyskało światło. Obudziłem się, gdy Sokrates wymachiwał mi przed oczami świecącą latarką.

– Światło nawaliło – powiedział oświetlając sobie twarz latarką i obnażając zęby jak dynia podczas Halloween. – No i co, czy teraz to wszystko jest dla ciebie trochę jaśniejsze? – zapytał. Zabrzmiało to jakbym właśnie poznał zasadę działania żarówki, aniżeli widział duszę wszechświata. Ledwo mogłem mówić.

– Sokratesie, mam wobec ciebie dług, którego nigdy nie będę w stanie spłacić. Rozumiem teraz wszystko i wiem co muszę zrobić. Nie sądzę, żebym musiał się jeszcze z tobą spotykać. – Smutno mi było na myśl, że już zdałem egzamin końcowy. Będzie mi brakowało Sokratesa.

On spojrzał na mnie z wyrazem zaskoczenia na twarzy, a potem zaczął się śmiać głośniej niż kiedykolwiek przedtem. Cały się trząsł, a łzy spływały mu po policzkach. W końcu uspokoił się i wyjaśnił powód swojego śmiechu.

– Jeszcze nie skończyłeś, junior. Twoja praca ledwie się zaczęła. Spójrz na siebie. Zasadniczo jesteś tym samym, który wszedł tu parę miesięcy temu. To, co ujrzałeś, to była tylko wizja, a nie ostateczne doznanie. Z czasem pamięć o tym zblednie, ale nawet wtedy posłuży jako podstawa twojej praktyki. Teraz odpręż się i przestań zachowywać się tak poważnie!

Odchylił się do tyłu, jak zawsze z przekornym uśmiechem.

– Widzisz – powiedział lekko – te małe podróże oszczędzają mi wielu trudnych wyjaśnień, których musiałbym ci udzielać, żeby cię oświecić. – Właśnie w tym momencie zapaliło się światło i obaj roześmialiśmy się.

Sięgnął do małej lodówki stojącej obok chłodziarki z wodą i wyjął z niej kilka pomarańczy, które zaczął wyciskać przygotowując sok.

– Jeśli chcesz wiedzieć – kontynuował – ty też oddajesz mi przysługę. Ja również “utknąłem" w tym miejscu, czasie i przestrzeni, i mam pewien dług do spłacenia. Duża część mnie zaangażowała się w twój postęp. Aby cię uczyć – powiedział wrzucając skórki pomarańczy przez ramię do kosza (za każdym razem idealnie trafiał) – dosłownie musiałem wsadzić w ciebie część siebie. To spora inwestycja, wierz mi. A więc niewątpliwie jest to wysiłek zespołowy.

Skończył przygotowywać sok i wręczył mi małą szklankę.

– Spełnijmy więc toast – powiedziałem – za udaną współpracę.

– Dobra – uśmiechnął się.

– Powiedz mi coś o tym długu. Komu jesteś go winien?

– Powiedzmy, że to część Zasad Gry.

– To głupia odpowiedź.

– Może i głupia, niemniej jednak w moim biznesie muszę przestrzegać określonych zasad. – Wyjął małą wizytówkę. Wyglądała całkiem normalnie, dopóki nie zauważyłem słabej poświaty wokół niej. Wytłoczony napis głosił:

Firma: Wojownik

Właściciel: Sokrates

Specjalizacja: Paradoks, humor i zmiana

– Schowaj ją dobrze. Pewnego dnia może ci się przydać. Kiedy będziesz mnie potrzebował – kiedy naprawdę będziesz mnie potrzebował – po prostu weź wizytówkę do rąk i zawołaj mnie. Zjawię się w ten czy w inny sposób.

Włożyłem ją pieczołowicie do portfela.

– Będę jej pilnował, Sokratesie. Możesz na to liczyć. Eee, a tak przy okazji, nie masz takiej wizytówki z adresem Joy?

Zignorował mnie.

Siedzieliśmy w milczeniu, kiedy Sokrates zaczął przygotowywać jedną ze swoich chrupiących sałatek. Wtedy przyszło mi do głowy pytanie.

– Sokratesie, jak mam to zrobić? Jak mam otworzyć się na światło świadomości?

– No cóż – odpowiedział pytaniem na pytanie – co robisz, kiedy chcesz widzieć?

– Patrzę! – zaśmiałem się. – Aha, masz na myśli medytację, tak?

– Tak! – odpowiedział. – A oto jej rdzeń – powiedział kończąc krojenie warzyw. – Istnieją dwa równoległe procesy: Jednym jest wgląd – chęć uwagi, ukierunkowywanie świadomości tak, aby skupiała się dokładnie na tym, co chcesz widzieć. Drugim procesem jest poddanie się – swobodny przepływ wszystkich pojawiających się myśli. To jest prawdziwa medytacja – w ten sposób odcinasz się od umysłu.

– Opowiem ci historyjkę, która dobrze pasuje do tematu:

Student medytacji siedział w głębokiej ciszy wraz z grupką innych praktykujących. Przerażony wizją krwi, śmierci i demonów, wstał, podszedł do nauczyciela i wyszeptał:

– Roszi, miałem właśnie przerażającą wizję!

– Zostaw to – powiedział nauczyciel.

Parę dni później student rozkoszował się fantastycznymi wizjami erotycznymi, wglądami w sens życia, aniołami i kosmicznymi dekoracj'ami.

– Zostaw to – powiedział nauczyciel, podchodząc z tyłu z kijem i wymierzając studentowi tęgie uderzenie.

Rozbawiony tą historią roześmiałem się i powiedziałem: – Wiesz, myślę że...

– Zostaw to! – powiedział Sokrates i stuknął mnie w głowę marchewką.

Jedliśmy. Ja nabierałem warzywa widelcem – on podnosił je kawałek po kawałku pałeczkami, oddychając spokojnie w trakcie przeżuwania. Nigdy nie brał kolejnego kawałka, dopóki nie skończył z poprzednim, jakby każdy kęs sam w sobie był małym posiłkiem. W pewnym sensie podziwiałem jego sposób jedzenia, bo sam łapczywie pochłaniałem wszystkie posiłki. Skończyłem jeść pierwszy, usiadłem wygodnie i oznajmiłem:

– Sądzę, że jestem gotów na prawdziwą medytację.

– Ach tak? – Sokrates odłożył pałeczki. – Na podbój umysłu, co? Gdybyś tylko był chętny.

– Jestem chętny! Chcę samoświadomości. Dlatego właśnie tu jestem.

– Chcesz samopotwierdzenia, a nie samoświadomości. Jesteś tu, bo nie masz lepszego wyboru.

– Ale ja naprawdę chcę uwolnić się od swojego hałaśliwego umysłu – zaprotestowałem.

– To twoja największa ze wszystkich iluzja, Dan. Jesteś jak facet, który odmawia założenia okularów i upiera się, że gazety i tak nie są już drukowane wyraźnie.

– Mylisz się – powiedziałem, kręcąc głową.

– Nie oczekuję, żebyś już dostrzegał prawdę, ale musisz ją usłyszeć.

– Do czego zmierzasz? – zapytałem niecierpliwie, a moja uwaga rozpłynęła się.

– Oto sedno sprawy – powiedział Sokrates głosem, który zmusił mnie do ponownego skupienia uwagi. – Identyfikujesz się ze swoimi drobnymi, dokuczliwymi, zasadniczo kłopotliwymi przekonaniami i myślami – wierzysz, że jesteś swoimi myślami.

– Nonsens!

– Twoje uporczywe iluzje są jak tonący statek, junior. Radzę ci, żebyś je porzucił, póki jest jeszcze czas.

– A skąd ty możesz wiedzieć w jaki sposób "utożsamiam się" ze swoim umysłem? – stłumiłem rosnący gniew.

– No dobrze – westchnął. – Udowodnię ci to. Co masz na myśli kiedy mówisz: Idę do domu? Czyż w naturalny sposób nie przyjmujesz, że jesteś oddzielony od domu, w którym mieszkasz?

– No oczywiście! To głupi przykład.

– A co masz na myśli – zapytał ignorując mnie – kiedy mówisz: Moje ciało jest dziś obolałe? Kto jest tym "ja", które jest oddzielone od ciała i mówi o nim jak o własności?

Musiałem się roześmiać.

– To tylko semantyka, Sokratesie. Trzeba to jakoś powiedzieć.

– Zgadza się, ale konwencje języka ujawniają sposób w jaki widzimy świat. A ty faktycznie zachowujesz się tak, jakbyś był "umysłem" lub czymś subtelnym wewnątrz ciała.

– Niby dlaczego miałbym chcieć to robić?

– Ponieważ twoim największym lękiem jest lęk przed śmiercią, a najgłębszym pragnieniem jest chęć przeżycia. Chcesz czegoś Na Zawsze, pragniesz Wieczności. W swoich złudnych przekonaniach, że jesteś tym "umysłem", "duchem" lub "duszą" znajdujesz dającą ci ucieczkę klauzulę w swoim kontrakcie ze śmiertelnością. A może jako "umysł" będziesz mógł po śmierci ciała wylecieć z niego machając skrzydłami, co?

– Niezła myśl – uśmiechnąłem się.

– O to właśnie chodzi, Dan! To jest tylko myśl, nie więcej niż złudna mrzonka. Prawda jest taka: świadomość nie jest w ciele, to raczej ciało jest w świadomości. A ty jesteś tą świadomością – nie upiornym umysłem, który tak cię dręczy. Jesteś ciałem, ale jesteś też wszystkim innym. Właśnie to pokazała ci twoja wizja. Tylko że umysł zagrożony zmianami jest zakłamany. Jeśli więc bez żadnych myśli odprężysz się w ciele, to będziesz szczęśliwy, zadowolony i wolny, nie odczuwając oddzielenia. Nieśmiertelność jest już twoja, ale nie w sposób, w jaki sobie to wyobrażasz czy na jaki masz nadzieję. Byłeś nieśmiertelny jeszcze zanim się narodziłeś i będziesz długo po tym, jak ciało rozpadnie się. Ciało jest świadomością i jest nieśmiertelne. Ono tylko się zmienia. Umysł – twoje własne osobiste przekonania, historia i tożsamość – to jedyne, co jest śmiertelne. Więc komu jest on potrzebny?

Sokrates rozluźnił się na fotelu na znak, że skończył.

– Sokratesie – powiedziałem – nie jestem pewien, czy wszystko zrozumiałem.

– Oczywiście, że nie! – roześmiał się. – Tak czy owak, słowa niewiele znaczą, dopóki samemu nie uświadomisz sobie ich prawdy. Wtedy wreszcie poczujesz się wolny i bezradnie runiesz w wieczność.

– To brzmi całkiem nieźle.

– Tak – roześmiał się. – Powiedziałbym, że to jest "całkiem niezłe". Ale teraz jedynie kładę podwaliny pod to, co nastąpi.

– Sokratesie, jeżeli nie jestem swoimi myślami, to czym jestem? Spojrzał na mnie jakby skończył właśnie wyjaśniać, że jeden plus jeden równa się dwa, a ja spytałbym: “Tak, ale co to jest jeden plus jeden?" Sięgnął do lodówki, chwycił cebulę i wcisnął mi ją w dłoń.

– Obieraj ją, warstwa po warstwie – zażądał. Zacząłem obierać. – Co znalazłeś?

– Następną warstwę.

– Obieraj dalej.

Obrałem kilka następnych warstw.

– Jeszcze, Sokratesie?

– Obieraj dalej, aż nie będzie już więcej warstw. Co znalazłeś?

– Nic nie zostało.

– Nie, coś przecież jest.

– Co takiego?

– Wszechświat. Rozważ to, gdy będziesz szedł do domu. Wyjrzałem przez okno. Już prawie świtało.

Następnego wieczoru po niezbyt udanej sesji medytacyjnej, wciąż pogrążony w myślach, wróciłem na stację.

Był wczesny wieczór. Nie było dużego ruchu, usiedliśmy więc wygodnie w kantorze, popijając herbatę miętową. Opowiedziałem Sokratesowi o mojej bezbarwnej medytacji.

Tak, twoja uwaga jest nadal rozproszona. Pozwól, że opowiem ci następującą historię:

Student Zen zapytał swego nauczyciela co jest najważniejszym elementem Zen.

– Uwaga – odpowiedział roszi.

– Tak, dziękuję – odpowiedział student. – Ale czy możesz powiedzieć mi, co jest drugim pod względem ważności elementem?

– Uwaga – odpowiedział mu roszi.

Zmieszany popatrzałem na Sokratesa czekając na dalszy ciąg.

– To już wszystko – powiedział. Wstałem, żeby nalać sobie wody.

– Czy zwracasz uwagę na to, jak stoisz? – zapytał Sokrates.

– Hm, tak – odpowiedziałem, niezbyt pewny, czy tak jest naprawdę. Podszedłem do dystrybutora.

– Czy zwracasz uwagę na to, jak idziesz? – zapytał.

– Tak, zwracam – odpowiedziałem, łapiąc już o co chodzi.

– A czy zwracasz uwagę na to, w jaki sposób mówisz?

– No, tak sądzę – odpowiedziałem, słuchając własnego głosu. Powoli robiłem się zły.

– Czy zwracasz uwagę na to, w jaki sposób myślisz? – zapytał.

– Sokratesie, daj mi spokój. Staram się najlepiej jak potrafię! Twoje najlepiej jest nie dość dobre! – Pochylił się w moją stronę. – Intensywność twojej uwagi musi palić. Bezcelowe przewracanie się po macie sali gimnastycznej z nikogo nie uczyni mistrza. Siedzenie z zamkniętymi oczami i pozwalanie, żeby uwaga wędrowała, nie wyćwiczy twojej świadomości. Intensywność praktyki przynosi proporcjonalne korzyści. Oto następująca opowieść:

Dzień za dniem siedziałem w klasztorze, zmagając się z koanem – rebusem, który dał mi mój nauczyciel w celu pobudzenia mojego umysłu, tak abym mógł ujrzeć jego prawdziwą naturę. Nie potrafiłem go rozwiązać. Za każdym razem, kiedy szedłem do rosziego, nie miałem mu nic do zaoferowania. Byłem leniwym studentem i stopniowo zniechęcałem się. Roszi powiedział mi, żebym popracował nad koanem jeszcze przez jeden miesiąc.

– Wtedy na pewno go rozwiążesz – zachęcał mnie.

Minął miesiąc. Próbowałem ze wszystkich sił. Koan pozostał tajemnicą.

– Popracuj nad nim jeszcze tydzień, całym sercem! – powiedział mi roszi. Dzień i noc koan płonął w mojej głowie, ale nadal nic nie potrafiłem przez niego zobaczyć.

– Jeszcze jeden dzień – powiedział mi roszi – całą duszą. Pod koniec dnia byłem wyczerpany.

– Mistrzu – powiedziałem mu – to nie ma sensu. Miesiąc, tydzień, dzień – nie mogę przebić się przez koan.

Mój mistrz popatrzył na mnie długo.

– Medytuj jeszcze przez godzinę – powiedział. – Potem, jeżeli nie rozwiążesz koanu, będziesz musiał się zabić.

– Dlaczego wojownik powinien przesiadywać w medytacji? Myślałem, że bycie wojownikiem jest drogą działania.

– Medytacja jest działaniem niedziałania. Ale masz rację, droga wojownika jest bardziej dynamiczna. W końcu nauczysz się medytować w każdej sytuacji. Jednakże na początku medytowanie w pozycji siedzącej jest rytuałem, szczególnym czasem przeznaczonym na zwiększenie intensywności praktyki. Musisz opanować rytuał, zanim będziesz mógł odpowiednio rozszerzyć go na życie powszednie. Jako nauczyciel użyję każdej metody i każdego fortelu, jaki mam do dyspozycji, aby zainteresować cię i pomóc ci wytrwać w pracy. Gdybym po prostu podszedł do ciebie i przekazał ci sekret szczęścia, nawet byś mnie nie wysłuchał. Potrzebowałeś faceta, który by cię zafascynował, zainspirował lub wskakiwał na dachy, żeby cię zainteresować. No cóż, gotów jestem cię zabawiać, przynajmniej na razie, ale nadchodzi taki czas, kiedy wojownik musi pójść ścieżką samotnie. Na razie zrobię wszystko co konieczne, aby cię tu zatrzymać i uczyć.

Poczułem się manipulowany. Byłem zły.

– A więc mam zestarzeć się, siedząc na tej stacji benzynowej tak jak ty i czekając na sposobność, żeby rzucić się na jakichś niewinnych studentów? – Pożałowałem mojej uwagi, gdy tylko mi się wymknęła.

Sokrates z niezmąconym spokojem uśmiechnął się.

– Nie myl tego miejsca, Dan, ani twojego nauczyciela z czymś innym – powiedział cicho. – Rzeczy i ludzie nie zawsze są takie, na jakie wyglądają. Mnie określa wszechświat, a nie ta stacja. A co do tego, dlaczego powinieneś tu zostać i co możesz zyskać – to czyż nie jest to oczywiste? Zobacz, ja jestem w pełni szczęśliwy, a ty? Podjechał samochód. Z jego chłodnicy buchały kłęby pary.

– Chodź – powiedział. – Ten samochód cierpi. Może będziemy musieli go dobić i zakończyć jego cierpienia.

Wyszliśmy na zewnątrz i podeszliśmy do uszkodzonego auta, w którym gotowała się woda w chłodnicy. Właściciel był w podłym nastroju, wściekał się.

– Co tak długo? Nie mam zamiaru czekać tu całą noc, do cholery!

Sokrates popatrzył na niego z pełnym miłości współczuciem.

– Zobaczymy, co się da zrobić. Może to tylko drobiazg. Poprosił kierowcę, aby wjechał do garażu. Tam założył pokrywę ciśnieniową na chłodnicę i znalazł nieszczelność. W ciągu paru minut zespawał dziurę, ale powiedział kierowcy, że niedługo powinien postarać się o nową chłodnicę.

– Wszystko umiera i zmienia się, nawet chłodnice – mrugnął do mnie.

Gdy samochód odjechał, dotarła do mnie prawda słów Sokratesa. On naprawdę był w pełni szczęśliwy! Zdawało się, że nic nie ma wpływu na jego dobry nastrój. Przez cały czas naszej znajomości okazywał gniew, smutek, był łagodny, uparty, zabawny, a nawet zatroskany. Ale zawsze szczęście błyszczało w jego oczach, nawet wtedy, gdy były w nich łzy.

Myślałem o Sokratesie idąc do domu. Mój cień wydłużał się i kurczył, gdy przechodziłem pod latarniami. Zbliżając się do domu kopnąłem kamień, który poleciał w ciemność. Szedłem cicho podjazdem na tył domu, gdzie pod gałęziami orzecha włoskiego czekał na mnie mój mały apartament przebudowany z garażu. Do świtu brakowało kilku godzin.

Położyłem się do łóżka, ale nie mogłem zasnąć. Zastanawiałem się, czy potrafię odkryć jego tajemnicę szczęścia. Wydawało się to teraz ważniejsze nawet od wskakiwania na dachy.

Wtedy przypomniałem sobie o wizytówce, którą mi dał. Wyskoczyłem szybko z łóżka i zapaliłem światło. Sięgnąłem do portfela i wyciągnąłem wizytówkę. Serce zaczęło mi bić szybko. Sokrates powiedział, że jeśli będę go naprawdę potrzebował, mam wziąć ją w dłonie i po prostu zawołać go. Dobra, zamierzałem go sprawdzić.

Stałem przez chwilę, drżąc. Kolana zaczęły mi się trząść. Wziąłem lekko połyskującą wizytówkę w obie ręce i zawołałem:

– Sokratesie, chodź tu Sokratesie. Wzywa Dan.

Czułem się jak zupełny idiota, stojąc tak o piątej rano z połyskującą wizytówką w dłoniach i gadając w powietrze. Nic się nie wydarzyło. Rozgoryczony rzuciłem ją niedbale na stolik. W tym momencie zgasło światło.

– Co jest! – wrzasnąłem i obróciłem się wkoło próbując wyczuć, czy go tu nie ma. Zrobiłem krok w tył i – jak w klasycznym filmie – potknąłem się, przeleciałem przez krzesło, odbiłem się od łóżka i wylądowałem jak długi na podłodze. Światło znowu się zapaliło. Jeżeli ktoś znalazłby się w tej chwili w zasięgu słuchu, mógłby pomyśleć, że jestem studentem trudzącym się nad starożytnymi greckimi dziełami. Któż inny wrzeszczy o piątej rano: "Cholerny Sokrates!"

Nigdy nie dowiem się, czy chwilowy brak światła był zwykłym zbiegiem okoliczności, czy też nie. Sokrates powiedział tylko, że przyjdzie – nie powiedział jak. Zakłopotany wziąłem wizytówkę, żeby wsadzić ją z powrotem do portfela, gdy zauważyłem na niej zmianę. Na dole pojawiły się trzy słowa wydrukowane grubą czcionką: "Tylko nagłe potrzeby!"

Śmiejąc się zasnąłem w przeciągu paru sekund.

Zaczęły się letnie treningi. Dobrze było zobaczyć stare, znajome twarze. Herb zapuścił brodę. Rick i Sid zadbali o ciemną, letnią opaleniznę i wyglądali szczuplej i silniej niż zwykle.

Tak bardzo chciałem podzielić się z kolegami z zespołu moimi przeżyciami i tym, czego się uczyłem, ale wciąż nie wiedziałem od czego zacząć. Wtedy przypomniałem sobie o wizytówce Sokratesa. Zanim zaczęła się rozgrzewka, odciągnąłem Ricka na bok.

– Hej, chcę ci coś pokazać.

Wiedziałem, że gdy zobaczy tę lśniącą wizytówkę i "specjalności" Sokratesa, to będzie chciał się dowiedzieć o nim czegoś więcej. Może wszyscy się zainteresują.

Po teatralnej przerwie, wyciągnąłem wizytówkę i podsunąłem mu pod nos.

– Spójrz na to – dziwne, co? Ten facet jest moim nauczycielem! Rick spojrzał na wizytówkę, odwrócił ją, potem spojrzał na

mnie wzrokiem tak pustym jak sama wizytówka.

– To ma być żart? Nie rozumiem, Dan.

Spojrzałem na wizytówkę, potem odwróciłem ją.

– Och – mruknąłem, wtykając kawałek papieru z powrotem do portfela – to pomyłka, Rick. Zaczynajmy rozgrzewkę.

Westchnąłem w duchu. To tylko umocni w grupie moją reputację dziwaka.

Sokratesie, pomyślałem, co za tani trik – znikający atrament!

Tego wieczoru, gdy wchodziłem do kantoru, trzymałem wizytówkę w ręce. Rzuciłem ją na biurko.

– Chciałbym, żebyś przestał płatać mi figle, Sokratesie. Jestem zmęczony robieniem z siebie głupka.

– Och? – spojrzał na mnie ze współczuciem. – Czyżbyś znowu wyszedł na idiotę?

– Sokratesie, daj spokój. Proszę cię – czy mógłbyś z tym skończyć?

– Skończyć z czym?

– Ten numer ze znikającym... – Kątem oka dostrzegłem lekką poświatę w okolicy biurka:

Firma: Wojownik

– Właściciel: Sokrates

Specjalizacja: Paradoks, humor i zmiana

Tylko nagłe potrzeby!

– Nie rozumiem – wymamrotałem. – Czy ta wizytówka się zmienia?

– Wszystko się zmienia – odparł.

– Tak wiem, ale czy znika i pojawia się znowu?

– Wszystko znika i pojawia się znowu.

– Sokratesie, kiedy pokazałem ją Rickowi, była pusta.

– To Zasady Gry – wzruszył ramionami z uśmiechem.

– Nie jesteś zbyt pomocny. Chcę wiedzieć, jak...

– Zostaw to – powiedział. – Zostaw to.

Lato minęło szybko na intensywnych treningach i nocach z Sokratesem. Połowę czasu poświęcaliśmy na ćwiczenie medytacji, resztę zajmowała nam praca w garażu lub po prostu relaks przy herbacie. Wtedy czasami pytałem o Joy. Tęskniłem za nią. Sokrates nigdy mi nie odpowiadał.

Wraz z nieuchronnie nadchodzącym końcem wakacji mój umysł powędrował ku zbliżającym się wykładom. Postanowiłem polecieć na tydzień do Los Angeles, odwiedzić rodziców. Mógłbym zostawić valianta tutaj w garażu i kupić tam motocykl, którym wróciłbym wzdłuż wybrzeża.

Szedłem przez Telegraph Avenue chcąc zrobić trochę zakupów. Właśnie wychodziłem z apteki z pastą do zębów w ręku, kiedy podszedł do mnie chudy nastolatek. Podszedł tak blisko, że poczułem od niego zapach alkoholu i potu.

– Dasz trochę drobnych? – zapytał, nie patrząc na mnie.

– Nie, przykro mi – odpowiedziałem, nie czując wcale, żeby było mi przykro. Znajdź sobie pracę, pomyślałem odchodząc. Potem zaczęło mnie gnębić niejasne poczucie winy. Powiedziałem “nie" żebrakowi bez grosza. Nie powinienem podchodzić do ludzi w ten sposób! – pomyślałem rozdrażniony.

Przeszedłem kilkadziesiąt metrów, nim zdałem sobie sprawę z całego zamieszania w moim umyśle i napięcia jakie spowodowało to, że jakiś facet poprosił mnie o trochę pieniędzy, a ja odmówiłem. W tej chwili zostawiłem to. Czując się lżej, wziąłem głęboki oddech, strząsnąłem z siebie napięcie i skierowałem uwagę na piękno dnia.

Tego wieczoru na stacji opowiedziałem Sokratesowi o moich planach.

– Sokratesie, na parę dni lecę do Los Angeles odwiedzić moją rodzinę. Zamierzam tam kupić sobie motor. I właśnie dziś po południu dowiedziałem się, że Federacja Gimnastyczna Stanów Zjednoczonych zamierza posłać Sida i mnie do Lubljany w Jugosławii, żebyśmy mogli obserwować Mistrzostwa Świata w Gimnastyce. Uważają, że obaj jesteśmy potencjalnymi kandydatami na olimpijczyków i chcą, żebyśmy się przyjrzeli zawodom. Jak ci się to podoba?

Ku mojemu zdziwieniu Sokrates tylko zmarszczył brwi.

– Co będzie to będzie – powiedział. Postanowiłem zignorować go i ruszyłem do drzwi.

– To na razie. Do zobaczenia za parę tygodni.

– Zobaczymy się za parę godzin – odpowiedział. – Czekaj na mnie w południe przy fontannie Ludwiga.

– Dobra! – odparłem zastanawiając się, co się szykuje. Potem pożegnałem się z nim.

Przespałem się sześć godzin i pobiegłem do fontanny znajdującej się przed Związkiem Studenckim. Fontanna Ludwiga zyskała swoją nazwę od psa, który miał zwyczaj bywać w tym miejscu.

Parę innych psów baraszkowało i chlapało się, chłodząc się w sierpniowym upale. Kilkoro dzieci brodziło w płytkiej wodzie.

W chwili gdy kampanila, słynna dzwonnica w Berkeley, zaczęła wybijać południe, ujrzałem cień Sokratesa u swoich stóp.

Nadal byłem trochę śpiący.

– Przejdźmy się – powiedział. Poszliśmy powoli przez miasteczko uniwersyteckie, minęliśmy Sproul Hali, Szkołę Optometrii i Szpital Cowella. Wyszliśmy poza stadion futbolowy i weszliśmy do Strawberry Canyon.

W końcu Sokrates przemówił.

– Zacząłeś, Dan, świadomy proces transformacji. Nie można go już cofnąć. Nie ma powrotu. Próba powrotu zakończyłaby się szaleństwem. Teraz możesz tylko iść naprzód. Jesteś na to skazany.

– Masz na myśli, że jestem jak w więzieniu? – spróbowałem żartować.

– Są chyba jakieś podobieństwa – uśmiechnął się.

Szliśmy dalej w milczeniu ścieżką dla biegaczy w cieniu wybujałych krzewów.

– Po przekroczeniu pewnego punktu nikt ci już nie pomoże, Dan. Będę jeszcze prowadził cię przez pewien czas, ale nawet ja będę musiał wycofać się, a ty pozostaniesz sam. Zanim to nastąpi, przejdziesz ciężki test. Będziesz musiał rozwinąć wielką wewnętrzną moc. Mam tylko nadzieję, że przyjdzie ona w porę.

Delikatna bryza znad Zatoki ucichła. Czułem chłód, choć powietrze było gorące. Drżąc w upale obserwowałem jaszczurkę, która przemykała w zaroślach. Właśnie dotarły do mnie ostatnie słowa Sokratesa. Obejrzałem się za nim.

Odszedł.

Przerażony, nie wiedząc dlaczego, pobiegłem ścieżką z powrotem. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, ale mój okres przygotowania zakończył się. Właściwy trening miał się właśnie rozpocząć. I miał rozpocząć się próbą, której omal nie przypłaciłem życiem.

Księga Druga
TRENING WOJOWNIKA

4. Ostrzenie miecza

Zostawiłem valianta w wynajętym garażu i wsiadłem do autobusu “F" jadącego do San Francisco. W drodze na lotnisko autobus utknął w korku ulicznym. Wyglądało na to, że spóźnię się na samolot. W mojej głowie pojawiły się niespokojne myśli i poczułem napięcie w brzuchu. Gdy tylko to zauważyłem, “zostawiłem" to wszystko, tak jak się nauczyłem. Odprężyłem się i z radością oglądałem widoki rozciągające się wzdłuż autostrady Bayshore. Rozmyślałem o mojej rosnącej zdolności opanowywania stresujących myśli, które notorycznie trapiły mnie w przeszłości. Okazało się, że złapałem samolot na sekundy przed odlotem.

Ojciec – starsza wersja mnie z przerzedzonymi włosami, w jasnoniebieskiej sportowej koszuli okrywającej muskularny tors przywitał mnie na lotnisku silnym uściskiem dłoni i ciepłym uśmiechem. Na twarzy mamy pojawił się promienny uśmiech, gdy w drzwiach domu witała mnie uściskami, pocałunkami i nowinkami na temat mojej siostry i jej dzieci.

Tego wieczoru z okazji mojej wizyty mama zagrała na pianinie fragment utworu Bacha. Następnego ranka o świcie poszedłem z ojcem na pole golfowe. Przez cały czas kusiło mnie, żeby opowiedzieć im o moich przygodach z Sokratesem, ale pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli to przemilczę. Być może kiedyś wyjaśnię wszystko w liście. Dobrze było odwiedzić dom, lecz wydawał się on tak odległy w przestrzeni i czasie.

Gdy po grze w golfa siedzieliśmy w saunie w ośrodku sportowym Jacka LaLanne'a, ojciec powiedział:

– Danny, życie akademickie ci służy. Jesteś inny, bardziej odprężony, milszy. Nie mówię, że nie byłeś miły wcześniej... – Szukał właściwych słów, ale rozumiałem, co ma na myśli.

Uśmiechnąłem się. Gdyby tylko wiedział.

Przez większość czasu w Los Angeles szukałem motocykla i w końcu znalazłem Triumpha 500 cc. Przyzwyczajenie się do niego zajęło mi parę dni. Dwa razy, gdy wydawało mi się, że widzę Joy wychodzącą ze sklepu lub znikającą za rogiem, prawie się przewróciłem.

Wkrótce nadszedł mój ostami dzień w Los Angeles. Następnego, wcześnie rano, pomknę wzdłuż wybrzeża do Berkeley, spotkam się wieczorem z Sidem i polecimy razem do Jugosławii na Mistrzostwa Świata w Gimnastyce. Przez cały dzień odpoczywałem w domu. Po obiedzie wziąłem do ręki kask i wyszedłem kupić torbę podróżną. Kiedy wychodziłem, usłyszałem głos ojca:

– Uważaj Dan, w nocy motory są słabo widoczne. – Zwyczajna ojcowska przestroga.

– Dobrze, Tato, będę uważał – odkrzyknąłem.

Zapuściłem motor i wyjechałem na zatłoczoną ulicę. Wyglądałem bardzo macho w mojej koszulce gimnastycznej, wypłowiałych Lewisach i sportowych butach. Orzeźwiony chłodnym, wieczornym powietrzem skierowałem się na południe, w stronę Wilshire. Moja przyszłość właśnie miała się zmienić, ponieważ trzy przecznice dalej, George Wilson przygotowywał się właśnie do skrętu w lewo w Western Avenue.

Mknąłem z rykiem silnika. Zmierzchało i zapalały się światła uliczne, gdy zbliżałem się do skrzyżowania Siódmej Alei z Western Avenue. Miałem właśnie przejechać przez skrzyżowanie, gdy zobaczyłem przed sobą czerwono-białego buicka, który sygnalizował skręt w lewo. Zwolniłem i to prawdopodobnie uratowało mi życie.

W chwili gdy mój motor wjeżdżał na skrzyżowanie, buick nagle przyspieszył, skręcając wprost przede mną. Jeszcze przez parę cennych sekund ciało, z którym się urodziłem, wciąż pozostawało w jednym kawałku.

Było dość czasu, żeby pomyśleć, ale zbyt mało, aby działać. “Skręcaj w lewo!" krzyczał mój umysł – lecz tam zbliżały się auta jadące z przeciwka. “Zjedź na prawo! – jednak nigdy nie ominąłbym zderzaka buicka. “Połóż motor!" – mógłbym prześlizgnąć się pod kołami. Możliwości wyczerpały się. Nacisnąłem hamulce i czekałem. Wszystko to wydawało się być nierzeczywiste, jakby działo się we śnie. Przez moment widziałem przerażoną twarz kierowcy, potem ze strasznym hukiem, któremu towarzyszył melodyjny dźwięk tłuczonego szkła, motor uderzył w przedni zderzak samochodu – a moja prawa noga została pogruchotana. Wszystko zawirowało i świat okryła ciemność.

Straciłem przytomność, lecz chwilę później, gdy przekoziołkowałem nad samochodem i gruchnąłem o ziemię, odzyskałem ją ponownie. Nastąpiła chwila błogosławionego odrętwienia, a potem zaczął się ból, jakby rozgrzane do czerwoności imadło ściskało i miażdżyło moją nogę coraz mocniej i mocniej, aż nie mogłem już tego znieść i zacząłem krzyczeć. Chciałem, żeby ból ustał. Modliłem się o nieświadomość. Słyszałem odległe głosy:

– ...nie widziałem go... numer telefonu rodziców... spokojnie, wkrótce tu będą.

Potem usłyszałem odległe wycie syreny i poczułem jak czyjeś ręce zdejmują mój kask i układają mnie na noszach. Spojrzałem w dół i zobaczyłem białą kość sterczącą z rozerwanej skóry mojego buta. Gdy zatrzasnęły się drzwi ambulansu, nagle przypomniałem sobie słowa Sokratesa: "...zanim to nastąpi, przejdziesz ciężki test."

Parę sekund później – tak mi się zdawało – leżałem na stole pod aparatem rentgenowskim w Szpitalu Ortopedycznym Los Angeles. Lekarz narzekał na zmęczenie. Wbiegli moi rodzice, wyglądali bardzo staro i byli bardzo bladzi. Wtedy właśnie dotarło do mnie, co się stało. Wstrząśnięty, zacząłem płakać.

Lekarz pracował nad wyraz sprawnie. Znieczulił mnie, powstawiał poprzemieszczane palce na swoje miejsce i zszył moją prawą stopę. Później, na sali operacyjnej, jego skalpel zrobił długie, czerwone nacięcie wchodząc głęboko pod skórę i przeciął mięśnie, które wcześniej pracowały tak wspaniale. Usunął kość z miednicy i przeszczepił ją do kawałków prawej kości udowej. W końcu przytwierdził wąski pręt metalowy wzdłuż środka kości, od biodra – rodzaj wewnętrznego wzmocnienia.

Przez trzy dni byłem półprzytomny. Leżałem nafaszerowany środkami znieczulającymi, które ledwo oddzielały mnie od dręczącego, bezlitosnego bólu. Trzeciego dnia pod wieczór obudziłem się w ciemności. Czułem, że ktoś siedzi przy mnie cicho jak duch.

Joy wstała i uklękła przy moim łóżku, gładząc mnie po czole. Odwróciłem się zawstydzony.

– Przyjechałam, gdy tylko usłyszałam co się stało – wyszeptała. Wolałbym, żeby dzieliła ze mną zwycięstwa. Tymczasem zawsze widziała mnie w roli pokonanego. Zagryzłem wargi i poczułem smak łez. Joy delikatnie odwróciła moją twarz do swojej i spojrzała mi w oczy.

– Mam dla ciebie wiadomość od Sokratesa, Danny. Prosił mnie, abym opowiedziała ci tę historię.

Zamknąłem oczy i słuchałem uważnie.

Stary człowiek i jego syn pracowali na małej farmie. Mieli tylko jednego konia, który ciągnął ich pług. Pewnego dnia koń uciekł.

– Jakie to straszne – współczuli sąsiedzi. – Co za nieszczęście.

– Kto to wie, czy to nieszczęście, czy szczęście – odpowiadał farmer.

Tydzień później koń powrócił z gór, przyprowadzając ze sobą do stajni pięć dzikich klaczy.

– Co za niesamowite szczęście! – mówili sąsiedzi.

– Szczęście? Nieszczęście? Kto wie? – odpowiadał starzec. Następnego dnia syn, próbując ujeździć jedną z dzikich klaczy, spadł z niej i złamał nogę.

– Jakie to straszne. Co za nieszczęście! – mówiono.

– Nieszczęście? Szczęście?

Przyszło wojsko i wszystkich młodych mężczyzn zabrano na wojnę. Syn farmera był nieprzydatny, więc pozostał.

– Szczęście? Nieszczęście?

Uśmiechnąłem się smutno, potem zagryzłem ponownie wargi, czując atak bólu.

– Wszystko ma swój cel, Danny – głos Joy koił mój ból. – Jedynie od ciebie zależy, czy wykorzystasz to jak najlepiej.

– Jak można wykorzystać taki wypadek?

– Nie ma wypadków, Danny. Wszystko jest lekcją. Wszystko ma cel, cel, cel – powtarzała, szepcząc mi do ucha.

– Ale moja gimnastyka, treningi – wszystko skończone.

– To jest twój trening. Ból może oczyścić umysł i ciało. Wypala wiele przeszkód. – Zauważyła pytanie w moich oczach i dodała: – Wojownik nie szuka bólu, ale jeśli ból się pojawia, wykorzystuje go. A teraz odpoczywaj, Danny, odpoczywaj. – Wymknęła się za wchodzącą pielęgniarką.

– Nie odchodź, Joy – wymamrotałem i zapadłem w głęboki sen, nie pamiętając już o niczym więcej.

Odwiedzali mnie przyjaciele, rodzice przychodzili codziennie, jednak większość czasu przez dwadzieścia jeden nie kończących się dni spędzałem sam, leżąc płasko na plecach. Patrzyłem w biały sufit i godzinami medytowałem, walcząc z melancholią, litowaniem się nad sobą i beznadziejnością.

Pewnego wtorkowego poranka, opierając się na nowiutkich kulach, wyszedłem na jasne, wrześniowe słońce i pokuśtykałem do samochodu rodziców. Straciłem prawie piętnaście kilogramów, a spodnie zwisały mi luźno na sterczących kościach biodrowych. Moja prawa noga wyglądała jak patyk, z długą, purpurową blizną z boku.

Tego dnia nie było smogu – co należało do rzadkości – a świeża bryza pieściła moją twarz. Wiatr niósł woń kwiatów, o której zdążyłem już zapomnieć. Świergot ptaków z pobliskiego drzewa, mieszający się z odgłosami ruchu ulicznego, był prawdziwą symfonią dla moich budzących się na nowo zmysłów.

Przez parę dni pozostałem u rodziców. Odpoczywałem w gorącym słońcu i pływałem powoli na płytkim krańcu basenu, z trudem zmuszałem pozszywane mięśnie nogi do pracy. Jadłem skromnie – jogurt, orzechy, ser i świeże warzywa. Zaczynałem odzyskiwać siły.

Przyjaciele zaproponowali mi, abym spędził z nimi parę tygodni w ich domu w Santa Monica, pięć przecznic od plaży. Przyjąłem tę propozycję z radością – mogłem spędzić więcej czasu na świeżym powietrzu.

Każdego ranka szedłem powoli na gorącą plażę i, odkładając na bok kule, siadałem nad brzegiem morza. Słuchałem mew i szumu fal, potem zamykałem oczy i medytowałem godzinami, nie zwracając uwagi na świat wokół mnie. Zdawało się, że Berkeley, Sokrates i moja przeszłość zniknęły, odeszły w inny wymiar.

Wkrótce zacząłem ćwiczyć. Z początku powoli, potem intensywniej, aż w końcu spędzałem kilka godzin dziennie pocąc się w gorącym słońcu, robiąc pompki, przysiady i skłony. Ostrożnie przechodziłem do stania na rękach i w tej pozycji robiłem pompki, raz za razem, dysząc z wyczerpania, aż każdy mięsień pracował do granic możliwości, a moje ciało lśniło od potu. Potem skacząc na jednej nodze wchodziłem w płytkie fale przybrzeżne i siadałem marząc o wysokich saltach, a słona woda obmywała moje lśniące od potu ciało i unosiła marzenia do morza.

Ćwiczyłem zawzięcie, aż w końcu moje mięśnie były tak twarde, że wyglądałem niczym marmurowy posąg. Stałem się jednym ze stałych bywalców plaży, dla których woda i piasek były sposobem na życie. Malcolm, masażysta, siadał na moim kocu i opowiadał dowcipy. Doc, tęga głowa z Rand Corporation, codziennie rozkładał się obok mojego koca i rozmawiał ze mną o polityce i kobietach, najczęściej o kobietach.

Miałem czas – czas, żeby przemyśleć wszystko, co wydarzyło się w moim życiu od czasu, gdy spotkałem Sokratesa. Myślałem o życiu i jego celach, o śmierci i jej tajemnicy. Wspominałem mojego tajemniczego nauczyciela – jego słowa, żywiołowe wyrażanie siebie – a najlepiej pamiętałem jego śmiech.

Ciepło październikowego słońca przesłoniły listopadowe chmury. Mniej ludzi przychodziło na plażę, a podczas tych chwil samotności odczuwałem spokój, jakiego nie czułem od wielu lat. Wyobrażałem sobie, że pozostaję na plaży przez całe życie, wiedziałem jednak, że po Bożym Narodzeniu będę musiał wrócić na uniwersytet.

Mój lekarz przedstawił mi wyniki prześwietlenia.

– Pana noga zrasta się dobrze, panie Millman, powiedziałbym niezwykle dobrze. Ale muszę pana ostrzec – proszę nie robić sobie nadziei. Rodzaj złamania nie daje wielkich szans na powrót do uprawiania gimnastyki.

Nic nie odpowiedziałem.

Wkrótce pożegnałem się z rodzicami i wsiadłem do samolotu – nadszedł czas powrotu do Berkeley.

Rick odebrał mnie z lotniska. Przez parę dni mieszkałem razem z nim i z Sidem, dopóki nie znalazłem dla siebie mieszkania w pewnej starej kamienicy w pobliżu miasteczka uniwersyteckiego.

Co rano, mocno ściskając kule, udawałem się na salę gimnastyczną i trenowałem na siłowni, po czym całkowicie wyczerpany waliłem się do basenu. Tam, wspomagany wypornością wody, ćwiczyłem nogę aż do bólu, próbując chodzić – zawsze, zawsze aż do bólu.

Później kładłem się na trawniku za salą rozciągając mięśnie, aby zachowały prężność, której będę potrzebował w przyszłych treningach. W końcu odpoczywałem, czytając w bibliotece aż do wieczora, kiedy to wracałem do domu i zapadałem w czujny sen.

Zadzwoniłem do Sokratesa, żeby powiedzieć mu, że wróciłem. Niechętnie rozmawiał przez telefon. Powiedział mi, żebym odwiedził go, kiedy będę już mógł chodzić bez kul. Odpowiadało mi to. Nie byłem jeszcze gotów na spotkanie z nim.

W tym roku samotnie spędzałem Boże Narodzenie, gdy nagle dwóch moich kolegów z zespołu, Pat i Dennis, zapukało do moich drzwi. Złapali mnie, chwycili moją kurtkę i praktycznie znieśli do samochodu. Pojechaliśmy w kierunku Reno, w góry, na śnieg i zatrzymaliśmy się na Szczycie Donera. Podczas gdy Pat i Dennis biegali po śniegu, siłowali się, rzucali śnieżnymi kulkami i zjeżdżali w dół zbocza, ja kuśtykałem ostrożnie po śniegu i lodzie, i w końcu usiadłem na jakimś pniu.

Moje myśli poszybowały ku nadchodzącemu semestrowi i sali gimnastycznej. Zastanawiałem się, czy moja noga kiedykolwiek będzie zdrowa i silna. Śnieg opadł z gałęzi i uderzając głucho o zamarzniętą ziemię wytrącił mnie z zadumy.

Wkrótce wyruszyliśmy w drogę powrotna. Pat i Danny śpiewali sprośne piosenki, a ja obserwowałem białe kryształki unoszące się wokół nas, połyskujące w światłach naszego samochodu, kiedy zaszło słońce. Myślałem o swojej zmarnowanej przyszłości i żałowałem, że nie mogę porzucić gdzieś mojego wirującego umysłu, zakopać w białym grobie przydrożnym w tych pokrytych śniegiem górach.

Tuż po Bożym Narodzeniu poleciałem do Los Angeles odwiedzić lekarza, który pozwolił mi zamienić kule na błyszcząca, czarną laskę. Wtedy wyruszyłem z powrotem na uczelnię i do Sokratesa.

Była środa, dwadzieścia minut przed północą, kiedy utykając wszedłem przez drzwi kantoru i zobaczyłem promienną twarz Sokratesa. Znowu byłem w domu. Prawie zapomniałem jak to było, gdy siedziałem tu i piłem z nim herbatę w ciszy nocy. Było w tym coś subtelnego, i o wiele wspanialszego, przyjemniejszego od wszystkich moich gimnastycznych zwycięstw. Patrzyłem na tego człowieka, który stał się moim nauczycielem i dostrzegałem rzeczy, których nigdy wcześniej nie widziałem.

W przeszłości zauważałem światło, które zdawało się go otaczać, ale przypisywałem to zmęczeniu oczu. Teraz nie byłem zmęczony, i nie było co do tego wątpliwości – była to ledwo dostrzegalna aura,

– Sokratesie – powiedziałem – wokół twojego ciała jaśnieje światło. Skąd się ono bierze?

– To czyste życie – uśmiechnął się. Wtedy rozległ się dzwonek i Sokrates wyszedł, aby pod pretekstem obsługi samochodu doprowadzić kogoś do śmiechu. Sokrates dawał więcej niż benzynę. Może była to owa aura, ta energia lub uczucie. W każdym razie ludzie prawie zawsze odjeżdżali szczęśliwsi niż byli przed przyjazdem na stację.

Jednak nie poświata wokół niego robiła na mnie największe wrażenie, ale jego prostota, oszczędność w ruchach i w działaniu. Wcześniej tak naprawdę nie doceniałem tego. Wydawało mi się, że po każdej nowej lekcji widzę Sokratesa coraz wyraźniej. Gdy zacząłem dostrzegać, jak bardzo powikłany był mój umysł, uświadomiłem sobie, że on już przekroczył swój własny.

– Sokratesie, gdzie jest teraz Joy? – zapytałem, kiedy powrócił do kantoru. – Czy wkrótce ją zobaczę?

Uśmiechnął się, jakby cieszył się, że znowu zadaję pytania.

– Dan, nie wiem, gdzie ona jest... Ta dziewczyna jest dla mnie tajemnicą, zawsze nią była.

Wtedy opowiedziałem mu o wypadku i jego następstwach. Słuchał cicho i uważnie, kiwając głową.

– Dan, nie jesteś już młodym durniem, który wszedł do tego pomieszczenia ponad rok temu.

– Czy to dopiero rok? Wydaje mi się, jakby minęło dziesięć lat – zażartowałem. – Mówisz, że już nie jestem durniem?

– Nie, mówię tylko, że nie jesteś już młody.

– Hej, to naprawdę raduje serce.

– Lecz teraz jesteś durniem z charakterem, Dan. A to bardzo duża różnica. Wciąż masz nikłą szansę znalezienia bramy i przejścia przez nią.

– Bramy?

– Świat wojownika, Dan, znajduje się za bramą. Jest dobrze ukryty, jak klasztor w górach. Wielu puka, ale nieliczni wchodzą.

– Dobra, pokaż mi tę bramę, Sokratesie. Jestem gotów. Znajdę sposób, żeby się tam dostać.

– To nie takie proste, cymbale. Brama istnieje wewnątrz ciebie i ty sam musisz ją znaleźć. Ja mogę cię tylko prowadzić. Ale jeszcze nie jesteś gotów. Jeszcze ci daleko do tego. Gdybyś spróbował przejść przez bramę teraz, oznaczałoby to prawie pewną śmierć. Czeka cię jeszcze wiele pracy, zanim będziesz gotów, aby zapukać do tych wrót.

Brzmiało to jak oświadczenie.

– Dan, wiele rozmawialiśmy. Miałeś wizje i pobierałeś lekcje. Uczę cię sposobu życia, drogi działania. Czas byś zaczął być w pełni odpowiedzialny za swoje zachowanie. Aby znaleźć bramę, musisz najpierw nauczyć się przestrzegać...

– Zasad Gry? – zgadłem.

Roześmiał się. W tym momencie rozległ się dzwonek i na stację, przejeżdżając przez kałuże, wjechał samochód. Obserwowałem przez zamglone okno, jak Sokrates ubrany w poncho wyszedł szybko na mżawkę. Widziałem, jak wsadził dyszę dystrybutora do baku, podszedł do kierowcy i powiedział coś do siedzącego w aucie brodatego blondyna.

Okno zaparowało ponownie, więc wytarłem je rękawem i zobaczyłem, że obaj się śmieją. Potem Sokrates otworzył drzwi do kantoru, a podmuch zimnego powietrza smagnął mnie ostro, przypominając, że wcale nie czuję się dobrze.

Sokrates chciał zrobić herbatę, ale uprzedziłem go.

– Proszę, siadaj – powiedziałem. – Ja zrobię herbatę.

Usiadł i skinął głową, zgadzając się. Czując zawroty głowy oparłem się o biurko. Bolało mnie gardło. Miałem nadzieję, że herbata mi pomoże.

– Czy muszę zbudować jakąś drogę do tej bramy? – spytałem napełniając czajnik i stawiając go na gorącej płycie.

– Tak – w pewnym sensie. Każdy musi. Budujemy drogę własną pracą.

– Każdy człowiek, każda ludzka istota – powiedział przewidując moje kolejne pytanie – mężczyzna czy kobieta, ma w sobie zdolność znalezienia bramy i przejścia przez nią, ale bardzo niewielu jest na tyle zdeterminowanych, żeby to zrobić, i niewielu jest tym zainteresowanych. To jest bardzo ważne. Nie zdecydowałem się uczyć ciebie z powodu jakiejś twojej wrodzonej zdolności, którą posiadasz – w rzeczywistości, obok mocnych cech masz jeszcze rażące słabości – ale przede wszystkim masz wole, żeby odbyć tę podróż.

To pobudziło we mnie znajomą nutę.

– Myślę, że można przyrównać to do gimnastyki, Sokratesie. Nawet ktoś z nadwagą, słaby lub sztywny może zostać dobrym gimnastykiem, ale jego przygotowanie trwa dłużej i jest trudniejsze.

– Tak, dokładnie tak jest. I mogę ci powiedzieć: twoja ścieżka będzie bardzo stroma.

Czułem gorączkę i zaczęło mnie wszystko boleć. Ponownie oparłem się o biurko i kącikiem oka zobaczyłem, że Sokrates podchodzi do mnie i wyciąga ręce w stronę mojej głowy. Och nie, nie teraz, pomyślałem. Nie jestem na to gotów. Ale on jedynie badał moje rozgorączkowane czoło. Potem sprawdził gruczoły na szyi, popatrzył na moją twarz i w oczy i przez długą chwilę badał puls.

– Dan, twoje energie są niezrównoważone. Masz prawdopodobnie spuchniętą śledzionę. Radzę ci, żebyś poszedł do lekarza, jeszcze tej nocy – teraz.

Zanim dokuśtykałem do szpitala Cowella, czułem się naprawdę marnie. Paliło mnie w gardle, ciało było obolałe. Lekarz potwierdził diagnozę Sokratesa – miałem silnie opuchniętą śledzionę. Był to ciężki przypadek mononukleozy i natychmiast przyjęto mnie do szpitala.

Podczas tej pierwszej nocy śniłem w gorączce, że mam jedną nogę olbrzymią, a drugą uschniętą. Gdy próbowałem obrotów na drążku albo zeskoków, wszystko było krzywe i spadałem, spadałem, spadałem, aż do późnego popołudnia następnego dnia, gdy do sali wszedł Sokrates z bukietem suszonych kwiatów.

– Sokratesie – powiedziałem słabo, uradowany jego nieoczekiwaną wizytą – nie powinieneś tego robić.

– Ależ powinienem – odpowiedział.

– Poproszę pielęgniarkę, żeby wsadziła je do wazonu. Patrząc na nie będę o tobie myślał – uśmiechnąłem się słabo.

– One nie są do patrzenia, tylko do jedzenia – wyjaśnił wychodząc z pokoju. Po paru minutach wrócił ze szklanką gorącej wody. Pokruszył parę kwiatków, zawinął okruchy w gazę, którą przyniósł ze sobą, i tak przygotowaną torebkę zanurzył w wodzie.

– Ta herbata cię wzmocni i pomoże oczyścić krew. Masz, pij. Herbata była gorzka. Smakowała jak jakieś silne lekarstwo. Następnie wziął małą buteleczkę z żółtym płynem, w którym też pływały pokruszone zioła i wmasował płyn w moją prawą nogę, bezpośrednio na bliznę. Zastanawiałem się, co by na to powiedziała pielęgniarka, bardzo urocza, młoda kobieta o urzędowym wyglądzie, gdyby tu weszła.

– Co to za żółty płyn w tej butelce, Sokratesie?

– Mocz z dodatkiem paru ziół.

– Mocz! – skrzywiłem się, z obrzydzeniem odsuwając nogę.

– Nie bądź niemądry – powiedział chwytając moją nogę i przyciągając ją do siebie. – W starożytnej medycynie mocz był bardzo szanowanym eliksirem.

Zamknąłem obolałe, zmęczone oczy. W głowie dudniły mi tamtamy. Czułem, że gorączka zaczęła znowu rosnąć. Sokrates położył mi dłoń na czole, potem sprawdził puls w nadgarstku.

– Dobrze, zioła zaczynają działać. Wieczorem powinien nastąpić kryzys, a jutro poczujesz się lepiej.

– Dzięki, Sokratesie – zdołałem wymamrotać.

Wyciągnął rękę i położył ją na moim splocie słonecznym. Prawie natychmiast wszystkie odczucia w ciele wzmogły się. Myślałem, że za chwilę głowa mi eksploduje. Gorączka zaczęła mnie wypalać, gruczoły pulsowały. Najgorszy z tego wszystkiego był straszliwy, piekący ból w prawej nodze, w miejscu zranienia.

– Przestań Sokratesie, przestań – wrzasnąłem. Odsunął rękę, a ja opadłem na poduszkę.

– Ja tylko wprowadziłem do twojego ciała trochę więcej energii niż masz zazwyczaj – wyjaśnił. – Przyśpieszy to proces leczenia. Piecze tylko tam, gdzie masz blokady. Gdybyś był wolny od blokad, gdyby twój umysł był czysty, twoje serce otwarte, a ciało wolne od napięcia, doświadczałbyś energii jako nieopisanej przyjemności, lepszej niż seks. Poczułbyś się jak w niebie i w pewnym sensie miałbyś rację.

– Czasem mnie przerażasz, Sokratesie.

– Wyższe istoty zawsze budziły lęk – uśmiechnął się. – W pewnym sensie ty też jesteś wyższą istotą, Dan, przynajmniej zewnętrznie. Wyglądasz jak wojownik – jesteś szczupły, giętki i silny dzięki ćwiczeniom gimnastycznym. Ale masz przed sobą mnóstwo pracy, zanim zaczniesz cieszyć się takim zdrowiem jak ja.

Byłem zbyt słaby, aby się spierać. Do pokoju weszła pielęgniarka.

– Czas zmierzyć temperaturę, panie Millman.

Sokrates wstał uprzejmie, kiedy ona weszła. Leżałem w łóżku i musiałem wyglądać blado i mizernie. Kontrast pomiędzy nami dwoma nigdy jeszcze nie wydawał się tak wielki. Pielęgniarka uśmiechnęła się do Sokratesa, a on odwzajemnił się jej szerokim uśmiechem.

– Myślę, że pański syn wkrótce będzie czuł się dobrze. Potrzeba mu tylko trochę odpoczynku – powiedziała.

– To właśnie mu mówiłem – odparł z błyskiem w oku.

Uśmiechnęła się do niego ponownie – czyżby posłała mu uwodzicielskie spojrzenie? Wyszła z pokoju szeleszcząc swoim białym fartuchem. Wyglądała niezwykle pociągająco.

– Jest coś w kobietach w uniformach – westchnął Sokrates. Potem położył mi rękę na czole. Zapadłem w głęboki sen.

Następnego ranka czułem się jak nowo narodzony. Lekarz uniósł brwi ze zdziwienia, kiedy badał moją śledzionę. Próbował wyczuć opuchnięty narząd i sprawdził ponownie kartę choroby. Był osłupiały.

– Nie widzę, żeby coś było nie w porządku, panie Millman – powiedział niemal przepraszająco. – Po lunchu może pan iść do domu, i proszę dużo odpoczywać. – Wyszedł, gapiąc się na moją kartę.

Korytarzem przeszła pielęgniarka.

– Na pomoc! – zawołałem.

– Tak? – zapytała, wchodząc do pokoju.

– Nie rozumiem tego, siostro. Chyba mam problem z sercem. Za każdym razem, gdy siostra przechodzi obok mnie, mój puls zaczyna być erotyczny.

– Chyba nierówny – poprawiła mnie.

– Ach, możliwe.

– Wygląda na to, że możesz już iść do domu – powiedziała uśmiechając się do mnie.

– Właśnie, wszyscy mi to mówią, ale są w błędzie. Jestem pewien, że potrzebuję prywatnej opieki siostry.

Uśmiechając się pociągająco obróciła się i wyszła.

– Siostro! Nie opuszczaj mnie! – zawołałem.

Kiedy tego popołudnia szedłem do domu, byłem zaskoczony pozytywną zmianą w nodze. Nadal mocno utykałem, wyrzucając biodro na bok przy każdym kroku, ale prawie mogłem chodzić bez laski. Być może było coś w tej tajemniczej terapii moczem lub w doładowaniu baterii, które zaaplikował mi Sokrates.

Zaczęły się zajęcia i znowu otoczyli mnie studenci, książki i zadania, ale teraz były to dla mnie drugorzędne sprawy. Radziłem sobie z tym wszystkim bez zaangażowania. Miałem dużo ważniejsze rzeczy do zrobienia na małej stacji benzynowej na zachód od miasteczka uniwersyteckiego. Po długiej drzemce poszedłem na stację.

– Jest mnóstwo pracy – powiedział Sokrates, gdy tylko usiadłem.

– A co takiego? – zapytałem, przeciągając się i ziewając.

– Remont kapitalny.

– O, dużo pracy.

– Bardzo dużo. Zaczynamy remontować ciebie.

– Ach, tak? – powiedziałem. O do diabła, pomyślałem.

– Jak feniks rzucisz się w ogień i odrodzisz się z popiołów.

– Jestem gotów! – powiedziałem. – Składam zobowiązanie noworoczne, rezygnuję z pączków.

– Chciałbym, żeby to było takie proste – powiedział Sokrates uśmiechając się. – W tej chwili jesteś masą poplątanych obwodów i przestarzałych nawyków. Musisz zmienić nawyki działania, myślenia, marzenia i widzenia świata. Większość tego, czym jesteś, to szeregi złych nawyków.

Coś zaczęło do mnie docierać.

– Do cholery, Sokratesie! Pokonałem parę trudnych płotków i nadal staram się najlepiej jak potrafię. Nie mógłbyś mi okazać trochę szacunku?

Sokrates odrzucił w tył głowę i roześmiał się. Potem podszedł do mnie i wyciągnął mi koszulkę ze spodni. Kiedy ją wpychałem z powrotem, rozczochrał mi włosy.

– Posłuchaj mnie, ty wielki bufonie. Każdy chce szacunku. Ale nie wystarczy powiedzieć: “Proszę mnie szanować." Na szacunek musisz zasłużyć postępując w sposób budzący szacunek – a na szacunek wojownika nie jest łatwo zasłużyć.

– W takim razie – zapytałem, policzywszy wpierw do dziesięciu – czym mam zasłużyć sobie na twój szacunek, O Wielki i Groźny Wojowniku?

– Zmieniając rolę, którą grasz.

– Co to za rola?

– Oczywiście to rola: "o ja nieszczęśliwy". Przestań być tak dumny z mierności! Okaż trochę ducha! – Uśmiechając się szeroko, Sokrates podskoczył i klepnął mnie dla zabawy w policzek, a potem dał mi kuksańca w żebra.

– Przestań! – wrzasnąłem. Nie byłem w nastroju do zabawy. Spróbowałem złapać go za ramię, ale on wskoczył lekko na biurko. Potem przeskoczył nad moją głową, obrócił się i pchnął mnie do tyłu na sofę. Zerwałem się ze złością na równe nogi i próbowałem go odepchnąć, ale gdy tylko go dotknąłem, wyskoczył do tyłu na biurko. Runąłem do przodu na dywan. — Do diabła! – wrzasnąłem oślepiony wściekłością. Sokrates wymknął się przez drzwi do garażu. Ścigając go pokuśtykałem za nim. Sokrates przysiadł na zderzaku i podrapał się po głowie.

– Co jest, Dan? Jesteś wściekły. – Co za spostrzegawczość – wysyczałem, dysząc ciężko.

– Dobrze – powiedział. – Biorąc pod uwagę twój problem, to dobrze, że jesteś wściekły. Ale upewnij się, że mądrze kierujesz ten gniew. – Sokrates zręcznie zaczął zmieniać świece w volkswagenie. – Gniew jest jednym z twoich głównych narzędzi do pozbywania się starych nawyków – wyjął starą świecę – i zastępowania ich nowymi. – Założył nową świecę i dokręcił jednym, mocnym obrotem klucza.

– Gniew może wypalić stare nawyki. Widzisz, lęk i żal hamują działanie – gniew je pobudza. Gdy nauczysz się właściwie wykorzystywać swój gniew, będziesz mógł przemieniać lęk i żal w gniew, a gniew w działanie. To sekret wewnętrznej alchemii ciała.

Po powrocie do kantoru Sokrates nabrał trochę wody z pojemnika i przygotował specjalność wieczoru – herbatę z owoców dzikiej róży.

– Masz wiele nawyków, które cię osłabiają – kontynuował. – Tajemnica zmiany nie tkwi w skoncentrowaniu całej energii na zwalczaniu starych nawyków, lecz na tworzeniu nowych.

– Sokratesie, jak mam kontrolować nawyki, jeśli nawet nie potrafię kontrolować swoich emocji?

Sokrates usiadł głębiej w swoim krześle.

– To jest tak: Kiedy twój umysł tworzy problem, kiedy opiera się toczącemu się właśnie życiu, twoje ciało napina się i odczuwa to napięcie jako "emocję", opisywaną różnymi słowami, takimi jak "lęk", "żal" czy "gniew". Prawdziwa emocja, Dan, jest czystą energią, przepływającą swobodnie przez ciało.

– Czy wojownik nigdy nie odczuwa zwykłych, wytrącających z równowagi emocji?

– W pewnym sensie tak właśnie jest. Jednakże emocje są naturalną ludzką cechą, formą wyrażania siebie. Czasami właściwą rzeczą jest okazanie lęku, żalu czy gniewu – ale energia powinna być kierowana całkowicie na zewnątrz, a nie zatrzymywana w sobie. Emocje powinny być wyrażone w pełni i silnie, a potem powinny zniknąć bez śladu. Tak więc można kontrolować emocje pozwalając im wypłynąć i zniknąć.

Wstałem, zdjąłem gwiżdżący czajnik z gorącej płyty i zaparzyłem herbatę.

– Możesz mi dać jakiś konkretny przykład, Sokratesie?

– W porządku – powiedział. – Spędź trochę czasu z dzieckiem.

– To zabawne – uśmiechnąłem się, dmuchając na herbatę. – Nigdy nie uważałem dzieci za mistrzów w kontrolowaniu emocji.

– Kiedy dziecko jest zaniepokojone, wyraża siebie poprzez żałosne zawodzenie – jest to autentyczny płacz. Nie zastanawia się, czy powinno płakać. Weź je na ręce lub nakarm, a sekundy wystarczą, by wyschły łzy. Jeśli dziecko jest rozgniewane, na pewno to zauważysz. Ale gniew także porzuca bardzo szybko. Czy możesz wyobrazić sobie dziecko, które czuje się winne z powodu swojego gniewu? Dzieci pozwalają mu po prostu płynąć, a potem zniknąć. W pełni wyrażają siebie, a potem milkną. Dzieci są wspaniałymi nauczycielami. I pokazują jak właściwie wykorzystywać energię. Naucz się tego, a będziesz w stanie zmienić każdy nawyk.

Na stację podjechał ford ranchero. Sokrates podszedł do kierowcy, a ja, chichocząc, chwyciłem wąż z paliwem i zdjąłem korek baku. Zainspirowany jego objawieniami o kontrolowaniu emocji, zawołałem ponad dachem auta:

– Powiedz mi tylko, co robić i pozwól działać, Sokratesie, a porozrywam te paskudne nawyki na strzępy!

W tym momencie spojrzałem na pasażerów – trzy przerażone zakonnice [słowo habit w języku angielskim oznacza zarówno nawyk, jak i habit zakonny, (przyp. red.)]. Zaniemówiłem, zaczerwieniłem się i pośpiesznie zacząłem myć szyby. Sokrates tylko oparł się o pompę i ukrył twarz w dłoniach.

Ulżyło mi, gdy ranchero odjechał i pojawił się kolejny klient. Był to znowu ten sam blondyn z kędzierzawą brodą. Wyskoczył z samochodu i mocno uścisnął Sokratesa.

– Jak zawsze miło cię widzieć, Joseph – powiedział Sokrates.

– Zawsze ten sam... Sokrates, jeśli się nie mylę? – Posłał w moją stronę przewrotny uśmiech.

– Joseph, ta młoda maszyna pytająca nazywa się Dan. Naciśnij guzik, a zada pytanie. Cudownie mieć go przy sobie, gdy nie ma z kim porozmawiać.

Joseph uścisnął mi rękę.

– Czyżby staruszek zmiękł na stare lata? – zapytał z szerokim uśmiechem.

Zanim zdołałem zapewnić go, że Sokrates prawdopodobnie jest bardziej przykry niż kiedykolwiek, “staruszek" wtrącił się:

– Och, naprawdę robię się leniwy. Dan ma ze mną dużo lepiej niż ty miałeś.

– Och, rozumiem – powiedział Joseph, zachowując poważny wyraz twarzy. – Nie zabierałeś go jeszcze na stukilometrowe biegi, ani nie kazałeś mu chodzić po rozżarzonych węglach, co?

– Nie, nic z tych rzeczy. Mamy właśnie zacząć od podstaw, jak jeść, jak chodzić i jak oddychać.

Joseph roześmiał się wesoło. Zauważyłem, że śmieję się wraz z nim.

– Skoro mówimy o jedzeniu – powiedział. – Może wpadlibyście rano do mojej kawiarni. Będziecie moimi osobistymi gośćmi, przygotuję coś dobrego na śniadanie.

Właśnie miałem powiedzieć coś w stylu: “Och, naprawdę chciałbym, ale nie mogę", kiedy Sokrates zgodził się.

– Z przyjemnością. Poranna zmiana przychodzi za pół godziny, przejdziemy się.

– Wspaniale. Wobec tego, do zobaczenia. – Wręczył Sokratesowi pięciodolarowy banknot za paliwo i odjechał.

Zastanawiałem się kim jest Joseph.

– Czy on jest wojownikiem, takim jak ty, Sokratesie?

– Nikt nie jest wojownikiem takim jak ja – odpowiedział śmiejąc się. – Ani też nikt nie chciałby być. Każdy mężczyzna i każda kobieta ma swoje naturalne zalety. Na przykład ty przodujesz w gimnastyce, a Joseph jest mistrzem w przygotowywaniu jedzenia.

– Och, masz na myśli gotowanie?

– Niezupełnie. Joseph nie podgrzewa zbytnio pożywienia – to niszczy naturalne enzymy potrzebne do pełnego przyswojenia pokarmu. On przygotowuje naturalne pożywienie. Zresztą sam wkrótce zobaczysz. Gdy raz posmakujesz magii kulinarnej Josepha, nigdy już nie weźmiesz do ust hamburgerów z restauracji “fast food".

– Co jest takiego specjalnego w jego potrawach?

– Tak naprawdę to tylko dwie rzeczy, obie bardzo subtelne. Po pierwsze, Joseph wkłada całą swoją uwagę w to, co robi. Po drugie, dosłownie we wszystkim co robi, podstawowym składnikiem jest miłość. Czujesz ją jeszcze długo po posiłku.

Zmiennik Sokratesa, wychudzony wyrostek, wszedł mrucząc pod nosem słowa powitania. Wyszliśmy, przeszliśmy przez ulicę i skierowaliśmy się na południe. Musiałem przyśpieszyć swoje kuśtykanie, aby nadążyć za długimi krokami Sokratesa. By uniknąć porannego ruchu, wybraliśmy malowniczą trasę prowadzącą bocznymi uliczkami.

Suche liście szeleściły pod naszymi stopami. Mijaliśmy różnorodne dzielnice charakterystyczne dla Berkeley. Była to mieszanina stylów: wiktoriańskiego, hiszpańsko-kolonialnego, górskiego oraz niskich budynków o wyglądzie pudełek, w których zamieszkiwało wielu z trzydziestu tysięcy studentów.

Po drodze rozmawialiśmy. Rozpoczął Sokrates:

– Dan, żeby przebić się przez mgłę twojego umysłu i znaleźć bramę, potrzeba olbrzymiej ilości energii. Tak więc niezbędne są ćwiczenia oczyszczające i regenerujące.

– Mógłbyś powiedzieć to jeszcze raz?

– Oczyścimy cię, rozbierzemy na części, i złożymy z powrotem.

– Aha, dlaczego od razu tego nie powiedziałeś – zakpiłem.

– Będziesz musiał od nowa nauczyć się każdej ludzkiej funkcji – poruszania się, spania, oddychania, myślenia, odczuwania – i jedzenia. Jedzenie jest jedną z najważniejszych ludzkich czynności i właśnie je najpierw należy ustabilizować.

– Zaczekaj chwileczkę, Sokratesie. Nie mam problemów z jedzeniem. Jestem szczupły, na ogół czuję się dobrze, a moja gimnastyka dowodzi, że mam wystarczająco dużo energii. Jak zmiana paru elementów w mojej diecie może stanowić jakąś różnicę?

– Twoja obecna dieta – powiedział spoglądając w górę poprzez oświetlone słońcem gałęzie pięknego drzewa – może dać ci "normalną" ilość energii. Jednak większość tego, co jesz, czyni cię też ociężałym, wpływa na twój nastrój, obniża poziom świadomości, przeszkadza ciału w osiąganiu optymalnej witalności. Twój impulsywny sposób żywienia się prowadzi do odkładania się substancji toksycznych, co ma długofalowy wpływ na długość twojego życia. Większość twoich problemów mentalnych i emocjonalnych można zminimalizować po prostu przez zwracanie uwagi na właściwe odżywianie się.

– Jak zmiana diety może wpłynąć na moją energię? – kwestionowałem. – Przecież wchłaniam kalorie, a one odpowiadają pewnej ilości energii.

– To tradycyjny, ale powierzchowny punkt widzenia. Wojownik musi umieć rozpoznawać również subtelniejsze wpływy. Naszym podstawowym źródłem energii w tym systemie – powiedział machnąwszy ręką, co miało oznaczać, że wskazuje system słoneczny – jest słońce. Ale generalnie istoty ludzkie, to jest również ty...

– Dzięki za uznanie.

– ...w twoim obecnym stadium ewolucji, nie rozwinęły zdolności bezpośredniego wykorzystywania energii słońca. Możesz "jeść światło słoneczne" jedynie w ograniczonym zakresie. Kiedy ludzkość rozwinie tą zdolność, system trawienny zaniknie, a firmy produkujące środki przeczyszczające splajtują. Ale na razie jedzenie jest formą zmagazynowanego światła słonecznego, którego potrzebujesz.

– Właściwa dieta pozwoli ci najefektywniej wykorzystywać energię słońca. Zapas energii, który dzięki temu uzyskasz, otworzy twoje zmysły, poszerzy świadomość, wyostrzy koncentrację, zmieniając ją w tnące jak brzytwa ostrze.

– I wszystko to się wydarzy, gdy wyeliminuję hamburgery z mojego menu?

– Tak – gdy wyeliminujesz hamburgery i parę innych niepotrzebnych drobiazgów.

– Jeden z japońskich olimpijskich gimnastyków powiedział mi kiedyś, że to nie złe nawyki się liczą, lecz dobre.

– To znaczy, że dobre nawyki muszą stać się na tyle silne, żeby zanikły te bezużyteczne.

Sokrates wskazał na małą kawiarenkę przy Shattuck, niedaleko Ashby. Przechodziłem tamtędy wiele razy, ale nigdy nie zwróciłem na nią uwagi.

– A więc wierzysz w naturalne pokarmy? – zapytałem, kiedy przechodziliśmy na drugą stronę ulicy.

– To nie jest sprawa wiary, ale tego, co się robi. Powiem ci tak: jem tylko to, co zdrowe i jem tylko tyle, ile potrzebuję. Aby móc docenić to, co nazywasz naturalnym pokarmem, musisz wyostrzyć swoje instynkty, musisz stać się naturalnym człowiekiem.

– Brzmi to dość ascetycznie. Nie serwujesz sobie małych lodów od czasu do czasu?

– Moja dieta może z początku wydawać się spartańska w porównaniu z folgowaniem sobie, które ty nazywasz "umiarem", Dan, ale tak naprawdę jem z wielką przyjemnością, ponieważ rozwinąłem zdolność cieszenia się najprostszym pokarmem. I ciebie też to czeka.

Zapukaliśmy do drzwi. Otworzył nam Joseph.

– Wchodźcie, wchodźcie – powiedział z entuzjazmem, jakby zapraszał nas do swojego domu. Istotnie, wyglądało to jak dom. Podłogę małego przedsionka pokrywał gruby dywan. W pomieszczeniu

stały ciężkie, polerowane, z grubsza obciosane stoły, a miękkie krzesła o prostych oparciach wyglądały jak antyki. Wszędzie na ścianach wisiały gobeliny, z wyjątkiem jednej ściany prawie całkowicie zakrytej ogromnym akwarium z kolorowymi rybami. Poranne światło słoneczne wlewało się przez świetlik w suficie. Zajęliśmy miejsca dokładnie pod nim, w ciepłych promieniach słońca, od czasu do czasu zasłanianego przez przepływające nad naszymi głowami chmury.

Joseph podszedł do nas, niosąc nad głową dwa talerze. Z promiennym uśmiechem postawił je przed nami, najpierw przed Sokratesem, potem przede mną.

– Ach, to wygląda smakowicie! – powiedział Sokrates, zatykając serwetkę za kołnierzyk koszuli. Spojrzałem w dół. Przede mną, na białym talerzu, leżała pokrojona marchewka i kawałek sałaty. Wpatrywałem się w nie osłupiały.

Na widok wyrazu mojej twarzy Sokrates niemal spadł z krzesła ze śmiechu, a Joseph musiał oprzeć się o stół.

– Ach – westchnąłem z ulgą. – Rozumiem, to żart.

Bez słowa Joseph zabrał talerze i powrócił z dwoma pięknymi drewnianymi miseczkami. W każdej miseczce znajdowała się doskonałe wyrzeźbiona miniaturowa replika góry. Sama góra była połączeniem dwóch odmian melona: pomarańczowej kantalupy i zielonkawej kasaby. Małe kawałki orzechów i migdałów, osobno rzeźbione, stały się brązowymi głazami. Jabłka i cienkie plasterki sera utworzyły niedostępne urwiska. Drzewa powstały z wielu kawałków pietruszki, doskonale przyciętych, jak drzewka bonsai. Szczyt góry pokrywała jogurtowa czapa lodowa. Wokół podstawy leżały połówki winogron i pierścień czerwonych truskawek.

Siedziałem i wytrzeszczałem oczy ze zdumienia.

– Joseph, to jest zbyt piękne. Nie mogę tego zjeść. Chcę zrobić zdjęcie.

Zauważyłem, że Sokrates już zaczął jeść, skubiąc jedzenie powoli, jak to miał w zwyczaju. Ja zaatakowałem górę z zapałem i już prawie kończyłem, gdy Sokrates nagle zaczął pochłaniać swoje danie całymi kawałami. Uświadomiłem sobie, że mnie naśladuje.

Starałem się ze wszystkich sił nabierać małe porcje, oddychając głęboko pomiędzy każdym kęsem, tak jak on, ale tak wolne tempo było frustrujące.

– Przyjemność, jaką masz z jedzenia, Dan, ograniczona jest do smaku potrawy i uczucia pełnego brzucha. Musisz nauczyć się cieszyć całym procesem – głodem przed posiłkiem, uważnym przygotowywaniem, atrakcyjnym podaniem na stół, przeżuwaniem, oddychaniem, zapachem, smakiem, przełykaniem i uczuciem lekkości i energii po posiłku. W końcu możesz cieszyć się całkowitym i łatwym usunięciem przetrawionych resztek pokarmu. Gdy będziesz zwracać uwagę na wszystkie te elementy, zaczniesz doceniać proste posiłki – i nie będziesz potrzebował tak dużych ilości jedzenia. Ironia twoich obecnych nawyków żywieniowych polega na tym, że obawiając się przegapić kolejny posiłek, nie jesteś w pełni świadomy tego, co zjadasz.

– Nie boję się przegapienia posiłku – upierałem się.

– Cieszy mnie, że to słyszę. Dzięki temu najbliższy tydzień będzie dla ciebie łatwiejszy. Ten posiłek jest dla ciebie ostatnim w ciągu najbliższych siedmiu dni. – Sokrates przedstawił procedurę głodówki oczyszczającej, którą miałem zacząć natychmiast. Rozwodniony sok owocowy i słabe herbatki ziołowe miały być moim jedynym pożywieniem.

– Ależ Sokratesie, moja noga potrzebuje protein i żelaza do gojenia się. Skąd wezmę energię do ćwiczeń gimnastycznych? – Moje protesty nie odniosły żadnego skutku. Sokrates potrafił być bardzo nierozsądnym człowiekiem.

Pomogliśmy Josephowi posprzątać, porozmawialiśmy przez chwilę, podziękowaliśmy i wyszliśmy. Ja już byłem głodny. W drodze powrotnej do miasteczka uniwersyteckiego Sokrates streścił reguły, których miałem przestrzegać, do czasu aż moje ciało odzyska swoje naturalne instynkty.

– Za parę lat reguły te nie będą potrzebne. Ale na razie będziesz musiał wykluczyć wszystkie pokarmy, które zawierają rafinowany cukier, rafinowaną mąkę, mięso i jajka, a także narkotyki i używki, wliczając w to kawę, alkohol, tytoń, oraz wszelkie inne bezużyteczne jedzenie. Jedz tylko świeże, nierafinowane, nieprzetworzone pokarmy, bez dodatków środków chemicznych. Zwykle na śniadanie jedz świeże owoce, najlepiej z twarożkiem lub jogurtem. Na lunch, czyli twój główny posiłek, jedz surową sałatę, pieczonego lub gotowanego na parze ziemniaka, możesz zjeść trochę sera, i pełnoziarnisty chleb lub gotowane ziarna. Na kolację powinieneś jeść surową sałatę i, czasami,

warzywa krótko gotowane na parze. Do każdego posiłku dodawaj sporo surowych, niesolonych nasion i orzechów.

– Musisz już być niezłym ekspertem od orzechów – mruknąłem. Po drodze przechodziliśmy obok sklepu spożywczego. Właśnie

miałem wejść i kupić sobie trochę ciasteczek, gdy przypomniałem sobie, że już do końca życia nie wolno mi jeść ciasteczek ze sklepu! A przez następnych sześć dni i dwadzieścia trzy godziny miałem nic nie jeść.

– Sokratesie, jestem głodny!

– Nigdy nie mówiłem, że trening wojownika będzie łatwy.

Przechodziliśmy przez miasteczko uniwersyteckie w czasie przerwy pomiędzy zajęciami, więc Sproul Plaża wypełniony był ludźmi. Gapiłem się tęsknie na śliczne studentki. Sokrates dotknął mojego ramienia.

– Właśnie sobie przypomniałem, Dan. Kulinarne słodkości nie są jedyną słabostką, której będziesz musiał unikać przez jakiś czas.

– Och – stanąłem jak wryty – chyba cię nie zrozumiałem. Możesz wyrażać się jaśniej?

– Jasne. Możesz, oczywiście, cieszyć się intymnymi, pełnymi serdeczności związkami, ale dopóki dostatecznie nie dojrzejesz, będziesz musiał całkowicie powstrzymać się od kontaktów seksualnych. Mówiąc jaśniej: Trzymaj go w spodniach.

– Ależ Sokratesie – spierałem się jakby to była sprawa życia i śmierci – to staromodne, purytańskie, bezsensowne i niezdrowe. Ograniczanie jedzenia to jedno, ale to, to zupełnie co innego! – Zacząłem cytować “Filozofię Playboya", Alberta Ellisa, Roberta Rimmera, Jacqueline Susann i Markiza de Sade. Dorzuciłem nawet Reader's Digest i “Dear Abby", ale nic go nie wzruszało.

– Wyjaśnianie moich racji nie ma sensu – powiedział. – Rozkosz będziesz musiał znaleźć w świeżym powietrzu, świeżym jedzeniu, świeżej wodzie, świeżej świadomości i w pogodnym nastroju.

– Czy zdołam przestrzegać wszystkich tych reguł, których wymagasz?

– Rozważ ostatnią radę, jaką Budda dał swoim uczniom.

– Co powiedział? – zapytałem oczekując inspiracji.

Róbcie wszystko jak najlepiej. – Z tymi słowami Sokrates zniknął w tłumie.

W następnym tygodniu obrządek inicjacji rozpoczął się na dobre. Podczas gdy mój żołądek burczał, Sokrates wypełniał noce “podstawowymi" ćwiczeniami, uczył mnie jak oddychać głębiej i wolniej – usta lekko przymknięte i język na podniebieniu. Brnąłem przez to wszystko z trudem, starając się ze wszystkich sił, czułem się ospały, czekałem ze zniecierpliwieniem na moje (brr!) rozwodnione soki i herbatki ziołowe, marząc o stekach i słodkich bułkach. Chociaż tak naprawdę aż tak bardzo nie lubiłem steków i słodkich bułek!

Jednego dnia Sokrates kazał mi oddychać brzuchem, a innego oddychać sercem. Zaczął krytykować sposób, w jaki chodziłem i mówiłem, a nawet sposób, w jaki błądziłem oczami po pokoju, kiedy mój “umysł błąkał się po wszechświecie". Zdawało się, że nic go nie zadowala.

Poprawiał mnie bez przerwy, czasami delikatnie, czasami surowo.

– Odpowiednia postawa ciała jest sposobem współgrania z grawitacją, Dan. Odpowiednie nastawienie jest sposobem współgrania z życiem. I tak dalej.

Trzeci dzień głodówki był najcięższy. Byłem słaby i chwiałem się na nogach. Bolała mnie głowa i brzydko pachniało mi z ust. Na treningu mogłem jedynie leżeć i rozciągać mięśnie.

– Wszystko to jest częścią procesu oczyszczania, Dan. Twoje ciało oczyszcza się, pozbywa się nagromadzonych toksyn.

Siódmego dnia głodówki właściwie czułem się całkiem dobrze, a nawet jakby bardziej pewny siebie. Czułem, że mogę głodować dłużej. Łaknienie zniknęło. Zamiast niego czułem przyjemne znużenie i lekkość. Na treningach szło mi nawet lepiej. Ograniczony jedynie słabą nogą, trenowałem intensywnie, czując się odprężony i bardziej giętki niż kiedykolwiek.

Gdy ósmego dnia zacząłem jeść, poczynając od bardzo małych ilości owoców, musiałem wytężyć całą swoją wolę, aby nie zacząć opychać się wszystkim, co tylko wolno mi było jeść.

Sokrates nie tolerował ani narzekania, ani komentarzy. Właściwie nie chciał, żebym w ogóle rozmawiał na ten temat, o ile nie było to absolutnie niezbędne.

– Koniec z próżnym paplaniem – powiedział. – To, co wychodzi z twoich ust jest tak samo ważne jak to, co wchodzi.

A zatem mogłem porzucić głupie komentarze, które zwykle sprawiały, że wychodziłem na durnia. Faktycznie czułem się dużo lepiej, mówiąc mniej – gdy już nauczyłem się tego. Byłem jakiś spokojniejszy. Lecz po paru tygodniach zmęczyło mnie to.

– Sokratesie, założę się z tobą o dolara, że zmuszę cię do powiedzenia przynajmniej dwóch słów.

Wyciągnął rękę dłonią do góry.

– Przegrasz – powiedział.

Dzięki moim sukcesom gimnastycznym w przeszłości, przez dobry miesiąc promieniałem siłą ducha i pewnością siebie. Ale nie trwało długo, zanim uświadomiłem sobie, że tak jak to powiedział Sokrates, trening nie będzie łatwy.

Moim głównym problemem były kontakty towarzyskie. Rick, Sid i ja zabraliśmy dziewczyny na randkę do La Val's na pizzę. Wszyscy, wliczając w to moją dziewczynę, zamówili ogromną pizzę z kiełbasą – ja zamówiłem małą, specjalną wegetariańską pizzę z pełnych ziaren. Oni pili koktajle mleczne lub piwo – ja sączyłem sok jabłkowy. Potem poszliśmy do lodziarni Fentona. Podczas gdy oni wcinali swoje desery lodowe, ja ssałem kawałek lodu. Patrzyłem na nich z zazdrością – oni spoglądali na mnie z niechęcią. Prawdopodobnie czuli się przy mnie winni. Pod ciężarem dyscypliny moje życie towarzyskie waliło się w gruzy.

Chodziłem okrężnymi drogami, żeby tylko ominąć ciastkarnie, stoiska z jedzeniem i restauracje na otwartym powietrzu w pobliżu miasteczka uniwersyteckiego. Moje pragnienia i ciągotki były dla mnie oczywiste, ale walczyłem. Gdybym zmiękł na widok ciastka z galaretką, po prostu nie mógłbym spojrzeć Sokratesowi w oczy.

Jednak z upływem czasu zacząłem odczuwać rosnący opór.

– Sokratesie – narzekałem, pomimo jego ponurego spojrzenia – nie jesteś już zabawny. Stałeś się zwykłym zrzędliwym starcem. Nawet już nie świecisz.

– Koniec z magicznymi trikami – powiedział patrząc na mnie groźnie.

Tak właśnie było – żadnych trików, seksu, chipsów ziemniaczanych, żadnych hamburgerów, cukierków, pączków, żadnych uciech, i żadnego wytchnienia. Dyscyplina na stacji i poza nią.

Styczeń minął z trudem, luty przeleciał, a teraz dobiegał końca marzec. Drużyna kończyła sezon beze mnie.

Ponownie wylałem przed Sokratesem swoje żale, jednak on ani mnie nie pocieszył, ani nie dodał otuchy.

– Sokratesie, jestem już prawdziwym duchowym skautem. Moi koledzy nie chcą się już ze mną spotykać. Rujnujesz mi życie! Obawiam się, że niedługo stanę się wysuszonym, starym...

Przerwał mi jego śmiech.

– Dan, jeżeli odwodnienie jest tym, czego się obawiasz, to mogę cię zapewnić, że moja nieżyjąca już żona, uważała mnie raczej za soczystego!

– Twoja żona?

Roześmiał się widząc moją reakcję. Potem przyjrzał mi się. Myślałem, że chce powiedzieć coś więcej, ale on powrócił do przeglądania rachunków.

– Rób wszystko jak najlepiej – powiedział jedynie.

– Och, dzięki za budującą mowę. – W głębi duszy czułem się urażony, że ktoś inny – nawet jeśli tym kimś jest Sokrates – kieruje moim życiem.

Nadal jednak, zaciskając zęby, z determinacją podporządkowywałem się wszystkim regułom. Pewnego dnia w czasie treningu na salę weszła owa atrakcyjna pielęgniarka, która wzbudziła moje fantazje erotyczne podczas pobytu w szpitalu. Usiadła cicho i obserwowała moje akrobacje powietrzne. Zauważyłem, że prawie natychmiast wszyscy na sali poczuli przypływ inspiracji i energii. Ja nie byłem wyjątkiem.

Udając, że jestem pochłonięty treningiem, od czasu do czasu zerkałem na nią kątem oka. Jej obcisłe jedwabne spodenki i takiż opalacz burzyły moją koncentrację, a moje myśli dryfowały ku bardziej egzotycznym formom gimnastyki. Przez resztę treningu wyraźnie odczuwałem jej obecność.

Tuż przed końcem treningu zniknęła. Wykąpałem się, ubrałem i poszedłem w kierunku schodów. Była tam, stała na szczycie schodów, opierając się uwodzicielsko o poręcz. Nawet nie pamiętam jak przeszedłem ostatnie stopnie.

– Cześć, Danie Millman. Mam na imię Valeria. Wyglądasz dużo lepiej niż wtedy, gdy zajmowałam się tobą w szpitalu.

– Czuję się lepiej, siostro Valerio – uśmiechnąłem się. – I cieszę się, że to ty opiekowałaś się mną.

Roześmiała się i przeciągnęła kusząco.

– Dan, ciekawa jestem, czy wyświadczyłbyś mi przysługę. Mógłbyś odprowadzić mnie do domu? Robi się ciemno, a jakiś dziwny facet szedł za mną.

Właśnie miałem wspomnieć, że jest kwiecień i że słońce nie zajdzie jeszcze przez godzinę, ale pomyślałem: "Co u licha, przecież to nieistotny szczegół."

Szliśmy, rozmawialiśmy i wylądowałem na kolacji w jej mieszkaniu. Otworzyła "specjalne wino na specjalne okazje". Wypiłem tylko łyczek, ale to był początek końca. Skwierczałem niczym dopiekający się na ruszcie stek. W pewnym momencie jakiś głosik we mnie zapytał: "Jesteś mężczyzną czy mięczakiem?" A inny głosik odpowiedział: "Jestem napalonym mięczakiem." Tego wieczoru zrzuciłem z siebie całe brzemię dyscypliny, które na mnie nałożono. Jadłem wszystko, co mi podawała. Zacząłem od zupy z małży, potem była sałatka i stek. A na deser miałem kilka dokładek Walerii.

Przez następne trzy dni nie mogłem spać, zastanawiając się jak wyznam to Sokratesowi. Byłem przygotowany na najgorsze.

Tego wieczoru poszedłem na stację i od razu opowiedziałem mu wszystko, bez przeprosin. Wstrzymałem oddech i czekałem. Sokrates milczał przez długi czas.

– Zauważyłem, że nie nauczyłeś się jeszcze oddychać – powiedział w końcu.

Zanim zdołałem odpowiedzieć, powstrzymał mnie unosząc dłoń.

– Dan, ja potrafię zrozumieć, że można przedłożyć lody czy zabawę ze śliczną kobietą ponad Drogę, którą ci pokazałem – ale czy ty to rozumiesz? – zrobił pauzę. – Nie będzie ani nagrody, ani potępienia. Teraz już znasz dręczący głód w żołądku i w genitaliach. To dobrze. Ale rozważ: Poleciłem ci robić wszystko jak najlepiej. Czy to naprawdę było twoje "najlepiej"?

Oczy Sokratesa "zajaśniały" i prześwietliły mnie na wylot.

– Wróć za miesiąc, ale tylko wtedy, jeżeli będziesz ściśle przestrzegał dyscypliny. Spotykaj się z tą młodą damą, jeśli chcesz. Poświęcaj jej uwagę i obdaruj prawdziwym uczuciem, ale bez względu na to jakie pożądanie będziesz czuł, niech kieruje tobą najwyższa dyscyplina!

– Zrobię tak, Sokratesie, przysięgam, że tak zrobię! Teraz naprawdę zrozumiałem.

– Żadne postanowienie ani zrozumienie nie uczyni cię silnym. W postanowieniach jest szczerość, w logice jasność – ale żadne z nich nie ma energii, której ci potrzeba. Niech gniew będzie twoim postanowieniem i twoją logiką. Do zobaczenia za miesiąc.

Wiedziałem, że jeśli jeszcze raz złamię dyscyplinę, będzie to koniec spotkań z Sokratesem. Z rosnącym wewnętrznym postanowieniem powiedziałem:

– Żadna uwodzicielska kobieta, ciastko czy kawał pieczonej krowy nie złamie mojej woli. Opanuję własne popędy lub umrę.

Nazajutrz Valeria zadzwoniła do mnie. Na dźwięk jej głosu, który tak niedawno jęczał w moje ucho, poczułem znajome podniecenie.

– Danny, bardzo chciałabym spotkać się z tobą dziś wieczorem. Masz czas? Świetnie! Kończę pracę o siódmej. Spotkamy się przed salą gimnastyczną? Dobrze, więc do zobaczenia. Cześć.

Zabrałem ją do kawiarenki Josepha na wielką sałatkową niespodziankę. Zauważyłem, że Valeria kokietuje Josepha. On był sobą, jak zwykle serdeczny, ale nie odwzajemniał jej zalotów.

Później wróciliśmy do jej mieszkania. Usiedliśmy i rozmawialiśmy przez chwilę. Zaproponowała wino. Poprosiłem o sok. Dotknęła moich włosów i pocałowała mnie delikatnie, szepcząc coś do ucha.

Z uczuciem odwzajemniłem pocałunek. Wtedy wewnętrzny głos odezwał się głośno i wyraźnie: “Zbierz się w sobie. Pamiętaj o tym, co ci wolno."

Usiadłem prosto i wziąłem głęboki oddech. To, co zamierzałem zrobić, nie było łatwe. Ona również usiadła, wyprostowała się i poprawiła włosy.

– Valerio, wiesz, jesteś bardzo atrakcyjna i podniecająca – ale ja jestem zaangażowany, hm, w pewien rodzaj osobistej dyscypliny, która nie pozwala mi na to, co ma się właśnie zdarzyć. Lubię twoje towarzystwo i chcę się z tobą spotykać. Ale od tego momentu sugeruję, żebyś traktowała mnie jako bliskiego przyjaciela, kochającego ks-ks-księdza. – Prawie nie mogłem tego z siebie wydusić. Wzięła głęboki oddech i ponownie poprawiła włosy.

– Dan, naprawdę dobrze być z kimś, kogo nie interesuje jedynie seks.

– Świetnie – powiedziałem zachęcony. – Cieszę się, że tak uważasz, ponieważ wiem, że oprócz łóżka jest wiele innych rzeczy, które możemy dzielić.

Valeria spojrzała na zegarek.

– Och, spójrz, która godzina – a ja muszę jutro wcześnie wstać do pracy – więc będę musiała cię pożegnać, Dan. Dzięki za kolację. Była wspaniała.

Zadzwoniłem do niej następnego dnia, ale numer był zajęty. Zadzwoniłem kolejnego dnia i w końcu ją zastałem.

– Przez następnych parę tygodni będę bardzo zajęta egzaminami pielęgniarskimi.

Zobaczyłem ją tydzień później, gdy zjawiła się pod koniec treningu, żeby spotkać się ze Scottem, jednym z chłopaków z klubu. Gdy wchodziłem po schodach, oboje przeszli tuż obok mnie – tak blisko, że mogłem poczuć zapach jej perfum. Skinęła mi grzecznie głową i powiedziała “Cześć".

Scott spojrzał na mnie z ukosa i mrugnął znacząco. Nie wiedziałem, że mrugnięcie może tak bardzo ranić.

Czując starszliwy głód, którego nie zaspokoiłaby żadna sałatka z surowych warzyw, znalazłem się przed wejściem do Charbroilera. Poczułem zapach skwierczących hamburgerów, polanych specjalnym sosem. Przypomniały mi się wszystkie dobre chwile, gdy razem z przyjaciółmi jadłem hamburgery z sałatą i pomidorami. W zaślepieniu, nie zastanawiając się wszedłem do środka, podszedłem prosto do kobiety za ladą i usłyszałem swój własny głos:

– Jednego cheeseburgera z podwójnym serem, proszę. Wziąłem cheeseburgera, usiadłem, podniosłem do ust i ugryzłem

ogromny kęs. Nagle uświadomiłem sobie co robię – wybieram pomiędzy Sokratesem i cheeseburgerem. Wyplułem go, wyrzuciłem ze złością do śmieci i wyszedłem. To był koniec – przestałem być niewolnikiem przypadkowych impulsów.

Ten wieczór dodał nowego blasku mojemu poczuciu własnej godności i osobistej mocy. Wiedziałem, że teraz pójdzie mi już łatwiej.

Małe zmiany w moim życiu zaczęły przynosić korzyści. Od czasu, gdy byłem dzieckiem, cierpiałem na różne drobne dolegliwości, takie jak katar w nocy, gdy powietrze było chłodne, bóle głowy, niestrawność i huśtawka nastrojów. Wszystko to uważałem za normalne i nieuniknione. Teraz wszystko zniknęło.

Miałem ciągłe uczucie lekkości i energii, która promieniowała ze mnie. Być może to sprawiło, że kobiety flirtowały ze mną, a małe dzieci i psy przychodziły do mnie i chciały się bawić. Kilku kolegów z klubu zaczęło prosić o radę w osobistych problemach. Nie byłem już małą łódeczką na wzburzonym morzu, zacząłem się czuć jak skała Gibraltaru.

Opowiedziałem Sokratesowi o moich doświadczeniach.

– Wzrasta twój poziom energii – przytaknął. – Ludzie, zwierzęta, a nawet rzeczy są przyciągane przez pole energii, które je fascynuje. Tak to właśnie działa.

– Zasady Gry?

– Zasady Gry – zgodził się i dodał: – Z drugiej strony, za wcześnie na gratulowanie sobie. Aby zachować właściwą perspektywę, lepiej porównuj się ze mną. Wtedy nie będziesz miał wątpliwości, że właśnie skończyłeś przedszkole.

Prawie nie zauważyłem jak dobiegł końca semestr. Egzaminy przeszły gładko – studia, które zawsze były dla mnie wielkim problemem, teraz stały się drobnostką, czymś, z czym łatwo dawałem sobie radę. Koledzy z klubu wyjechali na krótkie wakacje, a potem wrócili na letnie treningi. Zacząłem chodzić bez laski, a nawet kilka razy w tygodniu próbowałem bardzo powoli biegać. Nadal trenowałem z ogromnym samozaparciem, aż do bólu i granic wytrzymałości, i oczywiście robiłem wszystko jak najlepiej, jedząc właściwie, poruszając się właściwie i oddychając właściwie – ale moje "najlepiej" ciągle było nie dość dobre.

Sokrates zaczął zwiększać swoje wymagania wobec mnie.

– Teraz, gdy twoja energia kumuluje się, możesz zacząć trenować na serio.

Ćwiczyłem oddychanie tak wolne, że potrzebowałem minuty na zakończenie całego oddechu. W połączeniu z intensywną koncentracją i kontrolą określonych grup mięśni, te ćwiczenia oddechowe rozgrzewały moje ciało niczym sauna i sprawiały, że było mi zawsze ciepło, bez względu na temperaturę powietrza.

Uświadomiłem sobie z podnieceniem, że rozwijam tę samą moc, którą Sokrates zaprezentował mi tamtej nocy, kiedy się poznaliśmy. Po raz pierwszy zacząłem wierzyć, że być może – tylko być może – stanę się wojownikiem jego formatu. Nie czułem się już pomijany, teraz czułem, że mam przewagę nad moimi kolegami. Kiedy któryś z nich narzekał na złe samopoczucie lub inne problemy, którym można było zaradzić w prosty sposób właściwym jedzeniem, mówiłem mu o tym, czego sam nauczyłem się dzięki odpowiedzialności i dyscyplinie.

Pewnego wieczoru czułem się bardzo pewny siebie i poszedłem na stację benzynową z przekonaniem, że wkrótce poznam jakieś starożytne, tajemne sekrety Indii, Tybetu czy Chin. Zamiast tego, gdy tylko przeszedłem przez próg, wręczono mi szczotkę i kazano wyczyścić toaletę.

– Spraw, żeby ta toaleta lśniła.

Przez następnych parę tygodni, wykonywałem tyle prac fizycznych na stacji, że nie miałem czasu na ważne ćwiczenia. Godzinami dźwigałem opony, potem wynosiłem śmieci. Zamiatałem garaż i porządkowałem narzędzia. Nigdy nie przypuszczałem, że może do tego dojść, ale bycie z Sokratesem zaczynało być nudne.

Równocześnie wymagania stawały się niewykonalne. Sokrates dawał mi pięć minut na wykonanie półgodzinnej pracy, a potem krytykował mnie bezlitośnie, jeżeli coś zrobiłem niedokładnie. Był niesprawiedliwy, nierozsądny, a nawet impertynencki. Pewnego razu, gdy z rozgoryczeniem rozważałem ten stan rzeczy, Sokrates wszedł do garażu, żeby powiedzieć mi, że zostawiłem brud na podłodze w łazience.

– Ale ktoś używał łazienki po tym jak skończyłem – odparłem.

– Żadnych wymówek – powiedział i dodał: – Wyrzuć śmieci. Byłem tak wściekły, że chwyciłem rączkę od szczotki jak miecz.

Poczułem lodowaty spokój.

– Wyniosłem śmieci zaledwie pięć minut temu, Sokratesie. Przypominasz to sobie, staruszku, czy robisz się zgrzybiały?

– Mówię o tych śmieciach, pawianie! – uśmiechnął się. Popukał się w głowę i mrugnął do mnie. Szczotka ze stukotem upadła mi na podłogę.

Innym razem, kiedy zamiatałem garaż, Sokrates zawołał mnie do siebie. Usiadłem ponuro, czekając na dalsze polecenia.

– Dan, wciąż jeszcze nie nauczyłeś się naturalnego oddychania. Jesteś leniwy, musisz się bardziej koncentrować.

Tego już było za wiele.

– To ty jesteś leniwy – wrzasnąłem na niego. – Wykonuję tu za ciebie całą pracę!

Umilkł. Wydawało mi się, że zauważyłem ból w jego oczach.

– Dan – powiedział cicho. – Nie powinno się krzyczeć na swojego nauczyciela.

Raz jeszcze przypomniałem sobie, że celem tych zniewag zawsze było pokazanie mi mojego własnego zamętu emocjonalnego i umysłowego, przekształcenie mojego gniewu w działanie i pomoc w wytrwaniu.

– Dan, lepiej odejdź – powiedział, zanim zdołałem go przeprosić – i nie wracaj, dopóki nie nauczysz się uprzejmości, i dopóki nie będziesz umiał właściwie oddychać. Być może nieobecność poprawi ci nastrój.

Wyszedłem smutny, ze spuszczoną głową, powłócząc nogami. W drodze do domu myślałem o tym, jak cierpliwy był Sokrates wobec moich napadów złego humoru, narzekań i ciągłego zadawania pytań. Wszystkie jego wymagania były w istocie pomocą dla mnie. Obiecałem sobie nigdy już na niego nie krzyczeć w złości.

Samotny, jeszcze usilniej starałem się poprawić swoje skostniałe nawyki oddychania, ale wydawało mi się, że idzie mi coraz gorzej. Jeżeli oddychałem głęboko, zapominałem o trzymaniu języka na podniebieniu – a gdy pamiętałem o tym, wtedy garbiłem się. To doprowadzało mnie do szaleństwa.

Sfrustrowany poszedłem na stację spotkać się z Sokratesem i poprosić o radę. Znalazłem go, gdy majstrował coś w garażu. Rzucił na mnie jedno spojrzenie.

– Odejdź – powiedział.

Urażony i zły pokuśtykałem w noc bez słowa.

– Jak już nauczysz się oddychać – usłyszałem za sobą jego głos – zrób coś ze swoim poczuciem humoru.

Jego śmiech zdawał się ścigać mnie przez pół drogi do domu. Gdy dotarłem do schodów przed domem, usiadłem i zapatrzyłem się na kościół po drugiej stronie ulicy, nic właściwie nie widząc.

– Skończę z tym bezsensownym treningiem – powiedziałem do siebie.

Jednak nie wierzyłem w to, co powiedziałem. Nadal jadłem sałatki, unikałem wszelkich pokus i zawzięcie zmagałem się z własnym oddechem.

Minęła już prawie połowa lata, kiedy przypomniałem sobie o kawiarence Josepha. Byłem tak zajęty treningami podczas dnia i spotkaniami z Sokratesem w nocy, że nie znalazłem wcześniej czasu, by go odwiedzić. Teraz, pomyślałem smutno, moje noce są całkowicie wolne. Poszedłem do kawiarenki tuż przed zamknięciem. Było pusto. Znalazłem Josepha w kuchni, gdzie z miłością zmywał delikatne porcelanowe naczynia.

Byliśmy tak różni, Joseph i ja. Ja byłem niski, muskularny, atletyczny, z krótkimi włosami i starannie ogoloną twarzą. Joseph był wysoki, szczupły, o nieco wątłym wyglądzie, z miękką, kręconą blond brodą. Ja poruszałem się i mówiłem szybko – on robił wszystko uważnie, jak na filmie puszczonym w zwolnionym tempie. Jednak mimo tych różnic, a może właśnie dzięki nim, czułem do niego sympatię.

Rozmawialiśmy do późnej nocy, gdy pomagałem mu ustawiać krzesła i zamiatać podłogę. Nawet kiedy mówiłem, koncentrowałem się, tak jak potrafiłem, na oddychaniu, przez co potknąłem się o dywan i zbiłem talerz.

– Joseph – spytałem – Czy Sokrates naprawdę zmuszał cię do stukilometrowych biegów?

– Nie, Dan – roześmiał się. – Mój temperament nie pasuje do wyczynów lekkoatletycznych. Sokrates nie opowiadał ci? Przez lata byłem jego kucharzem i osobistym pomocnikiem.

– Nie, nigdy mi o tym nie mówił. Ale co masz na myśli mówiąc, że przez lata byłeś jego pomocnikiem? Nie możesz mieć więcej niż dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć lat.

– Jestem nieco starszy – rozpromienił się. – Mam pięćdziesiąt dwa lata.

– Poważnie?

Skinął głową. Rzeczywiście było coś w tej dyscyplinie.

– Ale skoro nie wykonywałeś ćwiczeń fizycznych, to co robiłeś? Jaki był twój trening?

– Dan, ja byłem bardzo gniewnym i egocentrycznym młodym człowiekiem. Sokrates miał skrajnie surowe wymagania co do mojej pracy i w ten sposób pokazał mi, jak dawać siebie z prawdziwym szczęściem i miłością.

– A czyż może być lepsze miejsce do nauki służenia innym – powiedziałem – niż stacja benzynowa!

– Wiesz, Sokrates nie zawsze był pracownikiem stacji benzynowej – odparł Joseph z uśmiechem. – Jego życie było naprawdę niezwykłe i urozmaicone.

– Opowiedz mi o tym! – poprosiłem.

– Czy Sokrates nie opowiadał ci o swojej przeszłości?

– Nie, woli to zachować w tajemnicy. Nawet nie wiem, gdzie mieszka.

– Nic dziwnego. Wobec tego niech to pozostanie tajemnicą do czasu, gdy on sam zechce ci to powiedzieć.

– Czy ty też nazywałeś go Sokratesem? – zapytałem, starając się ukryć rozczarowanie. – Wygląda to na nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

– Nie, ale jego nowe imię, tak jak jego nowy uczeń, ma ducha – uśmiechnął się.

– Powiedziałeś, że był wymagający wobec ciebie.

– Tak, i to bardzo. Nic, co robiłem nie było dość dobre – a jeśli pojawiała się w mojej głowie choć jedna negatywna myśl, zawsze zdawał się to wiedzieć i odsyłał mnie na całe tygodnie.

– Jeśli o tym mówimy, być może nie zobaczę go już więcej.

– Och? Dlaczego?

– Powiedział, że mam się nie pokazywać dopóki nie nauczę się właściwie oddychać – swobodnie i naturalnie. Staram się, ale po prostu nie potrafię.

– Ach, o to chodzi – powiedział odkładając miotłę. Podszedł do mnie i położył jedną rękę na moim brzuchu, a drugą na klatce piersiowej. – Teraz oddychaj – polecił.

Zacząłem oddychać głęboko, tak jak pokazał mi Sokrates.

– Nie tak mocno.

Po paru minutach zacząłem czuć coś dziwnego w brzuchu i w piersi. W obu tych miejscach poczułem ciepło. Miałem wrażenie jakby coś się w nich rozluźniło i otworzyło. Nagle poczułem się bezgranicznie szczęśliwy i zacząłem płakać jak dziecko, nie wiedząc dlaczego. W tym momencie oddychałem bez żadnego wysiłku – czułem się wręcz jakbym był oddychamy. Było to tak przyjemne, że pomyślałem: “Po co chodzić do kina dla rozrywki?" Byłem tak podniecony, że ledwie mogłem nad sobą panować! Wtedy poczułem, że oddech znowu zaczyna się napinać.

– Josephie, zgubiłem go!

– Nie przejmuj się, Dan. Musisz się trochę rozluźnić. Ja ci w tym pomogłem. Teraz wiesz, jakie to uczucie, gdy się oddycha naturalnie. Aby do tego dojść, musisz pozwalać sobie oddychać naturalnie, coraz bardziej, aż stanie się to czymś normalnym. Kontrolowanie oddechu oznacza rozwiązanie wszystkich węzłów emocjonalnych, a gdy już to zrobisz, odkryjesz nowy rodzaj cielesnego szczęścia.

– Josephie – powiedziałem ściskając go. – Nie wiem jak zrobiłeś to, co zrobiłeś, ale dziękuję – bardzo ci dziękuję.

Jego promienny uśmiech sprawił, że poczułem ciepło w całym ciele.

– Pozdrów ode mnie... Sokratesa – powiedział odkładając miotłę.

Mój oddech nie poprawił się od razu. Nadal się z nim zmagałem. Ale pewnego popołudnia, po treningu na sali gimnastycznej, gdzie wyciskałem ciężary zdrowiejącą nogą, w drodze do domu zauważyłem, że choć nie wysilam się specjalnie, mój oddech stał się całkowicie naturalny – bliski temu, co czułem w kawiarence.

Tej nocy wpadłem do kantoru, gotów ucieszyć Sokratesa moim sukcesem i przeprosić za swoje zachowanie. Wyglądał tak, jakby na mnie czekał. Zatrzymałem się przed nim wykonując efektowny ślizg po podłodze.

– Dobrze, kontynuujmy – powiedział to tak, jakbym właśnie wrócił z łazienki, a nie po sześciu tygodniach intensywnego treningu!

– Nie masz nic więcej do powiedzenia, Sokratesie? Ani “dobra robota, chłopcze", ani “wyglądasz nieźle"?

– Na ścieżce, którą wybrałeś, nie ma pochwały i nie ma nagany. Pochwały i nagany są formami manipulacji, których ty już nie potrzebujesz.

Zirytowany pokręciłem głową, potem uśmiechnąłem się z wysiłkiem. Mimo że starałem się jak mogłem okazywać mu więcej szacunku, czułem się dotknięty jego obojętnością. Ale przynajmniej wróciłem.

W czasie, kiedy nie czyściłem ubikacji, uczyłem się nowych, jeszcze bardziej frustrujących ćwiczeń, takich jak medytacja nad wewnętrznymi dźwiękami. Robiłem to tak długo, aż potrafiłem usłyszeć kilka z nich na raz. Pewnej nocy, gdy wykonywałem to ćwiczenie, nagle znalazłem się w stanie spokoju i odprężenia jakiego jeszcze nigdy wcześniej nie doznałem. Przez dłuższy czas – nie wiem jak długo – czułem się tak, jakbym znajdował się poza ciałem. Po raz pierwszy mój własny wysiłek i energia doprowadziły mnie do przeżyć paranormalnych. Tym razem nie potrzebowałem nacisku palców Sokratesa na moją głowę. Podniecony, opowiedziałem mu o tym.

– Dan, nie pozwól, żeby twoje doznania cię rozpraszały – powiedział, zamiast mi pogratulować. – Przebij się przez wizje i dźwięki i zobacz to, co kryje się za nimi. To są oznaki transformacji, ale jeśli nie wykroczysz poza nie, to nigdy nigdzie nie dotrzesz. Jeśli chcesz doznań, to idź do kina – to łatwiejsze niż joga. Medytuj przez cały dzień, jeśli chcesz. Możesz słyszeć dźwięki i widzieć światła lub nawet widzieć dźwięki i słyszeć światła. Ale wciąż pozostaniesz osłem, jeżeli pochłoną cię doznania. Zostaw je! Sugerowałem, żebyś został jaroszem, a nie jarzyną.

– Ja tylko “doznaję", jak to nazywasz, ponieważ kazałeś mi to robić! – powiedziałem sfrustrowany.

– Czy muszę ci wszystko mówić? – Sokrates popatrzył na mnie, jakby był zaskoczony.

Zamiast rozłościć się, zacząłem się śmiać. On również roześmiał się, wskazując na mnie palcem.

– Dan, właśnie doświadczyłeś cudownej transformacji alchemicznej. Przekształciłeś gniew w śmiech. Oznacza to, że twój poziom energii jest dużo wyższy niż wcześniej. Bariery przełamują się. Może więc robisz jednak jakieś małe postępy. – Wciąż jeszcze chichotaliśmy, gdy Sokrates wręczył mi szczotkę do podłogi.

Następnej nocy Sokrates po raz pierwszy w ogóle nie krytykował mojego zachowania. Zrozumiałem przesłanie – odtąd sam jestem odpowiedzialny za obserwowanie samego siebie. W tym momencie uświadomiłem sobie znaczenie całej jego krytyki. Prawie mi jej brakowało.

Wtedy nie zdawałem sobie jeszcze z tego sprawy, uświadomiłem to sobie wiele miesięcy później, ale tego wieczoru Sokrates przestał być moim “rodzicem" i zaczął być przyjacielem.

Postanowiłem odwiedzić Josepha i opowiedzieć mu co się stało. Gdy szedłem aleją Shattuck, minęło mnie kilka wozów straży pożarnej jadących na sygnale. Nie zwracałem na to uwagi, aż do chwili, gdy zbliżyłem się do kawiarenki i ujrzałem pomarańczową łunę. Zacząłem biec.

Gdy tam przybyłem, tłum już się rozchodził. Joseph też właśnie przyszedł i stał przed swoją zwęgloną, wypaloną kawiarenką. Byłem od niego jakieś dwadzieścia metrów, gdy usłyszałem jego krzyk bólu i zobaczyłem jak powoli osuwa się na kolana i płacze. Poderwał się z krzykiem pełnym furii – a potem odprężył się. Dostrzegł mnie.

– Dan! Miło znów cię widzieć. – Jego twarz była spokojna. Szef straży pożarnej podszedł do niego i powiedział, że prawdopodobnie pożar zaczął się w pralni chemicznej obok.

– Dziękuję – powiedział Joseph.

– Och, Joseph, tak mi przykro. – Potem ciekawość zwyciężyła. – Joseph, widziałem cię chwilę temu. Byłeś bardzo zmartwiony.

– Tak – uśmiechnął się. – Czułem się bardzo zmartwiony, więc wyrzuciłem to z siebie.

Przypomniały mi się słowa Sokratesa: “Pozwól temu wypłynąć, a potem zostaw." Aż do tej chwili słowa te były tylko piękną ideą, ale tutaj, przed poczerniałymi, ociekającymi wodą zgliszczami ślicznej kawiarenki, ten wątły wojownik zademonstrował w praktyce całkowite opanowanie emocji.

– To było takie piękne miejsce – westchnąłem kręcąc głową.

– Tak – powiedział smutno. – Było.

Z jakiegoś powodu dręczył mnie jego spokój.

– Czy teraz w ogóle nie jesteś zmartwiony? Popatrzył na mnie obojętnie.

– Znam historyjkę, która może ci się spodobać, Dan. – powiedział. – Chcesz posłuchać?

– Jasne.

W małej wiosce rybackiej w Japonii mieszkała młoda niezamężna kobieta, która urodziła dziecko. Jej rodzice czuli się zhańbieni i zażądali, aby powiedziała, kim jest ojciec dziecka. Przestraszona nie chciała im tego wyznać. Rybak, którego kochała, powiedział jej w tajemnicy, że wyrusza na

poszukiwanie fortuny, po czym wróci i ożeni się z nią. Rodzice jednak nalegali. Zrozpaczona dziewczyna podała, że ojcem dziecka jest Hakuin – mnich, który mieszka na wzgórzach.

Oburzeni rodzice zanieśli niemowlę pod jego drzwi, walili w nie, dopóki nie otworzył, i wręczyli mu dziecko, mówiąc:

– To dziecko jest twoje. Musisz się nim zaopiekować!

– Czyż tak? – zapytał Hakuirt i wziął niemowlę w ramiona, machając rodzicom dziewczyny na pożegnanie.

Minął rok i prawdziwy ojciec powrócił, aby ożenić się z dziewczyną. Natychmiast poszli do Hakuina błagać go, aby zwrócił dziecko.

– Musimy mieć naszą córeczkę – powiedzieli.

– Czyż tak? – zapytał Hakuin i wręczył im dziecko.

Joseph uśmiechnął się i czekał na moją reakcję.

– Interesująca opowieść, Joseph, ale nie rozumiem, dlaczego mi ją teraz opowiedziałeś. Twoja kawiarenka właśnie się spaliła!

– Czyż tak? – zapytał i roześmiał się widząc, że kręcę głową z rezygnacją.

– Josephie, jesteś równie zwariowany jak Sokrates.

– O, dzięki Dan – a ty martwisz się za nas dwóch. Jednak nie martw się o mnie, jestem gotów na zmianę. Prawdopodobnie wkrótce wyruszę na południe – albo na północ. Wszystko jedno dokąd. – No cóż, nie odchodź bez pożegnania.

– W takim razie “do widzenia" – powiedział, obdarowując mnie jednym ze swoich uścisków, po których promieniałem. – Wyruszam jutro.

– Nie zamierzasz pożegnać się z Sokratesem?

– Sokrates i ja rzadko mówimy sobie dzień dobry i do widzenia – odparł śmiejąc się. – Zrozumiesz to później.

Rozstaliśmy się. Wtedy widziałem go po raz ostami.

W piątek około trzeciej nad ranem w drodze na stację minąłem zegar na Shattuck. Byłem bardziej niż kiedykolwiek świadom tego, jak wiele jeszcze muszę się nauczyć.

– Sokratesie, kawiarenka Josepha poszła z dymem dziś w nocy – powiedziałem wchodząc do kantoru.

– Dziwne – powiedział. – Kawiarnie zazwyczaj nie chodzą. – On sobie żartował! – Czy ktoś został ranny? – zapytał bez widocznej troski.

– Chyba nie. Ale czy dobrze mnie usłyszałeś? Nie jesteś ani trochę zmartwiony?

– Czy Joseph martwił się, gdy z nim rozmawiałeś?

– No... nie.

– W takim razie w porządku. – W ten sposób temat został zamknięty.

Wtedy, ku mojemu zdumieniu, Sokrates wyciągnął paczkę papierosów i zapalił jednego.

– Czy mówiąc o paleniu, wspomniałem ci kiedyś, że nie ma czegoś takiego, jak zły nawyk? – zapytał.

Nie wierzyłem oczom i uszom. To nie może dziać się naprawdę, mówiłem do siebie.

– Nie, nie wspominałeś, a ja zgodnie z twoim zaleceniem, zrobiłem wiele, aby zmienić swoje złe nawyki.

– Było to po to, żeby wykształcić twoją wolę i trochę odświeżyć twoje instynkty. Można powiedzieć, że sam nawyk – czyli każdy nieświadomy, przymusowy rytuał – jest negatywny. Ale konkretne czynności – palenie, picie, branie narkotyków, jedzenie słodyczy czy zadawanie głupich pytań – są zarówno dobre, jak i złe. Każdy czyn ma swoją cenę i swoje przyjemności. Gdy potrafisz rozpoznawać obie te strony, stajesz się realistyczny i odpowiedzialny za swoje czyny. I tylko wtedy możesz dokonać wolnego wyboru wojownika – robić coś lub nie. Istnieje powiedzenie: Kiedy siedzisz – siedź, kiedy stoisz – stój, cokolwiek robisz – nie wahaj się. Gdy już dokonasz wyboru, włóż w to, co robisz całe

swoje serce. Nie zachowuj się jak ów kaznodzieja, który kochając się z żoną myślał o modlitwie, a modląc się myślał o kochaniu się z żoną.

Roześmiałem się wyobrażając to sobie, podczas gdy Sokrates wydmuchiwał doskonałe kółka dymu.

– Lepiej jest popełnić błąd całym swoim jestestwem, aniżeli starannie unikać błędów z drżącym sercem. Odpowiedzialność oznacza rozpoznanie zarówno przyjemności, jak i jej ceny, dokonanie wyboru opartego na tym rozpoznaniu, a potem życie z tym wyborem bez żadnej troski.

– Brzmi to jak “albo-albo". A co z umiarkowaniem?

– Umiarkowanie? – Sokrates wskoczył na biurko przyjmując pozę kaznodziei. – Umiarkowanie? To zamaskowana mierność, lęk i pomieszanie. To diabelnie rozsądne oszukaństwo. To kiepski kompromis, który nikogo nie uszczęśliwia. Umiarkowanie jest dla dobrotliwych, pokornych, dla asekurantów, którzy boją się zająć jakieś stanowisko. Jest dla tych, którzy boją się śmiać lub płakać, dla tych, którzy boją się żyć lub umierać. Umiarkowanie – wziął głęboki oddech, szykując się do końcowego oskarżenia – jest letnie herbatką, parzoną przez samego diabła!

Twoje kazania, Sokratesie – powiedziałem ze śmiechem – wchodzą jak lwy, a wychodzą jak baranki. Musisz jeszcze poćwiczyć. Wzruszył ramionami i zeskoczył z biurka.

– Zawsze mi to mówili w seminarium. Nie wiedziałem, czy żartuje, czy nie.

– Sokratesie, ja nadal sądzę, że palenie jest obrzydliwe.

– Czy moje przesłanie jeszcze do ciebie nie dotarło? Palenie nie jest obrzydliwe – nawyk jest. Mogę palić jednego papierosa dziennie, a potem nie palić przez sześć miesięcy. Mogę zapalić jednego papierosa na dzień lub jednego na tydzień, bez żadnej niesfornej potrzeby zapalenia następnego. A kiedy palę, to nie udaję, że moje płuca nie zapłacą za to. Podejmuję następnie odpowiednie działania, aby przeciwdziałać negatywnym skutkom.

– Nigdy nie wyobrażałem sobie, że wojownik może palić. Sokrates wydmuchiwał kółka dymu prosto w mój nos.

– Nigdy nie powiedziałem, że wojownik zachowuje się w sposób, który ty uważasz za doskonały, ani też, że wszyscy wojownicy zachowują się dokładnie tak jak ja. Ale wszyscy przestrzegamy Zasad Gry. Tak więc niezależnie czy moje zachowanie spełnia twoje nowe normy, czy też nie, powinno być dla ciebie jasne, że opanowałem wszelkie przymusy wewnętrzne i uwarunkowane zachowania. Nie posiadam nawyków – moje działania są świadome, zamierzone i pełne.

Sokrates zgasił papierosa i uśmiechnął się do mnie.

– Zrobiłeś się zbyt sztywny, z całą swoją dumą i najwyższą dyscypliną. Czas na małą fetę.

Sokrates wyciągnął z biurka butelkę dżinu. Aż usiadłem kręcąc głową z niedowierzaniem. Przyrządził mi drinka mieszając dżin z wodą sodową.

– Czy to woda sodowa, szefie? – zapytałem.

– Mamy tu tylko soki owocowe, i nie nazywaj mnie “szefem" – powiedział, przypominając mi słowa, które wypowiedział do mnie tak dawno temu. A teraz siedział tu przede mną, oferując mi dżin z wodą sodową, podczas gdy sam pił czysty dżin.

– A więc – powiedział wypijając szybko swój dżin – czas na zabawę, wszystko dozwolone.

– Podoba mi się twój entuzjazm, ale w poniedziałek mam ciężki trening.

– Bierz swój płaszcz, synku, i chodź za mną. Zrobiłem jak kazał.

Jedyną rzeczą, którą jasno pamiętam jest to, że był to sobotni wieczór w San Francisco. Zaczęliśmy wcześnie i wędrowaliśmy od knajpy do knajpy. To był wieczór rozmazanych świateł, dźwięczących kieliszków i śmiechu.

Za to dobrze pamiętam niedzielny poranek. Było około piątej. W głowie mi dudniło. Szliśmy Aleją Mission, przecinając Czwartą Ulicę. Przez gęstą, poranną mgłę ledwo mogłem dojrzeć światła uliczne. Nagle Sokrates zatrzymał się i zaczął wpatrywać się w mgłę. Wpadłem na niego, zachichotałem i szybko oprzytomniałem – coś było nie w porządku. Z mgły wyłoniła się duża ciemna postać. Mój na wpół zapomniany sen przemknął mi przez głowę, ale zniknął, kiedy ujrzałem drugą postać, a potem trzecią – trzech mężczyzn. Dwóch z nich – wysokich, chudych, groźnie wyglądających – zablokowało nam drogę. Trzeci zbliżył się do nas od tyłu i ze swej zniszczonej skórzanej kurtki wyciągnął sztylet. Poczułem pulsowanie w skroniach.

– Dawaj forsę – rozkazał.

Nie myśląc jasno, zrobiłem krok w jego stronę, sięgając ręką po portfel, i potknąłem się.

Przestraszony bandzior rzucił się w moją stronę, tnąc nożem. Sokrates, poruszając się szybciej niż kiedykolwiek wcześniej dane mi było widzieć, złapał go za nadgarstek, zakręcił nim i rzucił na chodnik w momencie, gdy drugi bandzior ruszył na mnie. Nawet mnie nie dotknął – Sokrates błyskawicznym kopnięciem podciął mu nogi. Zanim trzeci napastnik zdążył się poruszyć, Sokrates był już na nim, blokiem na nadgarstek i pchnięciem zmusił go do położenia się na ziemi.

– Nie sądzisz, że powinieneś przemyśleć sprawę niestosowania przemocy? – zapytał siedząc na napastniku.

Gdy jeden z mężczyzn zaczął się podnosić, Sokrates wydał potężny okrzyk i facet przewrócił się na plecy. Tymczasem przywódca bandy pozbierał się z ziemi, wyjął nóż i z wściekłością zaczął kuśtykać w kierunku Sokratesa. Ten wstał, podniósł mężczyznę, na którym siedział, i rzucił nim w zbira z nożem, krzycząc: "Łap!" Obaj upadli na chodnik. Wtedy, w dzikiej furii, wszyscy trzej wrzeszcząc rzucili się na nas w ostatnim, desperackim ataku. Następnych parę minut pamiętam jak przez mgłę. Przypominam sobie, że zostałem popchnięty przez Sokratesa i upadłem. Potem zapanowała cisza, przerywana jedynie jękami. Sokrates stał przez chwilę nieruchomo, następnie potrząsnął ramionami i wziął głęboki oddech. Noże wrzucił do kanału. Wtedy odwrócił się do mnie.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak, z wyjątkiem głowy.

– Ktoś cię uderzył?

– Tylko alkohol. Co się tu stało?

Sokrates odwrócił się do trzech mężczyzn rozciągniętych na chodniku, uklęknął i zbadał ich puls. Obracając ich niemal z czułością na plecy, sprawdził, czy nie mają poważnych obrażeń. Wtedy uświadomiłem sobie, że starał się ich wyleczyć!

– Zadzwoń po policję i karetkę – powiedział do mnie.

Pobiegłem do pobliskiej budki telefonicznej i zadzwoniłem. Potem szybko poszliśmy na przystanek autobusowy. Popatrzyłem na Sokratesa. W oczach miał łzy i po raz pierwszy, odkąd go poznałem, był blady i wyglądał na bardzo zmęczonego.

Podczas jazdy autobusem rozmawialiśmy niewiele. Tak było dla mnie lepiej – mówienie sprawiało mi ból. Kiedy autobus zatrzymał się na rogu University i Shattuck, Sokrates wysiadł.

– Zapraszam cię do siebie w następną środę na parę drinków... – uśmiechnął się na widok wyrazu bólu na mojej twarzy – ...z herbaty ziołowej.

Wysiadłem z autobusu jedną przecznicę od domu. Moja głowa mogła w każdej chwili rozpaść się na kawałki. Czułem się jakbyśmy przegrali bójkę, a napastnicy ciągle bili mnie po głowie. W drodze do mieszkania starałem się jak najdłużej iść z zamkniętymi oczyma. A więc tak to jest być wampirem, pomyślałem. Światło słoneczne może zabić.

Nasza hulanka w alkoholowych oparach nauczyła mnie dwóch rzeczy: po pierwsze, potrzebne mi było rozluźnienie i pofolgowanie sobie, a po drugie, dokonałem odpowiedzialnego wyboru – nigdy więcej picia. Poza tym przyjemność z picia była znikoma w porównaniu z tym, czego zacząłem doświadczać.

Poniedziałkowy trening gimnastyczny był najlepszym od wielu miesięcy. Fakt, że fizycznie i duchowo znowu stałem się całością, sprawił, że byłem jeszcze bardziej zdeterminowany. Noga zdrowiała szybciej niż miałem prawo tego oczekiwać – ale przecież znajdowałem się pod opieką nadzwyczajnego człowieka.

Idąc do domu byłem tak przepełniony wdzięcznością, że uklęknąłem przed wejściem i dotknąłem ziemi. Wziąłem do ręki garść ziemi i spojrzałem w górę poprzez szmaragdowe liście połyskujące na lekkim wietrze. Przez parę cennych sekund wydawało mi się, jakbym powoli stapiał się z ziemią. Wtedy po raz pierwszy od czasu, gdy byłem małym dzieckiem, poczułem życiodajną Obecność nie mającą nazwy.

Potem odezwał się mój analityczny umysł: "Ach, więc to jest owo spontaniczne doznanie mistyczne." W tym momencie czar prysł. Powróciłem do swojego ziemskiego bytu – znowu byłem zwykłym człowiekiem, stojącym pod wiązem z garścią ziemi w ręku. Wszedłem do mieszkania rozluźniony i oszołomiony. Czytałem przez chwilę, po czym szybko zasnąłem.

Wtorek był dniem ciszy – ciszy przed burzą.

W środę rano pogrążyłem się w nurcie zajęć i wykładów. Poczucie spokoju wewnętrznego, które, jak sądziłem, będzie trwałe, wkrótce ustąpiło subtelnym obawom i starym pragnieniom. Po tak długotrwałym treningu i utrzymywaniu dyscypliny, czułem się głęboko rozczarowany. Wtedy przydarzyło się coś nowego. Poczułem przebudzenie potężnej mądrości intuicyjnej, którą można by przełożyć słowami: “Stare pragnienia nadal będą pojawiać się, być może jeszcze przez lata. Ale nie pragnienia się liczą, lecz czyny. Wytrwaj przy swoim jak wojownik."

Z początku sądziłem, że mój własny umysł płata mi figle. Ale nie była to myśl, ani nie był to głos – było to odczucie–pewność. Czułem jakby Sokrates był wewnątrz mnie, taki wewnętrzny wojownik. I to uczucie miało już we mnie pozostać.

Tego wieczoru poszedłem na stację, aby opowiedzieć Sokratesowi o ostatniej nadmiernej aktywności mojego umysłu i o Odczuciu. Zastałem go przy wymienianiu prądnicy w wysłużonym merkurym. Spojrzał na mnie i przywitał się.

– Joseph zmarł dziś rano – powiedział obojętnie.

Osunąłem się na maskę stojącej za mną furgonetki, czując że zbiera mi się na wymioty, zarówno z powodu wiadomości o śmierci Josepha, jak i nieczułości Sokratesa.

W końcu odzyskałem głos.

– Jak umarł? – zapytałem.

– Och, bardzo dobrze, jak sądzę – Sokrates uśmiechnął się. – Miał białaczkę, wiesz? Chorował na nią od wielu lat. Przez długi czas powstrzymywał ją. Wspaniały wojownik. – Mówił z uczuciem, ale prawie obojętnie, bez cienia żalu.

– Sokratesie, czy nie jesteś ani trochę zmartwiony? Odłożył klucz.

– Przypomina mi to historię, którą słyszałem bardzo dawno temu, o matce pogrążonej w żalu po śmierci swojego młodego syna.

– Nie mogę znieść bólu i smutku – mówiła swojej siostrze.

– Moja siostro, czy opłakiwałaś swojego syna, zanim się urodził?

– Nie, oczywiście, że nie – odparła przygnębiona kobieta.

– Wobec tego nie powinnaś płakać po nim i teraz. On jedynie powrócił do tego samego miejsca, do swojego pierwotnego domu, w którym przebywał, zanim się narodził.

– I ta historia cię pociesza, Sokratesie?

– No cóż, sądzę, że jest całkiem niezła. Być może z czasem ją docenisz – odpowiedział pogodnie.

– Myślałem, że znam cię dobrze, ale nigdy nie podejrzewałem, że możesz być taki nieczuły.

– Nie ma powodu do zmartwienia.

– Ale Sokratesie, on odszedł! Zaśmiał się cicho.

– Może odszedł, a może nie. Może go tu nigdy nie było! – Jego śmiech przetoczył się po garażu.

– Chciałbym ciebie zrozumieć, ale nie mogę. Jak możesz być taki obojętny w obliczu czyjejś śmierci? Czy będziesz czuł tak samo, gdy ja umrę?

– Oczywiście! – zaśmiał się. – Dan, są rzeczy, których jeszcze nie rozumiesz. Na razie mogę jedynie powiedzieć, że śmierć jest transformacją – być może nieco bardziej radykalną niż okres dojrzewania – uśmiechnął się. – Ale nie jest czymś, czym trzeba by się specjalnie przejmować. Jest to po prostu jedna ze zmian jakie przechodzi ciało. Gdy się zdarza, to się zdarza. Wojownik ani nie szuka śmierci, ani przed nią nie ucieka.

Zanim przemówił ponownie, jego twarz sposępniała.

– Śmierć nie jest smutna. Smutne jest to, że tak naprawdę większość ludzi w ogóle nie żyje.

Jego oczy wypełniły się łzami. Siedzieliśmy w ciszy jak dwaj przyjaciele, a potem poszedłem do domu. Właśnie skręciłem w boczną uliczkę, kiedy Odczucie pojawiło się ponownie: “Tragedia jest czymś innym dla wojownika, a czymś innym dla głupca." Sokrates nie był smutny po prostu dlatego, że nie uważał, aby śmierć Josepha była tragedią. Zrozumiałem to dopiero wiele miesięcy później, w górskiej jaskini.

Wciąż jednak nie potrafiłem odrzucić przekonania, że zarówno ja, jak i Sokrates, powinniśmy być przygnębieni w obliczu śmierci. Z tym pomieszaniem rozbrzmiewającym w mojej głowie w końcu zasnąłem.

Rano znalazłem odpowiedź. Sokrates po prostu nie zachował się zgodnie z moimi oczekiwaniami, a zamiast tego zademonstrował wyższość radości nad rozpaczą i smutkiem. Poczułem, że rodzi się we mnie nowe postanowienie. Ujrzałem bezsens usiłowania życia zgodnie z uwarunkowanymi oczekiwaniami innych lub własnego umysłu. Od teraz, jak wojownik, będę wybierał kiedy, gdzie i jak będę myślał i działał. Wraz z tym mocnym postanowieniem poczułem, że zaczynam rozumieć życie wojownika.

Tej nocy poszedłem na staq"ę i powiedziałem Sokratesowi:

– Jestem gotów. Nic mnie już teraz nie powstrzyma.

Jego srogie spojrzenie przekreśliło cały mój wielomiesięczny trening. Zadrżałem.

– Nie bądź takim lekkoduchem! – wyszeptał przenikliwie. – Może jesteś gotowy, a może nie. Jedna rzecz jest pewna: nie masz już za wiele czasu! Każdy mijający dzień przybliża cię do śmierci. Nie bawimy się tu w gry, rozumiesz to?

Zdawało mi się, że usłyszałem wycie wiatru na zewnątrz. Niespodziewanie poczułem na skroniach dotyk jego ciepłych palców.

Siedziałem skulony w zaroślach. Trzy metry ode mnie, zwrócony w stronę mojej kryjówki, stał ponad dwumetrowego wzrostu olbrzym z mieczem. Jego masywne, muskularne ciało cuchnęło siarką. Głowę, a nawet czoło pokrywały szpetne, splątane włosy. Brwi były niczym wielkie szramy na pełnej nienawiści, wykrzywionej twarzy.

Wpatrywał się wrogo w stojącego przed nim młodego wojownika. Nagle zmaterializowało się pięć identycznych obrazów olbrzyma, które otoczyły młodego wojownika. Sześciu olbrzymów równocześnie roześmiało się jękliwym, ryczącym śmiechem, wydobywającym się z głębi ich trzewi. Poczułem mdłości.

Młody wojownik gwałtownie obracał głowę w prawo i w lewo, wściekle wymachując mieczem. Wywijał nim, robił uniki i ciął powietrze. Nie miał jednak żadnych szans.

Wszystkie obrazy olbrzyma z rykiem rzuciły się na niego. Olbrzym stojący za nim zamachnął się mieczem i odciął mu ramię. Wojownik zawył z bólu, kiedy krew trysnęła mu z rany, i ostatnim szaleńczym wysiłkiem ciął mieczem na oślep powietrze. Potężny miecz olbrzyma świsnął ponownie i głowa młodego wojownika spadła z jego barków i potoczyła się po ziemi z wyrazem przerażenia na twarzy.

– Oooch – jęknąłem mimowolnie. Miałem napad mdłości. Smród siarki obezwładniał mnie. Potężna ręka złapała mnie za ramię, wyrwała z krzaków i cisnęła o ziemię. Gdy otworzyłem oczy, parę centymetrów od mojej twarzy martwe oczy odciętej głowy młodego wojownika bezgłośnie ostrzegały mnie przed grożącą mi zagładą. Wtedy usłyszałem gardłowy głos olbrzyma.

– Pożegnaj się z życiem, młody głupcze! – ryknął.

Jego urąganie rozwścieczyło mnie. Sięgnąłem po miecz młodego wojownika i zerwałem się na równe nogi, stając twarzą w twarz z olbrzymem.

– Byłem nazywany “głupcem" przez lepszych od ciebie, ty zaśliniony eunuchu. – Z krzykiem zaatakowałem, wymachując mieczem.

Siła z jaką odparował cios zwaliła mnie z nóg. Nagle było ich już sześciu. Zerwałem się na nogi, starając się nie spuszczać z oka tego pierwotnego, ale nie byłem już pewien, który to jest.

Olbrzymy skradające się powoli w moją stronę zaczęły śpiewać monotonnym głosem dobywającym się z głębi ich trzewi – brzmiało to jak basowe, przerażające grzechotanie śmierci.

Wtedy pojawiło się Odczucie i wiedziałem już, co muszę zrobić. “Olbrzym przedstawia źródło wszystkich twoich nieszczęść – to twój umysł. Jest demonem, którego musisz zabić. Nie daj się oszukać jak ten pokonany wojownik. Skoncentruj się!" Mój umysł skomentował to absurdalnie: “Co za piekielna pora na lekcję." Skupiłem się na swoim kłopotliwym położeniu. Czułem w sobie lodowaty spokój.

Położyłem się na plecach i zamknąłem oczy, jakby poddając się losowi. W dłoniach trzymałem miecz, jego ostrze spoczywało na mojej piersi i dotykało policzka. Iluzja mogła oszukać moje oczy, ale nie uszy. Jedynie ten prawdziwy olbrzym z mieczem mógł wydawać dźwięki, gdy się poruszał.

Słyszałem go za sobą. Miał tylko dwie możliwości – odejść lub zabić. Zdecydował się zabić. Słuchałem z napięciem. Kiedy poczułem, że jego miecz właśnie ma na mnie spaść, z całej siły pchnąłem swoje ostrze w górę. Czułem, że wbija się rozrywając ubranie, ciało i mięśnie. Rozległ się potworny krzyk i usłyszałem głuchy odgłos padającego ciała. Demon zwisał twarzą w dół, nadziany na mój miecz.

– Tym razem ledwo wróciłeś – powiedział Sokrates marszcząc brwi.

Pobiegłem do łazienki i zwymiotowałem. Kiedy wyszedłem, Sokrates przygotowywał herbatę rumiankową z lukrecją, “na nerwy i żołądek".

Zacząłem mu opowiadać o podróży.

– Ukryłem się w krzakach za tobą i obserwowałem całe zdarzenie – przerwał. – Raz prawie kichnąłem. Całe szczęście, że się powstrzymałem. Jasne, że nie miałem ochoty zadawać się z tym typem. Przez chwilę myślałem, że będę musiał, ale poradziłeś sobie nieźle, Dan.

– Dzięki, Sokratesie – promieniałem. – Ja...

– Z drugiej strony, zdaje się, że przeoczyłeś coś, co prawie kosztowało cię życie.

Teraz ja mu przerwałem.

– Najważniejsza rzecz, która mnie interesowała, znajdowała się na końcu miecza olbrzyma – zażartowałem. – I nie przegapiłem jej.

– Czyżby?

– Sokratesie, przez całe życie walczyłem z iluzjami i przejmowałem się każdym drobnym, osobistym problemem. Poświęciłem życie doskonaleniu siebie, nie mogąc uchwycić tego jednego problemu, który sprawił, że w ogóle zacząłem szukać. Próbując zmusić wszystko na świecie, aby pracowało na moją korzyść, zawsze ulegałem własnemu umysłowi, zawsze zajmowałem się sobą, sobą, sobą. Olbrzym jest moim jedynym prawdziwym problemem w ży– ciu – to mój własny umysł. I, Sokratesie – mówiłem z rosnącym podnieceniem, uświadamiając sobie, czego właśnie dokonałem – zabiłem go!

– Co do tego nie ma wątpliwości – powiedział.

– Co by się stało, gdyby olbrzym wygrał? Co wtedy?

– Nie mówmy o takich rzeczach – odparł ponuro.

– Chcę wiedzieć. Czy naprawdę bym umarł?

– Najprawdopodobniej – powiedział. – A co najmniej byś zwariował.

Czajnik z wodą zaczął gwizdać.

5. Górska ścieżka

Sokrates nalał parującej herbaty do naszych bliźniaczych kubków, po czym po raz pierwszy od wielu miesięcy wypowiedział słowa zachęty:

– Twoje zwycięstwo w pojedynku jest prawdziwym potwierdzeniem, że jesteś gotów podążać dalej w kierunku Jedynego Celu.

– A co to takiego?

– Kiedy to odkrywasz, to już tam jesteś. Tymczasem twój trening może przenieść się teraz w inny obszar.

Zmiana! To oznaka postępu. Byłem podekscytowany. Wreszcie znowu ruszamy do przodu, pomyślałem.

– Sokratesie – zapytałem – o jakim innym obszarze mówisz?

– Przede wszystkim, nie zamierzam już dłużej być maszyną do odpowiadania. Będziesz musiał odnajdywać odpowiedzi wewnątrz siebie. I zaczniesz od zaraz. Wyjdź za stację, za pojemnik na śmieci. Tam, w samym rogu parceli, przy ścianie znajdziesz duży, płaski kamień. Usiądziesz na nim i będziesz siedział tak długo, aż będziesz miał mi coś wartościowego do powiedzenia.

– I to wszystko? – zawahałem się.

To wszystko. Usiądź i otwórz umysł na swoją wewnętrzną mądrość.

Wyszedłem na zewnątrz, znalazłem kamień i usiadłem w ciemności. Z początku przypadkowe myśli przepływały przez moją głowę. Potem pomyślałem o wszystkich ważnych koncepcjach, które poznałem w szkole. Minęła godzina, dwie, potem trzy. Za parę godzin miało wzejść słońce. Zrobiło mi się zimno. Zacząłem zwalniać oddech i żywo wyobrażać sobie, że mój brzuch jest ciepły. Wkrótce znów poczułem się dobrze.

Nadszedł świt. Jedyną rzeczą, jaka przychodziła mi do głowy i którą mogłem mu powiedzieć, było odkrycie, którego dokonałem na wykładzie z psychologii. Wstałem i na sztywnych, obolałych nogach pokuśtykałem do kantoru. Sokrates odprężony siedział wygodnie za swoim biurkiem.

– O, tak szybko? Dobra, co tam masz?

Niemal wstydziłem się powiedzieć, ale miałem nadzieję, że go to usatysfakcjonuje.

– No dobrze, Sokratesie. Pomimo oczywistych różnic pomiędzy nami, wszystkich nas łączą te same ludzkie potrzeby i obawy. Wszyscy jesteśmy na tej samej ścieżce, wspierając się nawzajem. A zrozumienie tego może zrodzić w nas współczucie.

– Nie najgorzej, wracaj na kamień.

– Ale już świta, a ty kończysz pracę.

– To żaden problem – uśmiechnął się. – Jestem pewien, że wymyślisz coś do wieczora.

– Dziś wieczorem ja... Sokrates wskazał ręką na drzwi.

Siedząc na kamieniu i czując ból w całym ciele, powróciłem myślami do dzieciństwa. Myślałem o przeszłości, szukając tam jakiegoś wglądu. Próbowałem zwięźle ująć w jednym dowcipnym aforyzmie wszystko, co wydarzyło się w ciągu miesięcy spędzonych z Sokratesem.

Myślałem o wykładach, które opuściłem i o treningu, który opuszczę – i o wymówkach, jakie będę musiał przedstawić trenerowi. Może powiem mu, że siedziałem na kamieniu za stacją benzynową. Była to na tyle zwariowana historia, że mogła go rozśmieszyć.

Słońce pełzło po niebie w żółwim tempie. Siedziałem głodny, zirytowany, a potem, gdy zapadł mrok, pogrążyłem się w depresji. Nie miałem nic dla Sokratesa. I wtedy, tuż przed jego przyjściem, zrozumiałem. Sokrates chciał czegoś głębokiego, czegoś bardziej kosmicznego! Skoncentrowałem się z nowym zapałem. Widziałem go jak wchodzi do biura, machając do mnie ręką. Zdwoiłem wysiłki. Około północy znalazłem to. Tak zesztywniałem, że nie byłem w stanie iść, więc zanim powlokłem się do kantoru, rozciągałem mięśnie przez parę minut.

– Pod maskami zachowań ludzi widziałem ich powszechne obawy i udręczone umysły i to czyniło mnie cynicznym, ponieważ dotychczas nie byłem w stanie wyjść poza to wszystko, by ujrzeć światło wewnątrz nich.

Sądziłem, że to spora rewelacja.

– Doskonale – oznajmił Sokrates – ale to nie całkiem to, co miałem na myśli – dodał, gdy już miałem westchnąć z ulgą. – Nie możesz przynieść mi czegoś bardziej poruszającego?

Zaryczałem ze złością, nie kierując jej ku nikomu szczególnemu i pomaszerowałem w stronę mojego kamienia filozoficznego.

Coś bardziej poruszającego, powiedział. Czy to jest wskazówka? Moje myśli powędrowały do ostatnich treningów na sali gimnastycznej. Koledzy z klubu troszczyli się o mnie jak kwoki. Ostatnio, gdy wykonywałem obroty na wysokim drążku, opuściłem półobrót i musiałem zeskoczyć ze szczytu drążka. Wiedziałem, że będę musiał wylądować twardo na nogach, ale zanim dotknąłem ziemi, Sid i Herb złapali mnie w powietrzu i delikatnie postawili.

– Uważaj Dan – zganił mnie Sid. – Chcesz, żeby ci noga strzeliła, zanim się dobrze zrośnie?

W mojej obecnej sytuacji żadna z tych rzeczy nie wydawała się zbyt istotna. Rozluźniłem się, w nadziei, że może Odczucie coś mi doradzi. Niestety. Zesztywniałem i zrobiłem się tak obolały, że nie byłem już w stanie koncentrować się. Sądziłem, że nie będzie to nieuczciwe, jeśli stanę na kamieniu i wykonam kilka płynnych ruchów tai chi, chińskiej formy wykonywanych powoli ćwiczeń, których nauczył mnie Sokrates.

Ugiąłem nogi w kolanach i kołysałem się z gracją tam i z powrotem, poruszając biodrami i wykonując płynne ruchy rękoma. Równocześnie oddech zharmonizowałem z przenoszeniem środka ciężkości. Umysł opróżnił się z myśli, a potem wypełnił go obraz.

Parę dni wcześniej biegłem powoli i ostrożnie na Provo Square, znajdujący się w centrum Berkeley, naprzeciwko ratusza i bezpośrednio przylegający do liceum. Dla rozluźnienia zacząłem wychylać się w tył i w przód w ruchach tai chi. Skoncentrowałem się na miękkości i równowadze, czując się jak wodorost unoszony przez ocean.

Kilka dziewcząt i chłopców z liceum zatrzymało się i obserwowało mnie. Nie zwracałem na nich uwagi, pozwalając, by moja koncentracja stopiła się z ruchami. Gdy skończyłem i poszedłem na bok z powrotem założyć dres na spodenki, moja zwykła świadomość zaczęła dochodzić do głosu: Ciekawe, czy dobrze wyglądałem, zastanawiałem się. Moją uwagę przyciągnęły dwie śliczne nastolatki, które obserwowały mnie chichocząc. Wygląda na to, że dziewczyny są pod wrażeniem, pomyślałem. Włożyłem obie nogi do jednej nogawki, straciłem równowagę i upadłem na tyłek.

Dziewczyny, wraz z kolegami, wybuchnęły śmiechem. Przez chwilę czułem się zakłopotany, ale potem położyłem się na plecach i zacząłem śmiać się razem z nimi.

Stojąc ciągle na kamieniu, zastanawiałem się, co takiego ważnego mogło być w tym zdarzeniu. Nagle dotarło do mnie – wiedziałem, że mam coś wartościowego do powiedzenia Sokratesowi.

Wszedłem do kantoru i stanąłem przed biurkiem Sokratesa.

– Nie ma zwykłych chwil! – oznajmiłem.

– Witaj z powrotem – Sokrates uśmiechnął się. Opadłem na sofę, a on zaparzył herbatę.

Po tym wydarzeniu każdą chwilę na sali gimnastycznej – zarówno na ziemi, jak i w powietrzu – traktowałem jako wyjątkową, zasługującą na moją pełną uwagę. Jednak wiedziałem, że dalsze lekcje będą niezbędne, ponieważ, jak nieraz wyjaśniał mi to Sokrates, zdolność skupiania ostrej jak brzytwa uwagi na każdej chwili codziennego życia wymaga dużo większej praktyki.

Następnego dnia, wczesnym popołudniem, przed treningiem, korzystając z tego, że niebo było błękitne, a słońce przyjemnie grzało, zdjąłem koszulkę i usiadłem w zagajniku sekwojowym, aby pomedytować. Nie siedziałem dłużej niż dziesięć minut, gdy nagle ktoś chwycił mnie i zaczął potrząsać w tył i w przód. Przetoczyłem się na bok i dysząc przykucnąłem. Wtedy zobaczyłem, kto to był.

– Sokratesie, czasami naprawdę nie umiesz się zachować.

– Obudź się! – powiedział. – Koniec ze spaniem w pracy. Jest robota do zrobienia.

– Teraz nie pracuję – przekomarzałem się. – Przerwa na lunch. Proszę iść do okienka obok.

– Czas się ruszyć, Wodzu Siedzący Byku. Leć po buty sportowe i wracaj tu za dziesięć minut.

Poszedłem do domu, włożyłem stare adidasy i szybko wróciłem do zagajnika sekwojowego. Sokratesa nie było nigdzie widać. Wtedy zobaczyłem ją.

– Joy!

Miała na sobie błękitne, satynowe spodenki, żółte buty sportowe Tigera i koszulkę związaną w talii. Podbiegłem i uściskałem ją. Śmiałem się, próbowałem przewrócić ja, żeby posiłować się z nią na ziemi, ale nie dała się pokonać. Chciałem z nią porozmawiać, opowiedzieć o swoich uczuciach, planach, ale ona położyła palec na moich ustach.

– Później będzie czas na rozmowę, Danny. Teraz rób to, co ja. Zademonstrowała pomysłową rozgrzewkę – kombinację ruchów tai chi, wizualizacji, gimnastyki rytmicznej i ćwiczeń koordynacyjnych “dla rozgrzania umysłu i ciała". Po paru minutach czułem się lekki, rozluźniony i pełen energii.

– Na miejsca, gotowi, start! – zawołała Joy bez uprzedzenia.

Wystartowała, biegnąc pod górę przez miasteczko uniwersyteckie, w kierunku wzgórz Strawberry Canyon. Podążałem za nią, dysząc ciężko. Nie byłem jeszcze w pełni formy i zostałem daleko w tyle. Rozgniewany przyśpieszyłem. Czułem żar w płucach. Da– leko z przodu Joy zatrzymała się na szczycie wzniesienia, skąd rozciągał się widok na stadion futbolowy. Ledwie dysząc dobiegłem do niej.

– Dlaczego tak długo, kochanie? – zapytała z rękami na biodrach.

Potem wystartowała ponownie, w stronę kanionu, kierując się ku przeciwpożarowym przecinkom leśnym – wąskim, piaszczystym dróżkom, które biegły przez wzgórza. Goniłem za nią zawzięcie, czując ból, jakiego już dawno nie czułem. Dawałem z siebie wszystko, żeby tylko ją doścignąć.

Gdy zbliżyliśmy się do leśnych przecinek, Joy zwolniła i zaczęła biec w ludzkim tempie. Po dotarciu do miejsca, w którym zaczynała się niższa ze ścieżek, Joy, zamiast zawrócić, ku memu przerażeniu poprowadziła mnie w górę, na następne wzniesienie.

Odmówiłem w ciszy modlitwę dziękczynną, kiedy na końcu niższej ze ścieżek Joy zawróciła, nie biegnąc na strome zbocze półkilometrowym “łącznikiem" pomiędzy niższą i wyższą ścieżką. Gdy zbiegaliśmy łagodnym zboczem, Joy zaczęła mówić.

– Danny, Sokrates poprosił mnie, abym wprowadziła cię w nowy etap treningu. Medytacja jest wartościowym ćwiczeniem, ale w końcu musisz otworzyć oczy i rozejrzeć się wokoło. Życie wojownika – kontynuowała – to nie siedzenie. To praktykowanie w ruchu. Jak powiedział ci Sokrates – dodała, gdy minęliśmy zakręt i zaczęliśmy zbiegać stromym zboczem – ta droga jest drogą działania – i będziesz miał możliwość działania!

Słuchałem jej w zamyśleniu, ze wzrokiem utkwionym w ziemię.

– Tak, rozumiem to, Joy – odpowiedziałem – dlatego też trenuję na sali gimnastycznej... – Podniosłem oczy po to tylko, żeby ujrzeć jej śliczną postać znikającą w oddali.

Gdy później tego popołudnia wszedłem na salę gimnastyczną, byłem całkowicie wyczerpany. Położyłem się na macie i rozciągałem się, rozciągałem, aż podszedł do mnie trener.

– Zamierzasz tak się rozciągać przez cały dzień? – zapytał. – Może spróbujesz wykonać jedno z tych przyjemnych ćwiczeń, które mamy tu dla ciebie? Nazywamy je “gimnastycznymi".

– W porządku, Hal – uśmiechnąłem się. Na początek spróbowałem bardzo prostych akrobacji, testując nogę. Bieganie to jedna rzecz, a akrobacje to zupełnie co innego. Zaawansowane ćwiczenia akrobatyczne mogą podczas wyrzucania ciała w górę wywierać nacisk na nogi aż do ośmiuset kilogramów. Po raz pierwszy w tym roku zacząłem też testować wytrzymałość nóg na batucie. Odbijając się rytmicznie raz za razem wykonywałem salta.

– Hoop i... hoop!

– Millman, nie tak ostro! – krzyczeli Pat i Dennis, moi partnerzy do ćwiczeń na batucie. – Wiesz, że twoja noga jeszcze nie jest zdrowa!

Zastanawiałem się, co by powiedzieli, gdyby wiedzieli, że właśnie przebiegłem po wzgórzach wiele kilometrów.

Gdy tej nocy szedłem na stację, byłem tak zmęczony, że z trudem mogłem utrzymać otwarte oczy. Powietrze przenikał październikowy chłód. Wszedłem do kantoru licząc na ciepłą herbatę i swobodną rozmowę. Powinienem był przewidzieć, co się stanie.

– Podejdź tutaj i stań przede mną. W ten sposób – Sokrates ugiął nogi w kolanach, biodra wysunął do przodu i cofnął barki. Wyciągnął przed siebie ręce, jakby trzymał niewidzialną piłkę plażową. – Utrzymuj tę pozycję w bezruchu i oddychaj powoli, a ja powiem ci parę rzeczy, które powinieneś wiedzieć na temat właściwego treningu.

Usiadł za biurkiem i obserwował mnie. Natychmiast moje nogi zaczęły drżeć i boleć.

– Jak długo mam tak stać? – jęknąłem.

– W porównaniu z przeciętnym człowiekiem poruszasz się nieźle, Dan – powiedział, ignorując moje pytanie – niemniej jednak twoje ciało jest pełne “węzłów". W twoich mięśniach jest za dużo napięcia, a poruszanie napiętych mięśni wymaga większej energii. A więc przede wszystkim musisz się nauczyć uwalniać nagromadzone napięcie. Moje nogi zaczęły trząść się z bólu i ze zmęczenia.

– To boli! – krzyknąłem.

– Boli, ponieważ twoje mięśnie są jak skała.

– W porządku, już to udowodniłeś!

Sokrates tylko się uśmiechnął i bez słowa wyszedł z kantoru, pozostawiając mnie samemu sobie. Stałem na ugiętych nogach, pocąc się i drżąc. Po chwili wrócił z ogromnym, szarym kocurem, który bez wątpienia był starym frontowym wygą.

– Musisz rozwinąć mięśnie jak ten kot, żebyś mógł poruszać się tak jak my – powiedział, drapiąc mruczącego kocura za uszami.

Moje czoło pokryły krople potu. Ból w ramionach i nogach był nie do zniesienia.

– Spocznij – powiedział w końcu Sokrates. Natychmiast wyprostowałem się, wycierając czoło i rozluźniając się. – Podejdź tu i przedstaw się kotu. – Kocur mruczał z rozkoszy, gdy Sokrates drapał go za uszami. – Obaj będziemy jego nauczycielami, co kiciu? – Kot miauknął głośno. Pogłaskałem go. – Teraz ściśnij mięśnie jego nogi, powoli, aż do kości.

– To może go boleć.

– Ściśnij!

Ściskałem wbijając się palcami głębiej i głębiej w mięsień kota, aż wyczułem kość. Kot obserwował mnie z ciekawością i wciąż mruczał.

– Teraz ściśnij moją łydkę – powiedział Sokrates.

– Och, nie mogę, Sokratesie. Nie znamy się tak dobrze.

– Rób co mówię, ośle.

Ścisnąłem i ze zdziwieniem odkryłem, że jego mięśnie były takie same jak u kota – poddawały się jak twarda galaretka.

– Twoja kolej – powiedział schylając się i ściskając mięsień mojej łydki.

– Au! – zawyłem. – Zawsze myślałem, że twarde mięśnie są normalne – powiedziałem, rozcierając łydkę.

– Są normalne, Dan, ale ty musisz wyjść poza to, co normalne, poza to, co zwyczajne, powszechne i racjonalne – w świat wojownika. Zawsze próbowałeś być najlepszy w zwykłym świecie. Teraz będziesz zwykłym człowiekiem w doskonalszym świecie.

Sokrates jeszcze raz pogłaskał kota i wypuścił go za drzwi. Kocur siedział pod drzwiami przez chwilę, po czym powoli odszedł. Sokrates zaczął zapoznawać mnie z subtelnymi elementami treningu fizycznego.

– Teraz możesz już ocenić jak umysł wpływa na napięcie ciała. Przez całe lata akumulowałeś zmartwienia, troski i inne mentalne śmieci. Teraz nadszedł czas, byś pozbył się starych napięć, które zostały uwięzione w mięśniach.

Sokrates wręczył mi spodenki gimnastyczne i polecił przebrać się w nie. Gdy wróciłem z łazienki, on również był w szortach, a na dywanie leżało rozpostarte białe prześcieradło.

– Co zrobisz jeśli przyjdzie klient?

Sokrates wskazał na swój kombinezon wiszący przy drzwiach.

– Teraz rób dokładnie to, co ja – polecił.

Zaczął wcierać w swoją lewą stopę wonny olejek. Naśladowałem każdy ruch, a on ściskał, naciskał i wbijał się palcami głęboko w podeszwę stopy, wierzch, boki oraz pomiędzy palce, rozciągając, uciskając i wyciągając je.

– Masuj kości, a nie jedynie ciało i mięśnie, głębiej – powiedział. Pół godziny później skończyliśmy zajmować się lewą stopą. To

samo powtórzyliśmy z prawą stopą. Proces ten trwał parę godzin, obejmując każdą część ciała. Dowiedziałem się takich rzeczy o własnych mięśniach, o jakich wcześniej nie miałem pojęcia. Wyczuwałem, gdzie były przymocowane, wyczuwałem kształt kości. Zadziwiające było to, że ja, sportowiec, tak niewiele wiedziałem o własnym ciele.

Kilka razy, gdy dzwonił dzwonek, Sokrates szybko ubierał kombinezon i wychodził na zewnątrz, ale poza tym nikt nam nie przeszkadzał. Gdy pięć godzin później zakładałem swoje ubranie, czułem się jakbym także założył nowe ciało.

– Usunąłeś ze swojego ciała wiele starych lęków – powiedział Sokrates wracając od klienta. – Znajdź czas, aby powtórzyć cały ten proces przynajmniej raz na tydzień przez następnych sześć miesięcy. Zwróć szczególną uwagę na swoje nogi – miejsce zranienia masuj codziennie przez dwa tygodnie.

Jeszcze więcej zadań domowych, pomyślałem. Zaczynało świtać. Ziewnąłem. Pora iść do domu. Gdy wychodziłem, Sokrates powiedział mi, żebym zjawił się dokładnie o pierwszej po południu przy wejściu na ścieżki przeciwpożarowe.

Dotarłem tam nieco wcześniej. Rozciągałem się i rozgrzewałem leniwie. Po “masażu kości" moje ciało było lekkie i rozluźnione, ale po zaledwie paru godzinach snu nadal czułem się zmęczony. Zaczęło lekko mżyć, a poza tym nie miałem ochoty na bieganie gdziekolwiek ani z kimkolwiek. Nagle w pobliskich krzakach usłyszałem szelest. Znieruchomiałem i patrzyłem spodziewając się, że z zarośli wyłoni się sarna. Nieoczekiwanie zza krzaków wyszła Joy. Wyglądała jak królowa elfów. Ubrana była w ciemnozielone szorty i cytrynową koszulkę z napisem “Szczęście to pełny bak". Niewątpliwie był to prezent od Sokratesa.

– Joy, zanim pobiegniemy, usiądźmy i porozmawiajmy. Tak wiele mam ci do powiedzenia.

Uśmiechnęła się i pomknęła do przodu. Pobiegłem za nią w górę pierwszym zakolem. Prawie upadłem ślizgając się na mokrej, gliniastej ziemi. Po wczorajszych ćwiczeniach czułem słabość w nogach. Wkrótce dostałem zadyszki, a w prawej nodze poczułem pulsowanie – ale nie skarżyłem się. Wdzięczny byłem Joy, że utrzymywała wolniejsze tempo niż wczoraj.

Nie rozmawiając dobiegliśmy do końca niższej ścieżki. Oddychałem z trudem, nie miałem już więcej sił. Zacząłem zawracać, kiedy Joy zawołała:

– Kto pierwszy ten lepszy! – i pobiegła w górę łącznika.

“Nie!" – krzyknął mój umysł. “Zdecydowanie nie" – powiedziały moje zmęczone mięśnie. Wtedy spojrzałem na Joy biegnącą lekko w górę zbocza, jakby to była równa płaszczyzna.

Z okrzykiem buntu przypuściłem szturm na wzgórze. Wyglądałem jak pijany goryl, pochylony do przodu, jęczący, sapiący, wspinający się na oślep pod górę – dwa kroki do przodu, jeden z poślizgiem do tyłu.

Dotarłem na szczyt. Joy stała tam, wdychając zapach wilgotnych igieł sosnowych. Wyglądała spokojnie i radośnie jak Bambi z kreskówek Disneya. Moje płuca błagały o więcej powietrza.

– Mam pomysł – powiedziałem dysząc. – Resztę drogi pójdźmy spacerem, albo nie, lepiej czołgajmy się, będziemy mieli więcej czasu na rozmowę. Co ty na to?

– Ruszajmy – zawołała Joy wesoło.

Mój żal zmienił się we wściekłość. Będę ją gonił choćby na koniec świata! Trafiłem nogą w kałużę, poślizgnąłem się na błocie, wpadłem na sterczącą gałąź i omal nie potoczyłem się w dół zbocza.

– Cholera! Do diabła! A niech to szlag! – wyszeptałem ochrypłym głosem. Nie miałem już sił, żeby mówić.

Z trudem wdrapałem się na mały pagórek, który dla mnie wyglądał jak Góry Kolorado, i zobaczyłem Joy, siedzącą w kucki, bawiącą się z kilkoma dzikimi królikami skaczącymi po ścieżce. Gdy dowlokłem się do niej, króliki umknęły w krzaki. Joy spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

– Och, jesteś już – powiedziała.

Jakimś nadludzkim wysiłkiem zdołałem przyspieszyć i minąć ją, ale ona poderwała się, wyprzedziła mnie i zniknęła w oddali.

Wspięliśmy się prawie czterysta metrów. Byłem teraz wysoko ponad Zatoką i mogłem oglądać budynki Uniwersytetu poniżej. Nie miałem jednak sił, aby podziwiać ten widok. Byłem bliski omdlenia. Przez moment miałem wizję siebie pogrzebanego na wzgórzu, w mokrej ziemi. Na mogile widniał napis: “Dan tu leży. Równy był z niego gość. Wysoko mierzył."

Deszcz wzmógł się jeszcze bardziej. Biegłem jak w transie, pochylając się do przodu, potykając się, wlokąc się noga za nogą. Buty ciążyły mi jakby były z betonu. Za zakrętem zobaczyłem ostatnie wzgórze, które wznosiło się niemal pionowo. Ponownie mój umysł zbuntował się. Ciało samo zatrzymało się, ale tam, w górze, na samym szczycie stała Joy w rękami wyzywająco wspartymi na biodrach. Jakoś zdołałem pochylić się do przodu i ponownie uruchomić nogi. Brnąłem z trudem, wytężałem siły i jęczałem, wspinając się po nie kończących się stopniach, aż w końcu potykając się wpadłem prosto na Joy.

– Hola, mój drogi, hola – roześmiała się. – Trening skończony. To wszystko na dziś.

Dysząc ciężko, pochylony do przodu, wysapałem:

– Powiedz... mi... to... jeszcze... raz.

Schodziliśmy ze wzgórza wolnym krokiem. Miałem dzięki temu czas na odpoczynek i rozmowę.

– Joy, wydaje mi się, że taki wysiłek i takie tempo nie jest naturalne. Nie byłem przygotowany na taki bieg. Myślę, że nie jest to zbyt dobre dla ciała.

– Zgadza się – powiedziała. – Nie była to próba dla twojego ciała, lecz dla ducha. Sprawdzian, czy dasz sobie radę – nie tylko ze wzgórzem, ale z całym twoim treningiem. Gdybyś się zatrzymał, to byłby koniec. Ale zdałeś ten test, Danny, zdałeś celująco.

Zaczął wiać silny wiatr, lunął ulewny deszcz nie zostawiając na nas suchej nitki. Joy przystanęła i wzięła moją głowę w swoje dłonie. Woda kapała z naszych przemoczonych włosów i spływała nam po policzkach. Objąłem ją ramieniem i pogrążyłem się w jej błyszczących oczach. Pocałowaliśmy się.

Poczułem przypływ energii. Nasz widok rozśmieszył mnie – wyglądaliśmy jak gąbki wymagające wyżęcia.

– Będę pierwszy na dole! – zawołałem i pomknąłem do przodu. Niech to licho, pomyślałem, mógłbym potoczyć się na sam dół tych cholernych ścieżek! Oczywiście Joy wygrała.

Nieco później tego popołudnia razem z Sidem, Garym, Scottem i Herbem rozciągałem się leniwie na sali. Ciepła sala gimnastyczna była przyjemnym schronieniem przed ulewą na zewnątrz. Pomimo wyczerpującego biegu wciąż miałem zapas energii.

Ale kiedy wieczorem wszedłem do kantoru stacji i zdjąłem buty, zapas ten wyczerpał się zupełnie. Chciało mi się rzucić swoje obolałe ciało na sofę i zdrzemnąć dziesięć albo dwanaście godzin. Opierając się temu pragnieniu, usiadłem z gracją na sofie i spojrzałem na Sokratesa.

Z rozbawieniem zauważyłem, że zmienił wystrój biura. Na ścianach wisiały zdjęcia mistrzów golfa, narciarzy, tenisistów i gimnastyków. Na jego biurku leżała rękawica baseballowa i piłka futbolowa. Sokrates nawet miał na sobie koszulkę z napisem “Zespół trenerski Stanu Ohio". Wyglądało na to, że wkroczyliśmy w sportowy etap mojego treningu.

Gdy Sokrates przyrządzał dla nas swoją specjalną herbatę “na przebudzenie", którą nazywał “Grzmiące przekleństwo", ja opowiadałem o swoich postępach w gimnastyce. Słuchał i kiwał głową z wyraźną aprobatą. Następnie wypowiedział słowa, które mnie zaintrygowały.

– Gimnastyka może być czymś więcej niż ci się wydaje. Aby to zrozumieć, musisz dokładnie zobaczyć, dlaczego tak bardzo ją lubisz.

– Możesz to wyjaśnić?

Sięgnął do szuflady i wyjął z niej trzy groźnie wyglądające noże do rzucania.

– Mniejsza o to, Sokratesie – powiedziałem. – Właściwie to już nie potrzebuję wyjaśnień.

– Wstań – rozkazał.

Kiedy to zrobiłem, Sokrates niedbale rzucił od dołu nożem, prosto w kierunku mojej klatki piersiowej. Odskoczyłem na bok, przewracając się na sofę, a nóż bezdźwięcznie upadł na dywan. Leżałem oszołomiony z walącym sercem.

– Dobrze – powiedział. – Reagujesz trochę za nerwowo, ale jest nieźle. Teraz wstań i złap następny.

W tym momencie zagwizdał czajnik dając mi chwilę wytchnienia.

– Dobra – powiedziałem, wycierając spocone dłonie – czas na herbatę.

Herbata poczeka – powiedział Sokrates. – Obserwuj mnie uważnie.

Podrzucił lśniące ostrze w górę. Obserwowałem jak nóż obraca się w powietrzu i spada. Gdy już miał upaść, Sokrates dopasował ruch swojej ręki do szybkości obrotu noża i złapał mocno rękojeść chwytając ją pomiędzy palce i kciuk niczym szczypcami.

– Teraz twoja kolej. Zauważ, że złapałem nóż w taki sposób, że nawet gdybym chwycił za ostrze to nie zraniłbym się.

Rzucił drugi nóż w moim kierunku. Zbytnio rozluźniony odsunąłem się i bez przekonania spróbowałem go złapać.

– Jeżeli upuścisz następny, zacznę rzucać z zamachem od góry – zagroził.

Tym razem przylgnąłem wzrokiem do rękojeści. Gdy nóż nadleciał, złapałem go.

– Hej, udało się!

– Czyż sport nie jest wspaniały? – zapytał Sokrates.

Przez jakiś czas byliśmy całkowicie pochłonięci rzucaniem i łapaniem. Potem Sokrates przerwał.

– Teraz chciałbym opowiedzieć ci o satori, pewnym pojęciu z filozofii zen. Satori jest sposobem bycia wojownika. Pojawia się w momencie, gdy umysł jest wolny od myśli, jest czystą przytomnością, a ciało jest aktywne, wrażliwe i odprężone. W tym stanie emocje przepływają otwarcie i swobodnie. Satori to jest to, czego doznawałeś, gdy nóż leciał w twoją stronę.

– Wiesz co, doświadczałem już tego odczucia wielokrotnie, zwłaszcza podczas zawodów. Często koncentruję się tak silnie, że nawet nie słyszę aplauzu widowni.

– Tak, to właśnie jest doznanie satori. A teraz, jeżeli zrozumiesz to, co ci powiem, zrozumiesz właściwą rolę sportu – a także malarstwa, muzyki czy jakiejkolwiek innej aktywności, czy twórczej bramy prowadzącej do satori. Wydaje ci się, że kochasz gimnastykę, ale jest ona jedynie opakowaniem kryjącym w sobie prezent: satori. Właściwe wykorzystanie gimnastyki polega na pełnym skupieniu uwagi i uczuć na tym, co się robi – wtedy osiąga się satori. Gimnastyka, zwłaszcza gdy jest związana z ryzykiem, daje ci moment prawdy, podobnie jak walczącemu samurajowi. Wymaga od ciebie pełnej uwagi: satori albo śmierć! – Jak podczas podwójnego salta.

– Tak. Dlatego właśnie gimnastyka jest sztuką wojownika, sposobem ćwiczenia tak umysłu i emocji, jak i ciała – jest drzwiami do satori. Ostatnim krokiem na drodze do stania się wojownikiem jest przeniesienie jasności umysłu do codziennego życia. Wtedy satori stanie się twoją rzeczywistością, kluczem do bramy – tylko wtedy staniemy się sobie równi.

Westchnąłem.

– Wygląda mi to na bardzo odległą możliwość, Sokratesie.

– Kiedy wbiegałeś za Joy na wzgórze – uśmiechnął się – nie spoglądałeś z tęsknotą na szczyt. Patrzyłeś przed siebie i stawiałeś krok za krokiem. Tak się to właśnie odbywa.

– Zasady Gry, czyż nie?

Sokrates uśmiechnął się w odpowiedzi. Ziewnąłem i przeciągnąłem się.

– Lepiej prześpij się trochę – doradził. – Jutro o siódmej rano na bieżni liceum w Berkeley zaczynasz specjalny trening.

Kiedy kwadrans po szóstej zadzwonił budzik, z największym trudem zwlokłem się z łóżka, zanurzyłem głowę w zimnej wodzie, wykonałem klika głębokich oddechów przy otwartym oknie i wykrzyczałem się w poduszkę dla przebudzenia.

Gdy wyszedłem na ulicę, byłem całkowicie rześki. Pobiegłem truchtem. Minąłem aleję Shattuck i za hotelem YMCA przeciąłem Allston Way. Przebiegłem obok poczty, potem wzdłuż Milvii, aż dotarłem do terenów szkoły, gdzie czekał już na mnie Sokrates.

Wkrótce dowiedziałem się, że przygotował dla mnie regularny program treningów. Na początek przez pół godziny musiałem stać w owej trudnej do wytrzymania pozycji na ugiętych nogach, którą pokazał mi na stacji benzynowej. Potem przećwiczyliśmy parę podstawowych technik sztuk walki.

– Prawdziwa sztuka walki uczy harmonii i niestawiania oporu – mówił Sokrates – tak jak drzewa uginające się na wietrze. Takie podejście do sztuk walki jest dużo ważniejsze niż same techniki.

Wykorzystując zasady aikido, Sokrates potrafił bez wysiłku rzucić mnie na ziemię, bez względu na to jak bardzo próbowałem go popchnąć, złapać, uderzyć, czy nawet mocować się z nim.

– Nigdy z nikim i z niczym nie zmagaj się. Gdy jesteś pchany – ciągnij. Gdy jesteś ciągnięty – pchaj. Znajdź naturalny bieg wydarzeń i poddaj mu się – wtedy zjednoczysz się z siłami natury.

Jego czyny były potwierdzeniem tych słów. Wkrótce trening się skończył.

– Do zobaczenia jutro, w tym samym miejscu, o tej samej porze. Zostań dziś wieczorem w domu i rób swoje ćwiczenia. Pamiętaj – staraj się tak zwolnić oddech, aby nie poruszał piórka przed twoim nosem.

Odszedł udając, że jedzie na rolkach, a ja pobiegłem do swojego mieszkania. Byłem tak odprężony, że czułem jak wiatr popycha mnie w stronę domu.

Tego dnia na sali gimnastycznej starałem się jak mogłem, by wprowadzić w życie to, czego się nauczyłem, “pozwalając ruchom dziać się" zamiast próbować je wykonywać. Wydawało się, że kołowroty olbrzymie na wysokim drążku wychodzą same. Na poręczach robiłem obroty, wyskoki i salta

z przejściem do stania na rękach. Wykonując koła, przemachy nożycowe i obejścia na koniu z łękami czułem jakbym był podtrzymywany przez sznur zwisający z sufitu, jakbym znajdował się w stanie nieważkości. W końcu moje niesprawne po wypadku nogi wracały do zdrowia!

Każdego ranka, tuż po wschodzie słońca, spotykałem się z Sokratesem. Ja biegłem rytmicznie, a on gnał do przodu, skacząc jak gazela. Z dnia na dzień czułem się bardziej odprężony, a mój refleks zyskał szybkość błyskawicy.

Pewnego dnia, gdy byliśmy w trakcie rozgrzewki, Sokrates nagle zatrzymał się. Był blady jak ściana.

– Chyba lepiej będzie jak usiądę – powiedział.

– Sokratesie – czy mogę ci jakoś pomóc?

– Tak – powiedział Sokrates z trudem. – Po prostu biegnij dalej, Dan. Ja posiedzę tu w spokoju.

Zrobiłem jak mi polecił, ale nie odrywałem od niego wzroku. Siedział wyprostowany z zamkniętymi oczami, dumny i nieruchomy, ale jakiś starszy.

Tak jak umówiliśmy się parę tygodni wcześniej, wieczorem nie poszedłem odwiedzić go na stacji, ale zadzwoniłem, aby dowiedzieć się, jak się czuje. Poczułem ulgę, gdy Sokrates odebrał.

– Jak leci, Trenerze? – zapytałem.

– Świetnie – odparł – ale na najbliższych parę tygodni zatrudniłem asystenta.

– Dobra, Sokratesie, uważaj na siebie.

Następnego dnia, gdy zobaczyłem asystenta trenera na bieżni, dosłownie nie posiadałem się z radości. Podbiegłem do Joy, objąłem ją delikatnie i przytuliłem, szepcząc jej czule do ucha. Ona równie delikatnie rzuciła mnie przez głowę na trawnik. Nie dość tego. Pokonała mnie w piłkę nożną, potem w krykieta – piłeczki, które rzucałem, wybijała pięćdziesiąt metrów ponad moją głową. Cokolwiek robiliśmy, bez względu na to, jaka była to gra, ona zawsze grała bezbłędnie, sprawiając, że ja, mistrz świata, rumieniłem się ze wstydu – i ze złości.

Podwoiłem ilość ćwiczeń, które wyznaczył mi Sokrates. Trenowałem z większą koncentracją niż kiedykolwiek wcześniej. Budziłem się o czwartej rano, ćwiczyłem tai chi do świtu i przed porannym spotkaniem z Joy biegłem na wzgórza. Nie przyznawałem się do mojego dodatkowego treningu.

Nosiłem w sobie obraz Joy na wykłady i na salę gimnastyczną. Chciałem się z nią spotkać, objąć – ale najpierw musiałem ją złapać. Na razie jedyne, na co mogłem liczyć, to pokonać ją w jej własnych grach.

Parę tygodni później biegałem i skakałem razem z Sokratesem, który już powrócił na bieżnię. Moje nogi były sprężyste i silne.

– Sokratesie – zagadnąłem go, na przemian wyprzedzając go i pozostając za nim. – Nigdy nie mówisz o tym, co robisz w ciągu dnia. Nie mam pojęcia jaki jesteś, kiedy nie jesteśmy razem. No więc?

Uśmiechnął się do mnie, wyskoczył do przodu na jakieś trzy metry i pomknął po bieżni. Pobiegłem za nim, aż znalazłem się w wystarczającej odległości, aby rozmawiać.

– Odpowiesz mi?

– Nie – powiedział. Temat był zamknięty.

Gdy wreszcie skończyliśmy rozciąganie i poranne ćwiczenia medytacyjne, Sokrates podszedł do mnie i objął ramieniem.

– Dan, jesteś zdolnym uczniem – powiedział. – Od teraz sam będziesz planował swoje treningi. Wykonuj takie ćwiczenia, jakie uznasz za stosowne. Chciałbym dać ci coś specjalnego, bo zasłużyłeś na to. Będę cię uczył gimnastyki.

Nie mogłem się powstrzymać i wybuchnąłem śmiechem.

Ty będziesz mnie uczył gimnastyki? Myślę, że tym razem przeceniłeś siebie, Sokratesie. – Wziąłem rozpęd, odbiłem się, wykonałem przerzut bokiem z półobrotem, następnie salto do tyłu i zakończyłem wysokim saltem z podwójnym obrotem.

Sokrates podszedł do mnie.

– Wiesz, tego nie zrobię – powiedział.

– Tu cię mam! – wrzasnąłem. – A więc jest w końcu coś, co ja potrafię, a ty nie.

– Zauważyłem jednak – dodał – że powinieneś bardziej wyciągać ręce, gdy wchodzisz w obrót – och, i za bardzo odchylasz głowę do tyłu przy wyskoku.

– Sokratesie, ty draniu... masz rację – powiedziałem, zdając sobie sprawę, że rzeczywiście za bardzo odchylałem głowę i powinienem bardziej wyciągać ramiona.

– Jak już poprawimy nieco twoją technikę, popracujemy nad twoim nastawieniem – dodał wykonując własny obrót w tył. – Do zobaczenia na sali gimnastycznej.

– Ależ Sokratesie, ja już mam trenera. Nie wiem jak Hal i inni gimnastycy zareagują, gdy zaczniesz kręcić się po sali gimnastycznej.

– Och, jestem pewien, że coś wymyślisz. Ja też byłem tego pewien.

Tego popołudnia, podczas spotkania grupy przed treningiem, powiedziałem trenerowi i kolegom, że na parę tygodni przyjechał z Chicago mój ekscentryczny dziadek. Trenował kiedyś gimnastykę w Klubie Tunera i chciałby przyjść mnie zobaczyć.

– Jest miłym, starszym, bardzo żwawym facetem. Lubi uważać się za trenera. Nie wszystkie klepki ma równo poukładane, wiecie, co mam na myśli. Jeżeli nie macie nic przeciwko temu i mielibyście ochotę zabawić go nieco, to jestem pewien, że nie będzie za bardzo przeszkadzał w treningu. – Wszyscy wyrazili zgodę.

– Ach, jeszcze jedno – dodałem. – Lubi jak się go nazywa Marylin. – Ledwie mogłem zachować powagę.

– Marylin? – powtórzyli wszyscy.

– Tak. Wiem, że to trochę dziwaczne, ale zrozumiecie, gdy go poznacie.

– Może jak zobaczymy “Marylina" w akcji, pomoże nam to zrozumieć ciebie, Millman. Podobno to dziedziczne.

Roześmiali się i zaczęliśmy rozgrzewkę. Tym razem Sokrates wkraczał na mój teren i zamierzałem się odegrać. Ciekaw byłem czy spodoba mu się nowe przezwisko.

Na dzisiaj zaplanowałem małą niespodziankę dla całej grupy. Powstrzymywałem się nieco na treningach, więc nikt nie wiedział, że w pełni odzyskałem formę. Przyszedłem na salę wcześnie i wszedłem do biura trenera. Siedział za biurkiem i przeglądał jakieś papiery.

– Hal – powiedziałem. – Chcę być w zespole na zawodach. Spoglądając znad okularów powiedział współczująco:

– Wiesz, jeszcze nie w pełni wyzdrowiałeś. Rozmawiałem z lekarzem i powiedział mi, że twoja noga wymaga jeszcze przynajmniej trzech miesięcy rehabilitacji.

– Hal – odciągnąłem go na stronę. – Mogę to zrobić dzisiaj, teraz! Ćwiczyłem trochę poza salą. Daj mi szansę!

Wahał się.

– Dobra, jedno ćwiczenie po drugim. Zobaczymy jak ci pójdzie.

Rozgrzaliśmy się wspólnie przechodząc od ćwiczenia do ćwiczenia w małej sali gimnastycznej, wykonując wymachy, przewroty, podskoki, wyciskanie w staniu na rękach. Rozpocząłem test prezentując ewolucje, których nie wykonywałem przez ponad rok. Prawdziwe niespodzianki trzymałem na koniec.

Potem nadszedł czas na pierwszy zestaw ćwiczeń – ćwiczenia na parkiecie. Wszyscy czekali, wpatrując się we mnie. Stałem nieruchomo gotowy rozpocząć swój zestaw ćwiczeń, jakby zastanawiając się, czy moja noga wytrzyma obciążenie.

Wszystko zagrało. Podwójne salto w tył, łagodne przejście do stójki na rękach. Utrzymując swobodny rytm przeszedłem do elementów tanecznych i obrotów, które sam ułożyłem, potem wysokie salto i końcowa sekwencja akrobatyczna. Wylądowałem lekko, całkowicie kontrolując swoje ciało. Zacząłem zdawać sobie sprawę z oklasków i gwizdów podziwu. Sid i Josh zdumieni spoglądali na siebie.

– Skąd się wziął ten nowy facet?

– Hej, trzeba go będzie wciągnąć do zespołu.

Następne ćwiczenie. Josh pierwszy zaczął ćwiczenia na kółkach, potem Sid, Chuck i Gary. W końcu przyszła kolej na mnie. Poprawiłem ochraniacze na nadgarstkach, podskoczyłem i chwyciłem kółka. Josh przytrzymał mnie, a potem cofnął się. Moje mięśnie drżały z oczekiwania. Nabrałem powietrza w płuca, podciągnąłem się do zwisu głową w dół, a potem powoli wypchnąłem ciało do podporu rozpiętego.

Słyszałem stłumione głosy podniecenia, gdy łagodnie opadłem w dół, a potem dźwignąłem się ponownie przodem w górę. Powoli przeszedłem do stójki na prostych rękach z wyprostem ciała.

– Niech mnie diabli – powiedział Hal, a były to najmocniejsze słowa jakie kiedykolwiek wyszły z jego ust.

Wychodząc ze stójki, zrobiłem szybki, lekki wielki obrót i zaakcentowałem go zatrzymaniem bez drgnięcia. Zeskakując wykonałem podwójne salto i wylądowałem cofając się jedynie o mały kroczek. To była niezła robota.

Pozostałe ćwiczenia wykonałem w podobnym stylu. Po ukończeniu ostatniego zestawu, gdy ponownie zostałem uhonorowany pełnym uznania pohukiwaniem i okrzykami zaskoczenia, zauważyłem siedzącego cicho w kącie, uśmiechniętego Sokratesa. Musiał widzieć wszystko. Pomachałem mu i skinąłem, żeby podszedł.

– Chłopaki, chciałbym wam przedstawić mojego dziadka – powiedziałem. – To jest Sid, Tom, Herb, Gary, Joel, Josh. Chłopaki to jest...

– Miło nam pana poznać, panie Marylin – powiedzieli chórem. Przez ułamek sekundy Sokrates wyglądał na zdziwionego, a potem powiedział:

– Cześć, miło was poznać. Chciałem zobaczyć z kim zadaje się Dan.

Uśmiechnęli się. Wyglądało na to, że im się spodobał.

– Mam nadzieję, że nie dziwicie się zbytnio, że nazywają mnie Marylin – powiedział obojętnie. – Tak naprawdę mam na imię Merill, ale wolę używać przezwiska. Czy Dan mówił wam, jak nazywaliśmy go w domu? – zachichotał.

– Nie – odparli ochoczo. – Jak?

– No cóż, lepiej nie powiem. Nie chcę go peszyć. Może sam wam powie, jeśli zechce. – Sokrates, ten stary lis, popatrzył na mnie i z namaszczeniem dodał: – Nie musisz się tego wstydzić, Dan.

Chłopaki odchodząc żegnali mnie:

– Cześć Suzette. Do jutra Josephine. Do zobaczenia Geraldine.

– Do diabła, zobacz co narobiłeś, Marylin! – mruknąłem i poszedłem wziąć prysznic.

Przez resztę tygodnia Sokrates nie spuszczał mnie z oczu. Od czasu do czasu zwracał się do innego gimnastyka, dając doskonałe rady, które zawsze okazywały się trafne. Byłem zadziwiony jego wiedzą. Cierpliwy i niezmordowany w stosunku do innych, dla mnie miał mniej czasu. Pewnego razu, po skończeniu moich najlepszych pokazowych ćwiczeń na koniu z łękami, szedłem radośnie zdejmując po drodze taśmę z nadgarstków. Sokrates przywołał mnie i powiedział:

– Pokazówka wyglądała nieźle, ale schrzaniłeś robotę podczas zdejmowania taśmy. Pamiętaj, satori w każdym momencie.

Po ćwiczeniach na wysokim drążku powiedział:

– Dan, musisz jeszcze nauczyć się medytować swoje czyny.

– Co znaczy medytować czyny?

– Medytowanie czegoś to co innego niż robienie tego. Aby coś robić, musi istnieć “robiący" – czyli świadoma swego istnienia osoba, która daną czynność wykonuje. Ale gdy medytujesz czyn, to znaczy, że porzuciłeś już wszystkie myśli, nawet myśl o swoim “ja". Nie ma więc “ciebie" w tym. Zapominając o sobie, stajesz się tym, co robisz, więc twoje czyny są swobodne, spontaniczne, bez ambicji, zahamowań czy lęków.

Tak było cały czas. Sokrates obserwował każdą reakcję na mojej twarzy, słuchał każdego mojego komentarza. Poradził mi, abym nieustannie zwracał uwagę na swój stan mentalny i emocjonalny.

Znajomi usłyszeli, że wróciłem do formy. Susie pojawiła się na treningu i przyprowadziła ze sobą dwie przyjaciółki, Michelle i Linde. Linda natychmiast przyciągnęła mój wzrok. Była szczupłą,

rudowłosą kobietą o ślicznej twarzy. Nosiła okulary w rogowej oprawie. Ubrana była w prostą sukienkę, podkreślającą miłe dla oka kształty. Miałem nadzieję, że zobaczę ją znowu.

Następnego dnia, po bardzo kiepskim treningu, kiedy nic mi nie wychodziło, Sokrates zawołał, żebym usiadł obok niego na materacu.

– Dan – powiedział. – Osiągnąłeś wysoki poziom umiejętności. Jesteś ekspertem.

– Dzięki, Sokratesie.

– Niekoniecznie jest to wielki komplement. – Odwrócił się do mnie i popatrzył mi prosto w oczy. – Ekspert ćwiczy swoje ciało fizyczne, mając na celu wygranie zawodów. Pewnego dnia będziesz mistrzem w gimnastyce. Mistrz poświęca swój trening samemu życiu – dlatego też stale kładzie nacisk na umysł i emocje.

– Rozumiem to, Sokratesie. Mówiłeś mi to już wiele razy...

– Wiem, że to rozumiesz. Mówię ci to dlatego, że jeszcze nie uświadamiasz sobie tego – jeszcze nie żyjesz tym. Wciąż napawasz się paroma nowymi fizycznymi umiejętnościami, a potem wpadasz w depresję, gdy pewnego dnia trening fizyczny ci nie wychodzi. Ale gdy naprawdę uznasz za swój cel swój stan mentalny i emocjonalny – co jest praktyką wojownika – wtedy fizyczne wzloty i upadki nie będą miały znaczenia. Co robisz, gdy danego dnia masz opuchniętą kostkę?

– Wykonuję inne ćwiczenia, pracuję nad czymś innym.

– Tak samo jest z trzema ośrodkami. Jeżeli w jednym z obszarów nie idzie ci dobrze, wciąż masz sposobność trenować pozostałe. Podczas twoich najsłabszych fizycznie dni, możesz najwięcej nauczyć się o swoim własnym umyśle. Nie będę już przychodził na salę – dodał. – Powiedziałem ci wystarczająco dużo. Chcę, żebyś czuł, że jestem w tobie, obserwując, poprawiając każdy błąd, bez względu na to jak drobny.

Następne tygodnie były bardzo intensywne. Wstawałem o szóstej rano, rozciągałem się, medytowałem, a potem szedłem na wykłady. Chodziłem na większość wykładów i odrabiałem zadania domowe łatwo i szybko. Potem, przed treningiem, siadałem i nie robiłem nic przez około pół godziny.

W tym okresie zacząłem spotykać się z Lindą, przyjaciółką Susie. Bardzo mi się podobała, ale nie miałem ani czasu, ani sił na coś więcej niż kilkuminutową rozmowę przed lub po treningu. Mimo to, w przerwach między dziennymi zajęciami myślałem o niej bardzo dużo, potem myślałem o Joy, potem znowu o niej.

Zaufanie, jakim darzyli mnie koledzy z zespołu, i moje zdolności rosły z każdym dniem. Było oczywiste, że to coś więcej niż powrót do formy. Chociaż gimnastyka nie stanowiła już dla mnie centrum życia, nadal była jego ważną częścią, tak więc starałem się jak mogłem.

Linda i ja spotkaliśmy się kilkakrotnie i randki te były bardzo udane. Pewnego wieczoru przyszła do mnie porozmawiać o swoim osobistym problemie i została na noc. Była to intymna noc, jednak w granicach rygorów narzuconych przez mój trening. Zbliżałem się do niej tak szybko, że aż przerażało mnie to. Nie było dla niej miejsca w moich planach. Mimo to coraz bardziej mnie do niej ciągnęło.

Czułem się “niewierny" Joy, ale nigdy nie wiedziałem, kiedy ta tajemnicza młoda kobieta pojawi się znowu, o ile w ogóle się pojawi. Joy była ideałem, pasowała do mnie w każdym szczególe. Linda była rzeczywista, ciepła, kochająca – i była osiągalna.

Wraz z każdym tygodniem, który przybliżał nas do Uniwersyteckich Mistrzostw Kraju, które miały odbyć się w 1968 w Tuscon, w Arizonie, nasz trener robił się coraz bardziej podekscytowany i nerwowy. Jeśli w tym roku wygramy, będzie to pierwsze zwycięstwo naszego Uniwersytetu, a Hal uważał to za cel swojej dwudziestoletniej kariery.

Mistrzostwa w Tuscon były turniejem trzydniowym. Już niebawem na parkiecie zaczęliśmy dominować my i zawodnicy z Uniwersytetu Południowego Illinois. Do ostatniego wieczoru mistrzostw nasz zespół i zespół z Illinois szły łeb w łeb w najbardziej zaciętym turnieju w historii gimnastyki. Zostały jeszcze trzy dyscypliny do rozegrania. Zawodnicy z Illinois wyprzedzali nas o trzy punkty.

To był krytyczny moment. Gdybyśmy byli realistami, powinniśmy pogodzić się z nie najgorszym drugim miejscem. Mogliśmy też spróbować sięgnąć po niemożliwe.

Co do mnie, zamierzałem sięgnąć po niemożliwe – czułem się silny duchem. Stanąłem przed Halem i kolegami z zespołu – moimi przyjaciółmi.

– Wygramy! Mówię wam. Tym razem nic nas nie zatrzyma. Zróbmy to!

Były to zwykłe słowa, ale to, co czułem – moc i ogromna determinacja – spotęgowało siły całej drużyny.

Jak fala przypływu, zaczęliśmy nabierać pędu, mknąc coraz szybciej i z coraz większą siłą. Tłum, który do tej pory był niemal ospały, zaczął się poruszać z podnieceniem, ludzie wychylali się do przodu ze swoich krzeseł. Coś się działo – wszyscy to odczuwali.

Najwyraźniej zawodnicy z Illinois również czuli naszą moc, ponieważ zaczęli drżeć podczas wykonywania stójek i chwiać się podczas lądowania. Ale przed ostatnią konkurencją turnieju wciąż prowadzili jednym punktem, a ćwiczenia na wysokim drążku były ich silną stroną.

W końcu zostało dwóch gimnastyków z Kalifornii – Sid i ja. Tłum zamilkł. Sid podszedł do drążka, podskoczył i wykonał zestaw ćwiczeń tak, że wszystkim zaparło dech w piersiach. Zakończył najwyższym podwójnym saltem, jakie kiedykolwiek widziano na tej sali. Widownia oszalała. Byłem ostatnim zawodnikiem naszej drużyny – ode mnie zależało wszystko.

Ostatni zawodnik Illinois wykonał dobrą robotę. Byli już prawie poza zasięgiem, ale to “prawie" było tym, czego potrzebowałem. Żeby osiągnąć remis musiałem zdobyć notę 9.8 punktu, a nigdy jeszcze nawet nie zbliżyłem się do takiego wyniku.

Oto nadszedł decydujący egzamin. Przez głowę przebiegały mi wspomnienia: owa noc pełna bólu, kiedy strzeliła mi kość udowa, moje przyrzeczenie odzyskania zdrowia, zalecenie lekarza, abym porzucił gimnastykę, Sokrates i mój nieustanny trening, i ten nie kończący się bieg w deszczu po wzgórzach. Poczułem przypływ mocy, falę wściekłości na wszystkich tych, którzy powiedzieli, że już nigdy nie będę ćwiczył. Mój gniew zmienił się w lodowaty spokój. W tym momencie i w tym miejscu moje losy i przyszłość ważyły się. Umysł miałem czysty. Moje emocje przepełnione były mocą. Wykonać lub zginąć.

Podszedłem do wysokiego drążka z zapałem i determincją, których uczyłem się przez wiele miesięcy na małej stacji benzynowej. Na sali panowała absolutna cisza. Chwila ciszy, chwila prawdy.

Powoli nabrałem w dłonie kredy, poprawiłem ochraniacze na dłoniach, sprawdziłem taśmy na nadgarstkach. Wystąpiłem naprzód i skłoniłem się sędziom. Gdy stanąłem twarzą w twarz z głównym sędzią, moje oczy błyszczały jasnym przesłaniem: “Oto zaczyna się najlepsza cholerna kombinacja, jaką kiedykolwiek widziałeś."

Podskoczyłem do drążka i podciągnąłem nogi. Ze stania na rękach zacząłem obroty. Jedynym dźwiękiem na sali był odgłos moich dłoni, obracających się na drążku, zwalniających uchwyt i chwytających drążek po ewolucji powietrznej.

Istniał jedynie ruch, nic więcej. Żadnych oceanów, światów, gwiazd. Jedynie wysoki drążek i jeden “bezmyślny" wykonawca – a wkrótce nawet to rozpłynęło się w jedności ruchu.

Dodałem ewolucję, jakiej nigdy wcześniej na zawodach nie wykonywałem. Trwałem w jedności z ruchem, przekraczając granice własnych możliwości. Obracałem się raz za razem, szybciej, coraz szybciej, szykując się do zeskoku, do wysokiego podwójnego salta.

Wirowałem na drążku przygotowując się do zwolnienia uchwytu i wylecenia w przestrzeń, unosząc się i obracając w rękach losu, który sam dla siebie wybrałem. Wystrzeliłem nogami w górę, wykonałem jeden obrót w powietrzu, potem drugi i wyprostowałem ciało do lądowania. Nadeszła chwila prawdy.

Wykonałem doskonałe lądowanie, którego odgłos rozszedł się echem po sali. Cisza – a potem zerwała się burza oklasków. 9.85 – byliśmy mistrzami!

Pojawił się mój trener, złapał mnie za rękę i potrząsał nią dziko nie chcąc puścić. Koledzy z zespołu otoczyli mnie ściskając, skacząc i wrzeszcząc. Kilku miało łzy w oczach. Wtedy w oddali usłyszałem rosnący aplauz. Podczas ceremonii wręczania nagród z trudem hamowaliśmy wzruszenie. Świętowaliśmy całą noc, omawiając zawody aż do rana.

I to było wszystko. Długo oczekiwany cel został osiągnięty. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że aplauz, wyniki i zwycięstwa nie były już tym samym. Bardzo się zmieniłem. Moje poszukiwanie zwycięstw zakończyło się.

Była wczesna wiosna 1968 roku. Moje studia dobiegały końca. Nie wiedziałem, co mi przyniesie przyszłość.

Czułem odrętwienie, kiedy w Arizonie żegnałem się z kolegami i wsiadałem do odrzutowca, który miał mnie przewieźć do Berkeley, do Sokratesa – i Lindy. Spoglądałem bezmyślnie na chmury w dole. Czułem się pozbawiony ambicji. Przez te wszystkie lata podtrzymywała mnie przy życiu iluzja –

szczęście poprzez zwycięstwa – a teraz ta iluzja prysła. Pomimo wszystkich moich osiągnięć nie byłem ani szczęśliwy, ani bardziej spełniony.

W końcu przejrzałem. Zrozumiałem, że nigdy nie nauczyłem się cieszyć życiem, umiałem jedynie osiągać to czy tamto. Przez całe życie zajęty byłem poszukiwaniem szczęścia, ale nigdy go nie znalazłem, ani nie zdołałem utrzymać.

Gdy samolot zaczął schodzić do lądowania, oparłem głowę na poduszce. W oczach miałem łzy. Znalazłem się w ślepej uliczce. Nie wiedziałem co robić.

6. Niewyobrażalna przyjemność

Z walizką w ręku poszedłem prosto do mieszkania Lindy. Pomiędzy pocałunkami opowiedziałem jej o mistrzostwach, ale nie wspomniałem nic o moich ostatnich przygnębiających “wglądach".

Linda przedstawiła mi decyzję, którą właśnie podjęła, co na chwilę odsunęło moje własne troski.

– Danny, rzucam szkołę. Oczywiście dużo o tym myślałam. Poszukam pracy, ale nie zamierzam wracać do domu i żyć z rodzicami. Co o tym myślisz?

Natychmiast pomyślałem o przyjaciołach, u których mieszkałem po wypadku na motorze.

– Linda, mogę zadzwonić do Charlotty i Lou w Santa Monica. Są cudowni – pamiętasz, opowiadałem ci o nich – założę się, że chętnie się zgodzą, żebyś u nich zamieszkała.

– Och, to byłoby wspaniałe! Mogłabym pomagać im w domu i poszukać jakiejś pracy w sklepie.

Wystarczyła pięciominutowa rozmowa telefoniczna i Linda miała zapewnioną przyszłość. Żałowałem, że w moim przypadku nie jest to takie proste.

Nagle przypomniałem sobie o Sokratesie. Powiedziałem bardzo zdziwionej Lindzie, że muszę gdzieś pójść.

– Po północy?

– Tak, mam... paru niezwykłych przyjaciół, którzy przesiadują do późna w nocy. Naprawdę muszę pójść. – Jeszcze jeden pocałunek i już mnie nie było.

Wkroczyłem na stację wciąż z walizką w ręku.

– Wprowadzasz się? – zażartował Sokrates.

– Nie wiem co robię, Sokratesie.

– Hm, najwyraźniej wiedziałeś co robić podczas Mistrzostw. Czytałem wiadomości w gazecie. Gratulacje. Musisz być bardzo szczęśliwy.

– Bardzo dobrze wiesz co czuję, Sokratesie.

– Z całą pewnością – powiedział beztrosko, wchodząc do garażu z zamiarem “wskrzeszenia" skrzyni biegów starego volkswagena. – Robisz postępy, zgodnie z planem.

– Miło mi to słyszeć – odpowiedziałem bez entuzjazmu. – Ale zgodnie z planem czego?

– Dotarcia do bramy! Do prawdziwej przyjemności, do wolności, do radości, do niewyobrażalnego szczęścia! Do jedynego celu jaki kiedykolwiek miałeś. Na początek czas znowu przebudzić twoje zmysły.

– Znowu? – spytałem, trawiąc to, co powiedział.

– O, tak. Byłeś już kiedyś skąpany w jasności i odnajdywałeś przyjemność w najprostszych rzeczach.

– Nie było to ostatnimi czasy, o ile dobrze pamiętam.

– Nie, nie ostatnio – odpowiedział, biorąc moją głowę w dłonie i wysyłając mnie w okres dzieciństwa.

Raczkuję po wyłożonej płytkami podłodze i szeroko otwartymi oczami uważnie wpatruję się w kształty i kolory pod moimi rękoma. Dotykam dywanika, a on dotyka mnie. Wszystko jest jasne i żywe.

Małą rączką chwytam łyżkę i uderzam nią o kubek. Brzęczący dźwięk raduje moje uszy. Krzyczę z mocą! Potem patrzę w górę i widzę spódnicę falującą nade mną. Jestem unoszony do góry, gaworzę. Moje ciało, skąpane w zapachu matki, odpręża się wtulone w nią. Wypełnia mnie błogość.

Nieco później czuję chłodny powiew wiatru na twarzy. Raczkuję w ogrodzie. Kolorowe kwiaty wznoszą się wokół mnie i otaczają mnie nowe zapachy. Zrywam jeden kwiat i gryzę go. Moje usta wypełnia gorycz. Wypluwam go.

Przychodzi matka. Wyciągam rękę, by pokazać jej kręcące się, czarne coś, co łaskocze mnie w dłoń. Matka zdejmuje to i odrzuca daleko. "Wstrętny pająk!" – mówi. Potem przysuwa do mojej twarzy coś miękkiego. "Róża" – mówi, po czym powtarza ten sam dźwięk: "Róża." Spoglądam w górę na nią, potem wokół siebie i odpływam w świat pachnących kolorów.

Patrzę na żółty dywanik leżący przed biurkiem Sokratesa. Potrząsam głową. Wszystko wydaje się być przymglone, nie ma tu jasności.

– Sokratesie, czuję się na wpół uśpiony, jakbym potrzebował zimnego prysznica na przebudzenie. Pewien jesteś, że ta ostatnia podróż nie wyrządziła mi żadnej krzywdy?

– Nie, Dan. Krzywda została ci wyrządzona w ciągu wielu lat, w sposób jaki wkrótce poznasz.

– To miejsce – to był chyba ogród mojego dziadka. Pamiętam go – był jak rajski ogród.

– Właśnie, Dan. To był rajski ogród. Każde dziecko żyje w jasnym ogrodzie, gdzie wszystko odczuwa bezpośrednio, bez zakłócających myśli.

– "Wygnanie z raju" przydarza się każdemu z nas, gdy zaczynamy myśleć, gdy nazywamy rzeczy i zaczynamy wiedzieć. Spotkało to nie tylko Adama i Ewę, widzisz, dotyczy to nas wszystkich. Narodziny umysłu to śmierć zmysłów – to nie ogranicza się do zjedzenia jabłka i odczucia lekkiego pociągu seksualnego!

– Chciałbym móc tam wrócić – westchnąłem. – Było tam tak jasno, tak przejrzyście, tak radośnie.

– To, czym cieszyłeś się jako dziecko, może być znowu twoje. Jezus z Nazaretu, jeden z Wielkich Wojowników, pewnego razu powiedział, że aby wejść do Królestwa Niebieskiego, trzeba być jak małe dziecko. Teraz to rozumiesz.

– Czy miałbyś jeszcze ochotę na herbatę przed wyjściem, Dan – zapytał Sokrates napełniając swój kubek wodą.

– Nie, dziękuję. Mój bak jest pełen.

– Dobrze, w takim razie spotkajmy się jutro o ósmej rano w Ogrodzie Botanicznym. Czas na wycieczkę na łono natury.

Wyszedłem, oczekując niecierpliwie tej wyprawy. Obudziłem się po paru godzinach snu, odświeżony i podekscytowany. Może dziś, a może jutro odkryję tajemnicę radości.

Pobiegłem truchtem do Strawberry Canyon i czekałem na Sokratesa przy wejściu do Ogrodu. Gdy tylko przybył, poszliśmy na spacer wśród zielonych drzew, krzewów, roślin i kwiatów wszelkiego rodzaju.

Weszliśmy do olbrzymiej szklarni. Powietrze było tam ciepłe i wilgotne. Kontrastowało z porannym chłodem panującym na zewnątrz. Sokrates wskazał tropikalne listowie ponad nami.

– Jako dziecko wszystko to odbierałbyś wzrokiem, słuchem i dotykiem, jakby po raz pierwszy. Ale teraz znasz już nazwy i kategorie wszystkiego. "To jest dobre, to jest złe, to jest stół, to krzesło, to samochód, dom, kwiat, pies, kot, kurczak, mężczyzna, kobieta, zachód słońca, ocean, gwiazda." Nudzą cię rzeczy, ponieważ istnieją one dla ciebie jedynie jako nazwy. Suche pojęcia umysłu przesłaniają twoje widzenie świata.

Sokrates zatoczył ręką półkole, jakby przygarniając do siebie palmy wznoszące się wysoko ponad naszymi głowami, prawie dotykające pleksiglasowego sklepienia palmiarni.

– Teraz wszystko widzisz poprzez zasłonę wspomnień o rzeczach, rzutowanych na czystą świadomość. Masz wrażenie, że "widziałeś już to wszystko wcześniej". To tak jakbyś oglądał film po raz dwudziesty. Widzisz jedynie wspomnienia rzeczy, a więc nudzą cię one. Nuda jest, jak widzisz, podstawową przyczyną nieświadomości w życiu. Nuda jest świadomością w niewoli umysłu. Będziesz musiał porzucić umysł, zanim dotrzesz do swoich zmysłów.

Gdy następnego wieczoru wszedłem do kantoru, Sokrates już nastawiał wodę na herbatę. Uważnie zdjąłem buty i postawiłem je na macie przy sofie.

– Co byś powiedział na małe zawody? – zapytał Sokrates, wciąż odwrócony do mnie tyłem. – Ty dokonasz jakiegoś wyczynu, potem ja dokonam jakiegoś, i zobaczymy, kto wygra.

– W porządku, jeśli naprawdę tego chcesz. – Nie chciałem go peszyć, wykonałem więc jedynie na biurku stójkę na jednej ręce utrzymując się w tej pozyq'i przez parę sekund, potem stanąłem na nim i wykonałem salto w tył lądując lekko na dywanie.

Sokrates potrząsnął głową, najwyraźniej z niedowierzaniem.

– Myślałem, że to będzie wyrównana walka, ale widzę, że nic z tego.

– Przepraszam, Sokratesie, ale w końcu nie robisz się coraz młodszy, a ja jestem bardzo dobry w tej dziedzinie.

– Miałem na myśli – uśmiechnął się – że nie masz żadnych szans.

– Co?!

– Patrz uważnie – powiedział.

Obserwowałem go, gdy powoli odwrócił się i niespiesznie wszedł do łazienki. Przesunąłem się w kierunku drzwi wejścio' wych na wypadek, gdyby znowu wybiegł z mieczem. Ale on tylko wyszedł trzymając swój kubek. Napełnił go wodą, uśmiechnął się do mnie, uniósł go w górę, jakby wznosił toast, i wypił powoli.

– No i co? – zapytałem.

– To wszystko.

– Co wszystko? Jeszcze niczego nie zrobiłeś.

– Ależ zrobiłem. Po prostu nie potrafisz docenić mojego wyczynu. Odczuwałem lekką toksyczność w nerkach – za parę dni mogłoby to wpłynąć negatywnie na całe ciało. Więc przed pojawieniem się objawów zlokalizowałem problem i przepłukałem nerki.

Nie mogłem powstrzymać śmiechu.

– Sokratesie, jesteś największym łgarzem jakiego spotkałem. Przyznaj się do porażki – widzę, że blefujesz.

– Mówię zupełnie poważnie. To, co ci właśnie opisałem, naprawdę miało miejsce. Wymaga to wyczulenia na energie wewnętrzne i świadomego kontrolowania pewnych subtelnych mechanizmów. Natomiast ty – powiedział, dolewając oliwy do ognia – jesteś w niewielkim stopniu świadomy tego, co się dzieje w twoim własnym ciele. Podobnie jak początkujący gimnastyk ćwiczący stójkę na rękach na równoważni, nie jesteś jeszcze wystarczająco wyczulony, żeby dostrzec, kiedy tracisz równowagę, i wciąż “podupadasz" na zdrowiu.

– Rzeczy tak się mają, Sokratesie, że rozwinąłem w sobie bardzo dobre poczucie równowagi w gimnastyce. Widzisz, należy wykonać parę zaawansowanych...

– Nonsens. Rozwinąłeś świadomość zaledwie powierzchownie, wystarczająco, aby wykonywać podstawowe ruchy, ale nie masz się czym chwalić.

– Odbierasz cały urok potrójnemu saltu, Sokratesie.

– Nie ma w nim żadnego uroku. Jest to akrobacja, która wymaga pewnych zwyczajnych zdolności. Kiedy poczujesz przepływ energii w ciele i dostroisz się do nich – wtedy będziesz miał prawdziwy “urok". Tak więc ćwicz, Dan. Każdego dnia oczyszczaj po trochu swoje zmysły – “rozciągaj" je, tak jak na sali. W końcu twoja świadomość wniknie głęboko w twoje ciało i w świat. Wtedy będziesz mniej myślał o życiu, a bardziej będziesz je czuł. Wtedy będziesz cieszył się najprostszymi rzeczami – nie będziesz już uzależniony od osiągnięć ani od drogich rozrywek. Następnym razem – zaśmiał się – być może będziemy mogli zmierzyć się naprawdę.

Podgrzałem ponownie wodę. Siedzieliśmy przez chwilę w ciszy, potem poszliśmy do garażu, gdzie pomogłem Sokratesowi wyciągnać silnik z volkswagena i rozebrać kolejną uszkodzoną skrzynię biegów.

Wyszliśmy na zewnątrz obsłużyć wielką, czarną limuzynę. Po powrocie do kantoru zapytałem Sokratesa, czy sądzi, że bogaci ludzie są szczęśliwsi niż “biedacy tacy jak my".

Jego odpowiedź, jak zwykle, zaszokowała mnie.

– Nie jestem biedny, Dan, jestem niezmiernie bogaty. Właściwie, aby być szczęśliwym, trzeba być bogatym. – Uśmiechnął się widząc wyraz osłupienia na mojej twarzy, wziął z biurka długopis i napisał na czystej kartce papieru:

Zaspokojenie Szczęście = ——— Pragnienia @@@

– Jeśli masz wystarczającą ilość pieniędzy, aby zaspokoić swoje pragnienia, Dan, wtedy jesteś bogaty. Ale są dwa sposoby, by być bogatym: Możesz zarobić, odziedziczyć, pożyczyć, wyżebrać lub ukraść tyle pieniędzy, aby zaspokoić kosztowne pragnienia. Albo możesz prowadzić proste życie i mieć niewielkie pragnienia – w ten sposób będziesz miał aż nadto pieniędzy. Tylko wojownik posiada wgląd i dyscyplinę, aby wykorzystać ten drugi sposób. Pełna uwaga w każdym momencie jest moim pragnieniem i przyjemnością. Uwaga nic nie kosztuje – jedyną inwestycją jest trening. To kolejna korzyść z bycia wojownikiem, Dan – to jest tańsze! Widzisz, tajemnica szczęścia nie polega na szukaniu czegoś więcej, ale na rozwinięciu zdolności cieszenia się czymś mniejszym.

Czułem się wspaniale, ulegając czarowi, który rozsiewał. Nie potrzeba było żadnych komplikacji, żadnych usilnych poszukiwań, żadnych desperackich przedsięwzięć. Sokrates pokazał mi ukrytą we mnie skarbnicę.

Musiał zauważyć, że się rozmarzyłem. Nagle złapał mnie pod pachami, podniósł i wyrzucił w powietrze tak wysoko, że prawie uderzyłem głową w sufit! Gdy spadałem, złapał mnie i postawił na nogi.

– Chciałem się tylko upewnić, że wysłuchasz z pełną uwagą następnej części wykładu. Która to godzina?

Wstrząśnięty tym krótkim lotem, odpowiedziałem:

– Mmm, na zegarze garażowym jest dokładnie trzydzieści pięć po drugiej.

– Źle! Czas zawsze był, jest i zawsze będzie teraz! Teraz jest czasem. Jasne?

– Hm, no tak, jasne.

– Gdzie jesteśmy?

– Jesteśmy w kantorze, na stacji benzynowej – czyż nie graliśmy już w to dawno temu?

– Tak, graliśmy, i nauczyłeś się, że jedyną rzeczą, którą wiesz z całą pewnością jest to, że jesteś tutaj, gdziekolwiek by to nie było. Od tej chwili zaś, kiedykolwiek twoja uwaga zacznie odpływać do innych czasów i miejsc, chcę żebyś natychmiast “wskoczył" z powrotem. Pamiętaj, czas jest: teraz, a miejsce jest: tutaj.

Właśnie w tym momencie kolega ze studiów wpadł do kantoru ciągnąc ze sobą drugiego chłopaka.

– Nie do wiary! – powiedział do swojego przyjaciela, wskazując na Sokratesa. Potem zwrócił się do tego ostatniego: – Przechodziłem ulicą, spojrzałem tutaj i zobaczyłem, że podrzuciłeś tego faceta do sufitu. Kim ty jesteś?

Wyglądało na to, że Sokrates został zdemaskowany. Popatrzył na studenta obojętnie i roześmiał się.

– Och – zaśmiał się znowu. – Och, to dobre! Tylko ćwiczyliśmy dla zabicia czasu. Dan jest gimnastykiem – nieprawdaż, Dan?

Skinąłem głową. Przyjaciel studenta powiedział, że mnie pamięta – oglądał parę turniejów gimnastycznych. Historyjka Sokratesa stawała się wiarygodna.

– Tam za biurkiem mamy mały batut. – Sokrates wszedł za biurko i ku mojemu całkowitemu zdumieniu “zademonstrował" skoki na nie istniejącym mini-batucie tak dobrze, że zacząłem wierzyć, że jest on za biurkiem. Skakał wyżej i wyżej, aż prawie dosięgał sufitu. Wtedy “odbił się" słabiej, podskakiwał jeszcze parę razy, aż w końcu zatrzymał się i ukłonił. Nagrodziłem go oklaskami.

Chłopcy zmieszani, ale zadowoleni, odeszli. Pobiegłem za biurko. Oczywiście batutu tam nie było. Zaśmiałem się histerycznie.

– Sokratesie, jesteś niesamowity!

– Wiem – powiedział bez cienia fałszywej skromności.

Na niebie zaczęły pojawiać się pierwsze oznaki świtu. Zaczęliśmy zbierać się do wyjścia. Gdy zapinałem kurtkę, czułem jakby był to dla mnie symboliczny świt.

W drodze do domu myślałem o zmianach, które się ukazywały, nie tyle na zewnątrz, co wewnątrz mnie. Czułem, że znowu wiem dokąd prowadzi moja ścieżka i jakie są moje priorytety. Tak jak Sokrates żądał dawno temu, w końcu uwolniłem się od oczekiwania, że świat może mnie zaspokoić – wraz z tym zniknęły moje rozczarowania. Oczywiście nadal będę robił to, co niezbędne, by żyć w codziennym świecie, ale tym razem na moich warunkach. Zaczynałem czuć się wolny.

Moja relaq'a z Sokratesem również się zmieniła. Przede wszystkim miałem mniej złudzeń, których musiałem bronić. Jeśli nazywał mnie osłem, to tylko śmiałem się, bo wiedziałem, że przynajmniej w jego kategoriach jestem osłem. I rzadko już udawało mu się przerazić mnie.

Pewnego razu, gdy idąc do domu mijałem Szpital Herricka, czyjaś dłoń złapała mnie za ramię. Wyślizgnąłem się instynktownie, jak kot, który nie chce być głaskany. Odwróciłem się i zobaczyłem uśmiechniętego Sokratesa.

– Nie jesteś już takim nerwowym facetem, co?

– Co tu robisz, Sokratesie?

– Idę na spacer.

– Chętnie przejdę się z tobą.

Parę przecznic szliśmy w ciszy, a potem Sokrates zapytał:

– Która godzina?

– Och, jest około... – wtedy zorientowałem się – ...około teraz.

– A gdzie jesteśmy?

– Tutaj.

Nie mówił nic więcej, a ja miałem ochotę na rozmowę, więc opowiedziałem mu o moim nowym uczuciu wolności i o planach na przyszłość.

– Która godzina – zapytał.

– Jest teraz – westchnąłem. – Nie musisz wciąż...

– A gdzie jesteśmy? – zapytał niewinnie.

– Tutaj, ale...

– Słuchaj – przerwał mi. – Pozostań w teraźniejszości. Nie możesz zmienić przeszłości, a przyszłość nigdy nie będzie taka, jaką ją zaplanujesz czy na jaką będziesz miał nadzieję. Nigdy nie było wojowników przeszłości ani nie będzie wojowików przyszłości. Wojownik jest tutaj, teraz. Twój smutek, lęk i gniew, żal i poczucie winy, twoja zazdrość, plany i pragnienia żyją tylko w przeszłości lub w przyszłości.

– Poczekaj, Sokratesie. Dobrze pamiętam, że nieraz byłem wściekły w teraźniejszości.

– Niezupełnie – powiedział. – Masz na myśli, że zachowywałeś się wściekle w danym momencie teraźniejszości. To naturalne – działanie jest zawsze w teraźniejszości, ponieważ jest to ekspresja ciała, które może istnieć tylko w teraźniejszości. Ale umysł jest jak widmo i faktycznie nigdy nie istnieje w teraźniejszości. Zyskuje nad tobą władzę tylko wtedy, gdy zdoła odciągnąć twoją uwagę od teraźniejszości.

Pochyliłem się, aby zawiązać but i poczułem, że coś dotyka moich skroni.

Skończyłem zawiązywać but, podniosłem się i odkryłem, że stoję sam jeden na zakurzonym, starym strychu bez okien. W przyćmionym świetle dostrzegłem w kącie pomieszczenia parę starych kufrów, wyglądających jak trumny.

Nagle opanowało mnie przerażenie, zwłaszcza gdy uświadomiłem sobie, że w nieruchomym powietrzu w ogóle nic nie słychać, jakby wszystkie dźwięki tłumiło stęchłe, martwe powietrze. Zrobiłem próbny krok i zauważyłem, że stoję wewnątrz pentagramu, pięcioramiennej gwiazdy koloru brązowawoczerwonego namalowanej na podłodze. Przyjrzałem jej się uważniej. Kolor pochodził od zakrzepłej – lub wysychającej – krwi.

Za plecami usłyszałem gardłowy śmiech, tak obrzydliwy, tak przerażający, że aż musiałem przełknąć narastający metaliczny smak w ustach. Odruchowo odwróciłem się i stanąłem twarzą w twarz z trędowatą, koszmarną bestią. Dyszała mi prosto w twarz, a przyprawiający o mdłości słodkawy fetor rozkładającego się trupa uderzył we mnie z całą siłą.

Jej groteskowe policzki ściągnęły się, odsłaniając czarne zęby.

– Choodź do mmnnie – powiedział potwór.

Coś mi nakazywało usłuchać, ale mój instynkt powstrzymał mnie. Pozostałem na miejscu.

– Moje dzieci, bierzcie go! – ryknął wściekle potwór. Trumny stojące w kącie zaczęły się powoli poruszać w moim kierunku i otworzyły się. Wyszły z nich i zaczęły miarowo zbliżać się do mnie ohydne, rozkładające się trupy. Miotałem się dziko wewnątrz pentagramu, szukając możliwości ucieczki, kiedy za mną otworzyły się drzwi na strych. Do środka wbiegła młoda dziewczyna w wieku około dziewiętnastu lat i upadła tuż przed pentagramem. Drzwi pozostały uchylone, a przez otwór wpadał snop światła.

Dziewczyna była piękna, cała w bieli. Jęczała, jakby była zraniona.

– Pomóż mi, proszę, pomóż mi – wołała słabym głosem.

Jej pełne łez oczy błagały o pomoc. Była w nich obietnica wdzięczności, nagrody i niezaspokojone pragnienie.

Spojrzałem na zbliżające się postacie. Spojrzałem na dziewczynę, a potem na drzwi.

Wtedy Odczucie powiedziało mi: “Pozostań tam, gdzie jesteś. Pentagram to teraźniejszość. Tu jesteś bezpieczny. Demon i jego pomocnicy to przeszłość. Drzwi to przyszłość. Strzeż się."

Właśnie wtedy dziewczyna ponownie jęknęła i przewróciła się na plecy. Sukienka uniosła się i odkryła nogę, prawie po pas. Wyciągnęła do mnie ręce błagając, kusząc: “Pomóż mi..."

Oszalały z pragnienia wyskoczyłem z pentagramu.

Kobieta warknęła na mnie, ukazując .krwistoczerwone kły. Demon i jego świta zaskowytali triumfalnie i skoczyli w moją stronę. Dałem nura z powrotem do pentagramu.

Siedziałem skulony na chodniku, drżąc na całym ciele. Spojrzałem na Sokratesa.

– Skoro już odpocząłeś, to chodźmy dalej – powiedział do mnie w momencie, gdy kilku porannych biegaczy przemknęło obok nas z rozbawieniem na twarzach.

– Czy musisz mnie tak śmiertelnie przerażać za każdym razem, gdy chcesz trafić mi do przekonania? – krzyknąłem.

– Tak – odparł – gdy jest to bardzo ważna sprawa.

– Masz może numer telefonu tej dziewczyny? – nieśmiało zapytałem po chwili.

Sokrates klepnął się w czoło i wzniósł oczy ku niebu.

– Przypuszczam, że pojąłeś istotę tego małego melodramatu?

– Podsumowując – odparłem – pozostań w teraźniejszości, to jest bezpieczniejsze. I nie wychodź z pentagramu dla nikogo z kłami.

– Zgadza się – uśmiechnął się. – Nie pozwól, aby nikt ani nic, a zwłaszcza twoje własne myśli odciągały cię od teraźniejszości. Zapewne słyszałeś opowieść o dwóch mnichach:

Dwaj mnisi, jeden stary a drugi bardzo młody, wracali błotnistą ścieżką w lesie do swego klasztoru w Japonii. Podeszli do ślicznej kobiety, która stała bezradnie na brzegu mulistego, szybko płynącego strumienia.

Widząc, że jest w potrzebie, starszy mnich wziął ją na ręce i przeniósł przez wodę. Ona uśmiechała się do niego, oplatając ramionami jego szyję, aż on delikatnie postawił ją na drugim brzegu. Kobieta podziękowała, skłoniła się, a mnisi w ciszy podążyli w dalszą drogę.

Kiedy zbliżali się do bram klasztoru, młody mnich nie mógł już dłużej wytrzymać.

– Jak mogłeś brać w ramiona piękną kobietę? Takie zachowanie nie przystoi mnichowi.

Stary mnich popatrzył na towarzysza podróży i odparł:

– Ja zostawiłem ją na brzegu. A ty nadal ją niesiesz?

– Wygląda mi to na jeszcze więcej pracy – westchnąłem. – A już myślałem, że gdzieś dotarłem.

– Twoją zadaniem nie jest “dotrzeć gdzieś", ale być tutaj. Dan, wciąż jeszcze rzadko żyjesz w pełni w teraźniejszości. Skupiasz swój umysł na “tu i teraz" tylko wtedy gdy wykonujesz salta lub gdy ja cię

zadręczam. Musisz się przyłożyć, jeżeli chcesz mieć choć szansę na znalezienie bramy. Brama jest tu, przed tobą – otwórz oczy, teraz!

– Ale jak?

– Po prostu utrzymuj uwagę na chwili obecnej, Dan, a uwolnisz się od myśli. Gdy myśli stykają się z teraźniejszością – rozpuszczają się. – Zaczął przygotowywać się do wyjścia.

– Zaczekaj Sokratesie. Zanim pójdziesz, powiedz mi – czy byłeś tym starszym mnichem z opowieści – tym, który niósł dziewczynę? Brzmi to jak coś, co ty byś zrobił.

– A ty nadal ją niesiesz? – Roześmiał się. Odszedł lekko i zniknął za rogiem.

Pobiegłem truchtem do domu, wziąłem prysznic i głęboko zasnąłem.

Gdy się przebudziłem, poszedłem na spacer, kontynuując medytację, tak jak to zalecił Sokrates, coraz bardziej skupiając uwagę na chwili obecnej. Budziłem się na świat i, niczym dziecko, odkrywałem na nowo własne zmysły. Niebo wydawało się jaśniejsze, nawet w mgliste majowe dni.

Nie mówiłem nic Sokratesowi o Lindzie, być może z tego samego powodu, z jakiego nie powiedziałem jej nic o moim nauczycielu. Były to zupełnie różne części mojego życia. Czułem, że Sokrates był bardziej zainteresowany moim wewnętrznym treningiem niż moimi powszednimi relacjami.

Nigdy nie miałem wiadomości od Joy, o ile osobiście nie wyrastała niespodziewanie spod ziemi lub nie pojawiała się w moim śnie. Linda pisała do mnie prawie codziennie, a czasem dzwoniła, ponieważ pracowała w centrali telefonicznej.

Wykłady mijały bez problemów, tygodnie płynęły spokojnie. Jednak moją prawdziwą szkołą był Strawberry Canyon, gdzie biegałem jak wicher i traciłem poczucie czasu, ścigając się z królikami. Czasami zatrzymywałem się, aby pomedytować pod drzewami lub po prostu poczuć woń świeżej bryzy wiejącej znad roziskrzonej zatoki. Siadałem na pół godziny, obserwując połyskiwanie wody lub chmury płynące po niebie.

Czułem się zwolniony z konieczności osiągnięcia wszystkich “ważnych celów" z mojej przeszłości. Pozostał tylko jeden cel: brama. Ale czasami nawet o tym zapominałem, gdy w ekstazie ćwiczyłem na sali gimnastycznej, wzbijając się wysoko w powietrze, obracając i wirując, szybując leniwie, potem przechodząc do podwójnego salta i ponownie wzlatując ku niebu.

Korespondowałem z Lindą, a nasze listy wypełnione były poezją. Lecz obraz uśmiechającej się przekornie Joy pojawiał się przed moimi oczami i nie byłem już pewien czego lub kogo tak naprawdę chcę.

Zanim się spostrzegłem, mój ostatni rok na uniwersytecie dobiegł końca. Egzaminy końcowe były jedynie formalnością. Gdy wpisywałem odpowiedzi w znajome niebieskie księgi, rozkoszowałem się widokiem gładkiego, niebieskiego atramentu wypływającego ze stalówki pióra, wiedziałem, że moje życie się zmieniło. Nawet linie na kartce robiły wrażenie dzieła sztuki. Pomysły po prostu same wypływały z mojej głowy, nie powstrzymywane przez napięcie czy troski. Kiedy skończyłem pisać, zdałem sobie sprawę, że edukację uniwersytecką mam już za sobą.

Przyniosłem na stację świeży sok jabłkowy, aby uczcić tę okazję z Sokratesem. Gdy siedzieliśmy i popijaliśmy go, moje myśli wymknęły się spod kontroli i popłynęły w przyszłość.

– Gdzie jesteś? – zapytał Sokrates. – Która godzina?

– Tutaj, Sokratesie, teraz. Ale obecnie muszę się zastanowić, co robić dalej. Dasz mi jakąś radę?

– Moja rada jest taka: rób to, na co masz ochotę.

– To nie jest zbyt pomocne. Chciałbyś może coś dodać?

– Dobra, rób to, co musisz zrobić.

– Ale co?

– Nie ma znaczenia, co robisz, tylko jak dobrze to robisz. A nawiasem mówiąc – dodał – Joy będzie tu w ten weekend.

– Cudownie! Może pojechalibyśmy na piknik w sobotę? Na przykład o dziesiątej rano?

– Dobrze, spotkajmy się tutaj.

Pożegnałem go i wyszedłem w chłodną, czerwcową noc, pod skrzące się na niebie gwiazdy. Było około wpół do drugiej. Doszedłem do rogu ulicy. Coś sprawiło, że odwróciłem się i spojrzałem na dach stacji. Stał tam. Była to ta sama scena, jaką widziałem wiele miesięcy temu. Stał tam nieruchomo i wpatrywał się w niebo, a wokół jego ciała jarzyła się łagodna poświata. Chociaż był dwadzieścia metrów ode mnie i mówił cicho, słyszałem go jakby był tuż obok mnie.

– Dan, podejdź tutaj.

Podszedłem szybko do budynku stacji, w samą porę, żeby natknąć się na Sokratesa wyłaniającego się z cienia.

– Jest jeszcze coś, co powinieneś zobaczyć, zanim stąd dziś odejdziesz.

Wyciągnął palce wskazujące w stronę moich oczu i dotknął mnie tuż ponad brwiami. Potem po prostu zrobił krok w tył i skoczył prosto w górę, lądując na dachu. Stałem zafascynowany, nie wierząc własnym oczom. Sokrates zeskoczył lądując prawie bezgłośnie.

– Tajemnicą są – uśmiechnął się szeroko – bardzo silne kostki. Przetarłem oczy.

– Sokratesie, czy to zdarzyło się naprawdę? To znaczy, widziałem to – ale najpierw dotknąłeś moich oczu.

– Nie istnieją precyzyjnie określone granice rzeczywistości, Dan. Ziemia nie jest ciałem stałym. Jest zbudowana z cząsteczek i atomów, drobniutkich wszechświatów wypełnionych przestrzenią. Jest to świat światła i magii. Zobaczysz to, jeśli tylko otworzysz oczy.

Pożegnaliśmy się.

W końcu nadeszła sobota. Wszedłem do biura, a Sokrates wstał z krzesła. Potem poczułem miękkie ramię oplatające mnie w pasie i ujrzałem cień Joy tuż przy moim cieniu.

– Tak się cieszę, że znowu cię widzę – powiedziałem ściskając ją.

Uśmiechnęła się promiennie.

– Och – pisnęła. – Robisz się silny. Przygotowujesz się do Olimpiady?

– Prawdę powiedziawszy – odparłem poważnie – postanowiłem wycofać się. Zaszedłem w gimnastyce tak daleko jak tylko można. Czas robić coś nowego.

Skinęła głową bez komentarza.

– Wobec tego, chodźmy – powiedział Sokrates, zabierając ze sobą arbuza, którego przyniósł. Ja miałem w plecaku kanapki.

Pojechaliśmy na wzgórza. Dzień był przepiękny. Po posiłku Sokrates postanowił pozostawić nas samych i “wejść na drzewo". Po jakimś czasie zszedł i przysłuchiwał się naszym pomysłom.

– Pewnego dnia napiszę książkę o moim życiu z Sokratesem, Joy.

– Być może zrobią z tego film – powiedziała Joy. Sokrates słuchał, stojąc pod drzewem.

– I wyprodukują podkoszulki wojownika... – zapaliłem się.

– I mydło wojownika – wykrzyknęła Joy.

– I naklejki.

– I gumę do żucia!

Sokrates miał dość. Potrząsając głową wspiął się z powrotem na drzewo. Śmialiśmy się, tarzając w trawie.

– Hej, a może zrobilibyśmy mały wyścig do Karuzeli i z powrotem – spytałem z wyćwiczoną obojętnością.

– Dan, napraszasz się o karę – chełpiła się Joy. – Mój ojciec był gepardem, moja matka antylopą. Moja siostra jest wiatrem, a...

– No jasne, a twoi bracia to Porsche i Ferrari. Roześmiała się i ubrała buty.

– Kto przegra, sprząta śmieci – powiedziałem.

– Co minutę rodzi się naiwniak – odparła Joy, doskonale naśladując W. C. Fielda, i bez żadnego ostrzeżenia wystartowała.

– A twój wujek to pewnie Piotruś Królik! – wrzasnąłem za nią zakładając buty. – Będę za parę minut – zawołałem do Sokratesa – i pomknąłem za Joy, która była już daleko z przodu, biegnąc do odległej o jakieś dwa kilometry Karuzeli.

Była szybka, ale ja byłem szybszy. Wiedziałem o tym. Trening dał mi wytrzymałość większą niż kiedykolwiek mogłem sobie to wyobrazić.

Joy spojrzała przez ramię biegnąc płynnie. Była zaskoczona – może należałoby powiedzieć zaszokowana? – widząc, że biegnę tuż za nią, oddychając lekko.

Przyśpieszyła i ponownie spojrzała do tyłu. Byłem na tyle blisko, że widziałem kropelki potu spływające po jej gładkim karku.

– Jak to zrobiłeś? Podrzucił cię orzeł? – wydyszała, gdy ją mijałem.

– Tak – uśmiechnąłem się do niej. – To jeden z moich kuzynów. – Posłałem jej pocałunek i pomknąłem do przodu.

Obiegłem już Karuzelę i byłem w połowie drogi do miejsca naszego pikniku, kiedy ujrzałem, że Joy została dobrych sto metrów z tyłu. Wyglądało na to, że biegnie z trudem i męczy się. Zrobiło mi się jej żal. Zatrzymałem się, usiadłem i zerwałem kwiat gorczycy polnej rosnącej przy ścieżce. Kiedy zbliżyła się, zwolniła trochę.

– Piękny dzień, prawda? – powiedziałem wąchając kwiatek.

– Wiesz, przypomina mi to bajkę o żółwiu i zającu – odparła, po czym przyśpieszyła i pobiegła z niesamowitą szybkością.

Zaskoczony poderwałem się i pogoniłem za nią. Stopniowo, ale pewnie, doganiałem ją. Byliśmy już na skraju łąki, a ona ciągle prowadziła o spory dystans. Doganiałem ją coraz bardziej, aż byłem tak blisko, że słyszałem jej oddech. Kark w kark, ramię w ramię ścigaliśmy się przez ostatnie dwadzieścia metrów. Wtedy ona wyciągnęła rękę i złapała moją. Zwolniliśmy, śmiejąc się, i upadliśmy prosto na pokrojonego arbuza, którego przygotował Sokrates, rozpryskując pestki na wszystkie strony.

Sokrates, który zszedł już z drzewa, klaskał, gdy poślizgnąłem się i wylądowałem twarzą w kawałkach arbuza, rozmazując go sobie na policzkach.

Joy popatrzyła na mnie i uśmiechnęła jak aktorka: – Kochany, nie musisz się tak czerwienić. W końcu, prawie udało ci się wygrać.

Moja twarz była mokra. Wytarłem ją i zlizałem sok z arbuza z palców.

– Drogie dziecko – odparłem – nawet dureń zauważyłby, że to ja wygrałem.

– jest tu tylko jeden dureń – narzekał Sokrates – i on właśnie rozwalił arbuza.

Roześmialiśmy się, a ja popatrzyłem na Joy oczami błyszczącymi miłością. Ale gdy zobaczyłem jak ona patrzy na mnie, przestałem się śmiać. Wzięła mnie za rękę i poprowadziła na skraj łąki, skąd rozciągał się widok na zielone wzgórza Tilden Park.

– Danny, muszę ci coś powiedzieć. Jesteś dla mnie kimś bardzo ważnym. Alę z tego co mówi Sokrates – odwróciła się i spojrzała na niego, powoli potrząsającego głową na boki – twoja ścieżka wydaje się być nie dość szeroka dla nas obojga. Przynajmniej tak to wygląda. A ja jestem jeszcze bardzo młoda, Dan – i również mam wiele rzeczy do zrobienia.

Zadrżałem.

– Ale Joy, wiesz że chcę, żebyś została ze mną na zawsze. Chcę mieć z tobą dzieci i ogrzewać cię w nocy. Nasze życie razem mogłoby być takie piękne.

– Danny – powiedziała. – Jest jeszcze coś, co powinnam była powiedzieć ci wcześniej. Wiem, że wyglądam i zachowuję się na, hmm, tyle lat na ile mnie oceniasz. Ale ja mam tylko piętnaście lat.

Gapiłem się na nią z otwartymi ustami.

– To znaczy, że przez tyle miesięcy miałem mnóstwo nielegalnych fantazji.

Wszyscy troje roześmieliśmy się, ale mój śmiech był pusty. Jakaś część mojego życia rozpadła się na kawałki.

– Joy, poczekam na ciebie. Wciąż mamy szansę.

– Och, Danny, zawsze jest szansa – na wszystko. Ale Sokrates powiedział mi, że najlepiej będzie, jeśli zapomnisz.

Gdy patrzyłem w błyszczące oczy Joy, Sokrates podszedł cicho do mnie od tyłu. Wyciągnąłem do niej rękę w chwili, gdy on dotknął mnie lekko u podstawy czaszki. Światło zgasło i w jednej chwili zapomniałem, że kiedykolwiek znałem dziewczynę o imieniu Joy.

Księga Trzecia
SZCZĘŚCIE BEZ POWODU

7. Ostateczne poszukiwanie

Gdy otworzyłem oczy, leżałem na plecach patrząc w niebo. Musiałem się zdrzemnąć.

– Powinniśmy częściej urządzać sobie piknik we dwójkę, nie sądzisz? – zapytałem przeciągając się.

– Tak – pokiwał głową powoli. – Tylko my dwaj.

Pozbieraliśmy rzeczy i poszliśmy jakieś dwa kilometry przez zadrzewione wzgórza w stronę autobusu. Przez całą drogę miałem niejasne odczucie, że zapomniałem czegoś powiedzieć lub coś zrobić – lub być może coś zostawiłem. Gdy autobus dowiózł nas na miejsce, odczucie to rozpłynęło się.

– Hej, Sokratesie, może poszlibyśmy jutro pobiegać? – zapytałem zanim wysiadł.

– Czemu nie? – odparł. – Spotkajmy się dziś wieczorem wpół do dwunastej na moście nad potokiem. Zrobimy sobie przyjemny, długi nocny bieg po leśnych ścieżkach.

Tej nocy była pełnia. Kiedy wbiegliśmy na ścieżki, księżyc rozświetlał srebrnym blaskiem szczyty drzew i krzewów. Znałem każdy krok dziesięciokilometrowej trasy i mogłem przebiec ją w kompletnej ciemności.

Po stromym podbiegu na niższej ścieżce moje ciało rozgrzało się. Wkrótce dotarliśmy do łącznika i ruszyliśmy w górę. To co wiele miesięcy temu wydawało się dla mnie górą, teraz ledwie wymagało wysiłku. Oddychając głęboko wystrzeliłem do przodu i pokrzykiwałem na Sokratesa wlokącego się z tyłu.

– Dalej, staruszku, złap mnie jeśli potrafisz! – wygłupiałem się. Na długim, prostym odcinku spojrzałem w tył spodziewając się

zobaczyć za sobą Sokratesa. Nie było go nigdzie widać. Zatrzymałem się chichocząc. Podejrzewałem podstęp. Dobra. Niech czeka na mnie i zastanawia się gdzie jestem. Usiadłem na skraju wzgórza i popatrzyłem na światła San Francisco migoczące w oddali.

Wtedy wiatr zaczai szeleścić liśćmi i nagle zrozumiałem, że dzieje się coś złego – bardzo złego. Poderwałem się i pognałem w dół ścieżki.

Znalazłem Sokratesa tuż za zakrętem. Leżał twarzą w dół na zimnej ziemi. Ukłęknąłem szybko, delikatnie odwróciłem go na plecy i trzymając na rękach przyłożyłem ucho do jego piersi. Jego serce nie biło.

– Mój Boże, o mój Boże – zawołałem w momencie, gdy w kanionie zawył wiatr.

Położyłem ciało Sokratesa na ziemi, przyłożyłem usta do jego ust i wdmuchnąłem powietrze w jego płuca. W coraz większej panice wściekle naciskałem klatkę piersiową.

W końcu już tylko szeptałem cicho do niego, tuląc jego głowę w swoich rękach.

– Sokratesie nie umieraj – proszę, Sokratesie.

To był mój pomysł, żeby biec. Przypomniałem sobie jak ciężko biegł do łącznika, jak dyszał. Gdyby tylko... Za późno. Przepełnił mnie gniew na niesprawiedliwość świata – czułem wściekłość większą niż kiedykolwiek w moim życiu.

– NIEEEEEEEEEE! – zawyłem, a mój pełen bólu krzyk odbijał się echem w kanionie, podrywając z gniazd śpiące ptaki.

Nie umrze – nie pozwolę mu! Czułem energię płynącą przez moje ramiona, nogi i klatkę piersiową. Dałbym mu to wszystko. Gdyby było trzeba, chętnie oddałbym mu własne życie.

– Sokratesie, żyj, żyj! – Chwyciłem rękami jego klatkę piersiową, wbijając palce w żebra. Czułem się pełen mocy, widziałem poświatę wokół własnych rąk. Potrząsałem nim, pragnąc aby serce zaczęło bić. – Sokratesie! – rozkazałem. – Żyj!

Ale nic to nie dawało, zupełnie nic. Niepewność wkradła się w mój umysł i załamałem się. To już koniec. Usiadłem nieruchomo, łzy płynęły mi po policzkach.

– Proszę – spojrzałem w górę na srebrne chmury przepływające przez księżyc. – Proszę – powiedziałem do Boga, którego nigdy nie widziałem. – Pozwól mu żyć.

W końcu przestałem walczyć, straciłem nadzieję. Był poza zasięgiem moich możliwości. Zawiodłem go.

Dwa małe króliki wyskoczyły z krzaków i przyglądały mi się. Zerkały na pozbawione życia ciało starego człowieka, które trzymałem czule w ramionach. I wtedy to poczułem – tę samą Obecność, którą czułem wiele miesięcy temu. Wypełniła moje ciało. Oddychałem Nią, a Ona oddychała przeze mnie.

– Proszę – powiedziałem po raz ostatni – zamiast niego weź mnie.

Mówiłem to serio. W tym momencie poczułem uderzenie pulsu na szyi Sokratesa. Szybko przyłożyłem głowę do jego piersi. Silne, rytmiczne bicie serca starego wojownika zadudniło mi w uszach. Wtłaczałem w niego powietrze, do czasu aż jego klatka piersiowa zaczęła unosić się i opadać samorzutnie.

Kiedy Sokrates otworzył oczy, zobaczył nad sobą moją twarz. Śmiałem się, płacząc cicho z wdzięczności, a światło księżyca otaczało nas srebrnym blaskiem. Króliki z błyszczącymi futerkami nadal nas obserwowały. Wtem, na dźwięk mojego głosu, umknęły w zarośla.

– Sokratesie, ty żyjesz!

– Widzę, że twoja spostrzegawczość jest jak zwykle ostra jak brzytwa – powiedział słabo.

Próbował wstać, ale był bardzo słaby i bolało go w piersi. Zarzuciłem go sobie na ramiona strażackim chwytem i poniosłem w kierunku końca ścieżek cztery kilometry dalej. Z laboratorium naukowego Laurence'a nocny stróż mógłby zadzwonić po ambulans.

Przez większość drogi Sokrates leżał cicho na moich barkach, a ja walczyłem ze zmęczeniem, pocąc się pod jego ciężarem. Od czasu do czasu odzywał się:

– To najlepszy sposób podróżowania – róbmy to częściej.

Lub:

– Hop siup.

Gdy Sokrates znalazł się w Szpitalu Herricka na oddziale intensywnej terapii, wróciłem do domu. Tej nocy sen powrócił. Śmierć sięgała po Sokratesa – obudziłem się z krzykiem.

Przez cały następny dzień siedziałem przy nim. Przez większość czasu spał, ale późnym popołudniem chciał porozmawiać.

– Dobra – co się stało?

– Znalazłem cię leżącego bez życia. Twoje serce przestało bić, nie oddychałeś. Ja... siłą swej woli przywróciłem ci życie.

– Przypomnij mi, żebym umieścił cię w testamencie. Co czułeś?

– To było dziwne, Sokratesie. Najpierw poczułem przepływ energii w ciele. Próbowałem dać ci ją. Już prawie poddałem się, gdy...

– Nigdy nie trać nadziei – powiedział.

– Sokratesie, nie żartuj sobie. To poważna sprawa!

– Mów dalej – słucham cię uważnie. Nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć jak ci poszło.

Uśmiechnąłem się.

– Dobrze wiesz jak mi poszło. Znowu zaczęło bić ci serce – ale dopiero wtedy, gdy już przestałem próbować. Obecność, którą już kiedyś czułem – to Ona spowodowała, że zaczęło bić ci serce.

– Czułeś]ą – pokiwał głową. To nie było pytanie, lecz stwierdzenie.

– Tak.

– To była dobra lekcja – powiedział, przeciągając się delikatnie.

– Lekcja! Miałeś atak serca i to miała być niezła lekcja dla mnie? Więc tak to widzisz?

– Tak – powiedział. – I mam nadzieję, że dobrze ją wykorzystasz. Bez względu na to, na jak silnych wyglądamy, zawsze mamy jakąś ukrytą słabość, która może być naszą ostateczną zgubą.

Zasady Gry: Każdej sile towarzyszy słabość – i odwrotnie. Nawet gdy byłem dzieckiem, serce zawsze stanowiło moją słabą stronę. Ty, drogi przyjacielu, masz inny “problem sercowy".

– Ja mam?

– Tak. Nie otworzyłeś jeszcze serca w naturalny sposób, aby wnieść do życia emocje, tak jak zrobiłeś to zeszłej nocy. Nauczyłeś się kontrolować ciało i nawet do pewnego stopnia umysł, ale twoje serce jeszcze się nie otworzyło. A twoim celem nie jest niewrażliwość, lecz przeciwnie – wrażliwość na świat, życie, a więc na Obecność, którą czułeś. Próbowałem pokazać ci na swoim własnym przykładzie, że życie wojownika nie polega na wyimaginowanej doskonałości czy zwycięstwach – polega na miłości. Miłość jest mieczem wojownika – gdziekolwiek on tnie, daje życie, nie śmierć.

– Sokratesie, opowiedz mi o miłości. Chciałbym to zrozumieć. Roześmiał się cicho.

– Nie można tego zrozumieć – można to jedynie poczuć.

– A więc jakie to odczucie?

– Sam widzisz – powiedział. – Chcesz z tego zrobić pojęcie mentalne. Po prostu zapomnij o sobie i czuj!

Spojrzałem na niego, zdając sobie sprawę z rozmiaru jego poświęcenia – jak ćwiczył ze mną, nigdy nie ociągając się, chociaż wiedział, że ma problem z sercem – wszystko to robił dla mnie. Moje oczy wypełniły się łzami.

– Czuję, Sokratesie...

– Bzdura! Żal to nie to.

Moje zawstydzenie zmieniło się we frustrację.

– Czasami potrafisz być denerwujący, ty stary czarodzieju! Czego ode mnie chcesz, krwi?

– Gniew to też nie to – powiedział teatralnym tonem, wskazując na mnie i wybałuszając oczy jak filmowy czarny charakter w starym stylu.

– Sokratesie, jesteś kompletnym wariatem – roześmiałem się.

– O to właśnie chodzi – śmiech to jest to!

Śmialiśmy się razem z rozkoszą. Potem on, chichocząc cicho, zasnął. Wyszedłem bezszelestnie.

Gdy odwiedziłem go następnego ranka, wyglądał na silniejszego. Od wejścia zarzuciłem go pytaniami.

– Sokratesie, dlaczego nalegałeś, żeby ze mną biegać, i dlaczego robiłeś wszystkie te skoki i wybicia, skoro wiedziałeś, że w każdej chwili możesz przypłacić to życiem?

– Czym się tu martwić? Lepiej jest żyć pełnią życia aż do śmierci. Jestem wojownikiem. Moją drogą jest działanie – powiedział. – Jestem nauczycielem. Uczę dając przykład. Może pewnego dnia ty również będziesz uczył innych, tak jak ci to pokazałem – wtedy zrozumiesz, że słowa nie wystarczą. Ty również będziesz musiał uczyć dając przykład i opierając się jedynie na własnych odkryciach i własnym doświadczeniu.

Wtedy opowiedział mi taką historyjkę:

Matka przyprowadziła swego syna do Mahatmy Gandhiego.

– Mahatma, proszę, powiedz mojemu synowi, żeby przestał jeść cukier – prosiła.

– Przyprowadź syna za dwa tygodnie – odparł Gandhi po chwili.

Zakłopotana kobieta podziękowała mu i powiedziała, że zrobi, jak jej powiedział.

Po dwóch tygodniach wróciła z synem. Gandhi popatrzył chłopcu w oczy i powiedział:

– Przestań jeść cukier.

Kobieta była wdzięczna, ale bardzo zdziwiona.

– Dlaczego za pierwszym razem kazałeś mi przyprowadzić go po dwóch tygodniach? – zapytała. – Mogłeś mu to samo powiedzieć wtedy.

– Dwa tygodnie temu sam jadłem cukier – odparł Gandhi.

Dan, bądź ucieleśnieniem tego, czego uczysz i ucz tylko tego, czego jesteś ucieleśnieniem.

– Czego innego mógłbym uczyć prócz gimnastyki?

– Gimnastyka wystarczy, pod warunkiem że używasz jej jako środka dla przekazania bardziej uniwersalnych lekcji – powiedział. – Szanuj innych. Daj im najpierw to, czego oni pragną, a być może w końcu paru z nich będzie chciało tego, co ty pragniesz im dać. Poprzestań na uczeniu przewrotów, dopóki ktoś nie poprosi cię o coś więcej.

– Skąd mam wiedzieć, że chcą czegoś więcej?

– Będziesz to wiedział.

– Ale Sokratesie, czy jesteś pewien, że moim przeznaczeniem jest bycie nauczycielem? Nie czuję się nim.

– Mam wrażenie, że zmierzasz w tym kierunku.

– Przypomniało mi to coś, o czym od długiego czasu chciałem z tobą porozmawiać. Często zdajesz się czytać w moich myślach i znać moją przyszłość. Czy pewnego dnia ja również będę miał tego rodzaju moce?

Słysząc to Sokrates wyciągnął rękę, włączył telewizor i zaczął oglądać film rysunkowy. Wyłączyłem go. Odwrócił się w moją stronę i westchnął.

– Miałem nadzieję, że całkowicie ominiesz jakąkolwiek fascynację mocami. Ale teraz, skoro to wyszło, możemy to załatwić. Dobra, co chcesz wiedzieć?

– Na początek weźmy przepowiadanie przyszłości. Zdaje się, że potrafisz to czasami robić.

– Odczytywanie przyszłości opiera się na realistycznym postrzeganiu teraźniejszości. Nie zajmuj się widzeniem przyszłości, dopóki nie zobaczysz wyraźnie teraźniejszości.

– No dobrze, a co z czytaniem myśli? – zapytałem.

– O co chodzi? – Sokrates westchnął.

– Zdaje się, że przeważnie potrafisz odczytywać moje myśli.

– Tak, istotnie – przyznał – na ogół wiem, co myślisz. Twoje “myśli" łatwo odczytać, ponieważ masz je wypisane na twarzy.

Zaczerwieniłem się.

– Rozumiesz, co mam na myśli? – zaśmiał się wskazując na moje zaróżowione policzki. – Nie trzeba być czarodziejem, żeby odczytywać myśli z twarzy. Pokerzyści robią to przez cały czas.

– Ale co z prawdziwymi mocami? Sokrates usiadł na łóżku.

– Szczególne moce faktycznie istnieją – powiedział. – Ale takie rzeczy dla wojownika są absolutnie bez znaczenia. Nie daj się omamić. Szczęście jest jedyną mocą jaka się liczy. A szczęścia nie można zdobyć, ono zdobywa ciebie – ale tylko wtedy, gdy zrezygnujesz ze wszystkiego innego.

Sokrates wyglądał na zmęczonego. Wpatrywał się we mnie przez chwilę, jakby podejmując decyzję. Potem przemówił głosem, który brzmiał łagodnie i stanowczo. Wypowiedział słowa, których lękałem się najbardziej.

– Jest dla mnie jasne, że nadal jesteś w sidłach, Dan – nadal szukasz szczęścia gdzieś indziej. Niech tak będzie. Będziesz szukał, aż zmęczysz się tym wszystkim. Masz teraz odejść na jakiś czas. Szukaj tego, co musisz znaleźć i ucz się tego, co się da. Potem zobaczymy.

– Ale... jak długo? – Mój głos drżał z emocji. Jego słowa wstrząsnęły mną.

– Dziewięć lub dziesięć lat powinno wystarczyć. Byłem przerażony.

– Sokratesie, tak naprawdę nie jestem zainteresowany mocami. Naprawdę rozumiem, co powiedziałeś. Proszę, pozwól mi zostać z tobą.

Zamknął oczy i westchnął.

– Mój młody przyjacielu, nie lękaj się. Twoja ścieżka cię poprowadzi – nie możesz zgubić drogi.

– Ale kiedy cię znowu zobaczę, Sokratesie?

– Kiedy skończysz szukać – kiedy naprawdę skończysz.

– Kiedy zostanę wojownikiem?

– Wojownikiem się nie zostaje, Dan. Albo w danym momencie nim jesteś, albo nie jesteś. Droga sama kreuje wojowników. A teraz musisz całkowicie o mnie zapomnieć. Idź i wróć promienny.

Przyzwyczaiłem się tak bardzo polegać na jego radach, na jego pewności. Wciąż drżąc odwróciłem się, podszedłem do drzwi i po raz ostatni popatrzyłem w jego błyszczące oczy.

– Zrobię wszystko, o co prosisz, Sokratesie – z wyjątkiem jednej rzeczy. Nigdy ciebie nie zapomnę.

Zszedłem po schodach, wyszedłem na ulicę i poszedłem krętymi uliczkami miasteczka uniwersyteckiego, zmierzając ku niepewnej przyszłości.

Postanowiłem przenieść się z powrotem do Los Angeles, mojego miasta rodzinnego. Wyprowadziłem starego valianta z garażu i spędziłem ostatni tydzień w Berkeley, przygotowując się do wyjazdu. Myśląc o Lindzie wszedłem do budki telefonicznej stojącej na rogu ulicy i wybrałem jej numer. Kiedy usłyszałem zaspany głos Lindy, wiedziałem co chcę zrobić.

– Kochanie, mam parę niespodzianek. Przeprowadzam się do Los Angeles. Czy przylecisz do Oakland jutro rano? Moglibyśmy pojechać razem na południe. Jest coś o czym musimy porozmawiać.

Po drugiej stronie zapanowała cisza.

– Och, bardzo bym chciała! Przylecę samolotem o ósmej. Mmm – dłuższa przerwa. – O czym chciałbyś porozmawiać, Danny?

– Jest coś, o co chciałbym zapytać cię osobiście, ale podpowiem ci: to dotyczy życia we dwoje, dzieci i budzenia się rano w objęciach. – Nastąpiła dłuższa przerwa. – Linda?

– Dan, nie mogę teraz rozmawiać – jej głos drżał. – Przylecę jutro rano.

– Spotkamy się na lotnisku. Cześć Linda.

– Cześć, Danny. – W słuchawce rozległo się brzęczenie. Przyjechałem na lotnisko kwadrans przed dziewiątą. Linda już tam była, jasnooka, piękna z oślepiająco rudymi włosami. Podbiegła do mnie śmiejąc się i zarzuciła mi ręce na szyję.

– Och, miło znów cię widzieć, Danny!

Czułem promieniujące ciepło jej ciała. Poszliśmy szybko na parking. Z początku trudno nam było znaleźć słowa.

W drodze powrotnej skręciłem w prawo do Tilden Park wjeżdżając na Inspiration Point. Zaplanowałem wszystko. Poprosiłem ją, aby usiadła na ogrodzeniu i już miałem zadać pytanie, kiedy ona zarzuciła mi ramiona na szyję i powiedziała:

– Tak! – i zaczęła płakać.

– Czy zapytałem o coś? – zażartowałem słabo.

Pobraliśmy się w Pałacu Ślubów Miasta Los Angeles. Była to piękna, rodzinna uroczystość. Część mnie była bardzo szczęśliwa, inna część była dziwnie przygnębiona. Przebudziłem się w środku nocy i na palcach cicho wyszedłem na balkon apartamentu, w którym spędzaliśmy noc poślubną. Płakałem bezgłośnie. Dlaczego czułem się tak jakbym coś stracił, jakbym zapomniał o czymś ważnym? To uczucie miało pozostać we mnie na zawsze.

Wkrótce wprowadziliśmy się do nowego mieszkania. Próbowałem szczęścia, sprzedając ubezpieczenia. Linda znalazła pracę na pół etatu w banku jako kasjerka. Żyliśmy wygodnie i spokojnie, ale byłem zbyt zajęty, aby poświęcać czas żonie. Późną nocą, gdy Linda spała, siadałem do medytacji. Wczesnym rankiem robiłem parę ćwiczeń. Niebawem jednak stałem się tak zapracowany, że nie starczało mi na nic czasu – cały mój trening i dyscyplina zaczęły zanikać.

Po sześciu miesiącach miałem dość pracy jako sprzedawca ubezpieczeń. Usiadłem z Linda i odbyłem z nią pierwszą od wielu tygodni dłuższą rozmowę.

– Kochanie, co sądzisz o powrocie do Północnej Karoliny i rozejrzeniu się za inną pracą?

– Jeśli tego właśnie chcesz, Dan, to dobrze. Poza tym dobrze byłoby być blisko moich rodziców. Kochają dzieci.

– Dzieci?

– Tak. Jak się czujesz w roli ojca?

– Masz na myśli dziecko? Twoje i moje? Dziecko? – Przytuliłem ją czule i trzymałem długo w ramionach.

W tej sytuacji nie stać mnie już było na żadne niewłaściwe posunięcia. Na drugi dzień, już w nowym miejscu, Linda poszła odwiedzić rodziców, a ja wyruszyłem szukać pracy. Od Hala, mojego byłego trenera, dowiedziałem się, że na Uniwersytecie Stanford poszukują kogoś na stanowisko trenera gimnastyki. Poszedłem na spotkanie w sprawie nowej pracy, po czym pojechałem do moich teściów, by opowiedzieć Lindzie nowiny. Kiedy wszedłem, powiedzieli mi, że dzwonił właśnie Prezes Związku Sportowego Stanford. Zaoferowano mi pracę trenera począwszy od września. Przyjąłem ją. Tak po prostu znalazłem pracę.

Pod koniec sierpnia urodziła się Holly, nasza śliczna córeczka. Przewiozłem cały nasz dobytek do Menlo Park, gdzie znaleźliśmy wygodne mieszkanie. Linda z dzieckiem przyleciały dwa tygodnie później. Przez jakiś czas byliśmy zadowoleni, ale wkrótce znowu pochłonęła mnie praca nad opracowaniem nowego, skutecznego programu gimnastycznego w Stanford. Każdego ranka biegałem wiele kilometrów po polach golfowych i często samotnie siedziałem nad brzegiem jeziora Lagunita. Ponownie moja uwaga i energia płynęły w wielu kierunkach, tylko nie w stronę Lindy.

Rok minął prawie niezauważalnie. Wszystko szło dobrze – nie mogłem zrozumieć uporczywego odczucia, że zgubiłem coś, dawno temu. Obrazy moich treningów z Sokratesem – bieganie po wzgórzach, dziwne ćwiczenia późną nocą, godziny rozmów, słuchania i obserwowania mojego tajemniczego nauczyciela – stały się wyblakłymi wspomnieniami.

Niedługo po naszej pierwszej rocznicy ślubu Linda powiedziała, że chciałaby abyśmy odwiedzili psychologa. Był to dla mnie ogromny szok, ponieważ stało się to właśnie wtedy, gdy czułem, że moglibyśmy odprężyć się i znaleźć więcej czasu dla siebie.

Psycholog pomógł, ale pomiędzy Lindą i mną pojawił się cień. A może był pomiędzy nami już od naszej nocy poślubnej. Linda ucichła i zrobiła się obca, wciągając Holly w swój własny świat. Codziennie wracałem z pracy do domu zupełnie wykończony, nie mając już sił dla żadnej z nich.

Podczas mojego trzeciego roku pobytu w Stanford uzyskałem posadę wychowawcy na terenie domu studenckiego. Dzięki temu Linda mogła być bliżej innych ludzi. Wkrótce okazało się, że ten krok pomógł, zwłaszcza w kontaktach Lindy z innymi ludźmi. Linda stworzyła swoje własne życie towarzyskie, a ja pozbyłem się ciężaru, którego nie potrafiłem lub nie chciałem udźwignąć. Wiosną trzeciego roku pobytu w Stanford zaczęliśmy żyć w separacji. Pogrążyłem się jeszcze głębiej w pracy i raz jeszcze zacząłem poszukiwania duchowe. Co rano siedziałem na sali z grupą zen. Wieczorami zacząłem studiować aikido. Czytałem coraz więcej, z nadzieją znalezienia jakiegoś klucza czy wskazówki lub też odpowiedzi na mój niezałatwiony problem.

Gdy zaoferowano mi stanowisko wykładowcy w Oberlin College w stanie Ohio, wyglądało to na drugą szansę dla nas. Ale gdy już tam byliśmy, pogrążyłem się w poszukiwanie szczęścia z jeszcze większą intensywnością. Poświęcałem jeszcze więcej czasu na uczenie gimnastyki. Zorganizowałem dwa kursy – “Kurs Rozwoju Psychofizycznego" i “Droga Miłującego Pokój Wojownika" – prezentujące pewne poglądy i umiejętności, których nauczyłem się od Sokratesa. Pod koniec pierwszego roku w nowym miejscu pracy otrzymałem specjalną nagrodę uniwersytetu, która pozwalała mi podróżować i prowadzić badania w wybranej dziedzinie.

Po małżeństwie pełnym problemów, Linda i ja rozeszliśmy się. Zostawiłem ją i moją córeczkę i wyruszyłem na swoje ostatnie – taką miałem nadzieję – poszukiwanie.

Odwiedziłem wiele miejsc na świecie – Hawaje, Japonię, Okinawę, Indie i wiele innych. Spotkałem tam niezwykłych nauczycieli, szkoły jogi, sztuk walki i szamanizmu. Doświadczyłem wiele, znalazłem wielką mądrość, ale nie znalazłem trwałego spokoju.

Gdy moje podróże zbliżały się ku końcowi, stałem się jeszcze bardziej zdesperowany. Postanowiłem doprowadzić do ostatecznej konfrontacji z pytaniami, które dźwięczały w moich uszach: Czym jest oświecenie? Kiedy odzyskam spokój? Sokrates mówił o tych sprawach, ale wtedy go nie słuchałem.

Kiedy przybyłem do wioski Cascais na wybrzeżu Portugalii, mojego ostatniego miejsca postoju w podróży, pytania na które wciąż nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi, paliły mnie jak ogień.

Pewnego poranka obudziłem się na opustoszałej plaży, na której biwakowałem przez parę dni. Spojrzałem na wodę. Przypływ zniszczył mój pracowicie wybudowany zamek z piasku i patyków.

Z jakiegoś powodu przypomniało mi to o mojej własnej śmierci i o tym, co Sokrates próbował mi przekazać. Fragmenty jego słów i gestów napływały do mnie, podobnie jak patyki z mojego zamku, które teraz bezładnie unosiły się na przybrzeżnych falach: “Pomyśl o umykających latach, Danny. Pewnego dnia odkryjesz, że śmierć nie jest taka, jak ją sobie wyobrażasz – ale przecież życie również

takie nie jest. Tak jedno, jak i drugie może być cudowne, pełne zmian – albo, jeśli się nie przebudzisz, zarówno życie, jak i śmierć będą wielkim rozczarowaniem."

Jego śmiech dźwięczał mi w głowie. Wtedy przypomniałem sobie pewne zdarzenie, które miało miejsce na stacji:

Byłem zaspany. W pewnym momencie Sokrates złapał mnie za ramiona i potrząsnął:

– Zbudź się! – zawołał. – Gdybyś wiedział, że umierasz na nieuleczalną chorobę, gdyby pozostało ci niewiele życia, zmarnowałbyś nawet te krótkie chwile! Mówię ci teraz, Dan: Ty umierasz na nieuleczalną chorobę, która nazywa się narodziny. Pozostało ci zaledwie parę lat życia. Tak jak wszystkim innym ludziom. Więc bądź szczęśliwy teraz, bez powodu – albo nie będziesz szczęśliwy nigdy.

Poczułem olbrzymią potrzebę, żeby gdzieś pójść, ale nie było dokąd. Tak więc pozostałem na miejscu, niczym przeszukiwacz plaży, i wciąż przeszukiwałem swój własny umysł. "Kim jestem?" – pytałem siebie. "Czym jest oświecenie?"

Dawno temu Sokrates powiedział mi, że nawet wojownicy nie wygrywają ze śmiercią – jedynie odkrywają Kim my wszyscy tak naprawdę jesteśmy.

Leżąc w słońcu rozmyślałem o obieraniu warstw cebuli w kantorze Sokratesa, żeby zobaczyć "kim jestem". Przypomniałem sobie bohatera powieści J. D. Salingera, który widząc kogoś pijącego mleko ze szklanki, powiedział: "Jest to jak przelewanie Boga w Boga, jeśli wiecie co mam na myśli."

Przypomniałem sobie też pewien sen Lao Tsy:

Lao Tsy zasnął i śnił, że jest motylem. Gdy się przebudził, zastanawiał się: "Czy jestem człowiekiem, który właśnie śnił, że jest motylem, czy też jestem motylem śniącym, że jest człowiekiem?"

Spacerowałem wzdłuż plaży śpiewając dziecięcą piosenkę:

Wiosłuj, wiosłuj, wiosłuj, płyń przez cały dzień. Wesoło, wesoło, wesoło, życie to tylko sen.

Pewnego razu, gdy po jednym z takich spacerów wróciłem do swojego obozowiska ukrytego pomiędzy skałami, sięgnąłem do plecaka i wyjąłem z niego starą książkę, którą kupiłem w Indiach. Było to nieudolne tłumaczenie na język angielski ludowych opowieści duchowych. Przerzuciwszy parę stron znalazłem opowieść na temat oświecenia:

Milarepa poszukiwał wszędzie oświecenia, ale nie mógł go znaleźć – aż pewnego dnia zobaczył starego człowieka, który szedł powoli górską ścieżką niosąc ciężki worek. Milarepa natychmiast poczuł, że ten stary człowiek zna tajemnicę, której on sam rozpaczliwie szukał przez wiele lat.

– Starcze, powiedz mi, proszę, czym jest oświecenie?

Starzec uśmiechnął się, zrzucił ciężki worek z pleców i wyprostował się.

– Tak, teraz wiem! – zawołał Milarepa – Jestem ci dozgonnie wdzięczny. Ale proszę, jeszcze jedno pytanie. Co jest po oświeceniu?

Starzec podniósł worek, zarzucił go sobie na barki, umocował i ciągle uśmiechając się, poszedł dalej ścieżką.

Tej samej nocy miałem taki sen:

Panuje ciemność. Jestem u podnóża wielkiej góry. Zaglądam pod wszystkie kamienie w poszukiwaniu cennego klejnotu. W dolinie panuje mrok, więc nie mogę go znaleźć.

Nagle spoglądam na jaśniejący szczyt góry. Jeżeli klejnot jest gdzieś, to na pewno tam, na szczycie. Wspinam się z uporem. Żmudna podróż zajmuje mi wiele lat. W końcu docieram do celu. Stoję skąpany w jasnym świetle.

Widzę teraz wszystko wyraźnie, ale klejnotu nie ma. Spoglądam na dolinę, skąd wiele lat temu rozpocząłem wspinaczkę. Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że klejnot zawsze był wewnątrz mnie, nawet wtedy, a światło świeciło przez cały czas. Tylko moje oczy były zamknięte.

Przebudziłem się w środku nocy. Świecił księżyc. Powietrze było ciepłe, a cały świat pogrążony w ciszy. Słychać było jedynie rytmiczny szum fal. Usłyszałem głos Sokratesa, ale wiedziałem, że było to tylko jeszcze jedno wspomnienie: "Oświecenie nie jest osiągnięciem, Dan – jest odkryciem. Kiedy się budzisz, wszystko się zmienia, a jednocześnie nic się nie zmienia. Jeśli ślepiec odkrywa, że może widzieć, to czy świat się zmienia?"

Siedziałem i obserwowałem światło księżyca migoczące na falach i pokrywające srebrem odległe góry. Co to było za powiedzenie o górach, rzekach i wielkim poszukiwaniu? Aha, przypomniałem sobie:

Na początku góry są górami, a rzeki rzekami. Potem góry nie są górami, a rzeki nie są rzekami. W końcu góry są górami, a rzeki rzekami.

Wstałem, zbiegłem plażą i zagłębiłem się w ciemnej toni oceanu. Wypłynąłem daleko poza fale przyboju. Przestałem poruszać rękami, kiedy nagle poczułem, że coś ociera się o mnie w czarnej głębi. Naraz dotarło do mnie: to była Śmierć.

Rzuciłem się dziko do brzegu i dysząc ciężko opadłem na mokry piasek. Mały krab przeszedł tuż przed moimi oczami i zakopał się w piasku, który momentalnie zmyła woda.

Wstałem, wytarłem się i ubrałem. Spakowałem się przy świetle księżyca. Zakładając plecak powiedziałem do siebie:

– Lepiej nigdy nie zaczynać, ale skoro już się zaczęło, lepiej skończyć.

Wiedziałem, że czas wracać do domu.

Kiedy samolot wylądował na pasie lotniska Hopkins w Cleveland, poczułem rosnący lęk. Co z moim małżeństwem? Co z moim życiem? Minęło ponad sześć lat. Czułem się starszy, ale wcale nie mądrzejszy. Co miałem powiedzieć żonie i córce? Czy zobaczę jeszcze kiedyś Sokratesa – a jeśli tak, to z czym mam do niego wrócić?

Linda i Holly czekały na mnie, gdy wysiadałem z samolotu. Holly podbiegła do mnie piszcząc z radości i uścisnęła mnie mocno. Moje powitanie z Lindą było ciepłe, ale pozbawione prawdziwej intymności, jak uścisk starych przyjaciół. Było jasne, że czas i przeżyte doświadczenia sprawiły, że nasze drogi rozeszły się.

Linda zawiozła mnie z lotniska do domu. Holly, szczęśliwa, spała na moich kolanach.

Dowiedziałem się, że podczas mojej nieobecności Linda nie była sama. Znalazła przyjaciół – i kogoś bliskiego. Tak się złożyło, że wkrótce po powrocie do Oberlin poznałem kogoś bardzo szczególnego – studentkę, przemiłą, młodą kobietę o imieniu Joyce. Miała krótkie, czarne włosy, śliczną twarz i promienny uśmiech. Była niska i pełna życia. Bardzo mi się podobała. Spędzaliśmy razem każdą wolną godzinę, spacerując i rozmawiając, przechadzając się po terenach szkółek leśnych, wokół spokojnych jezior. Potrafiłem z nią rozmawiać, tak jak nigdy nie rozmawiałem z Lindą – nie dlatego, że Linda mnie nie rozumiała, ale ponieważ jej ścieżki i zainteresowania były inne.

Wiosną Joyce zdała końcowe egzaminy. Chciała zostać ze mną, ale czułem się związany małżeństwem, więc ze smutkiem rozstaliśmy się. Wiedziałem, że nigdy jej nie zapomnę, ale moja rodzina była na pierwszym miejscu.

W połowie zimy Linda, Holly i ja przenieśliśmy się z powrotem do Północnej Karoliny. Wkrótce potem nasze małżeństwo skończyło się. Prawdopodobnie przyczyną było moje nadmierne zajmowanie się pracą i sobą, choć od początku wisiał nade mną smutny omen – ciągła, gnębiąca mnie wątpliwość i melancholia, które czułem podczas naszej pierwszej nocy, owa bolesna wątpliwość, to poczucie, że powinienem o czymś pamiętać, że wiele lat temu coś pozostawiłem. Jedynie gdy byłem z Joyce, czułem się od tego wolny.

Po rozwodzie Linda i Holly przeprowadziły się do pięknego, starego domu. Ja zatraciłem się w pracy ucząc gimnastyki i aikido w YMCA w Berkeley.

Bardzo mnie kusiło, aby złożyć wizytę na stacji benzynowej, ale nie mogłem tam iść bez pozwolenia Sokratesa. Poza tym – z czym miałem wrócić? Przez te wszystkie lata nie znalazłem nic, co mógłbym mu przedstawić.

Przeniosłem się do Palo Alto i mieszkałem tam samotnie. Byłem bardziej samotny niż kiedykolwiek przedtem. Myślałem często o Joyce, ale wiedziałem, że nie mam prawa do niej dzwonić. Nadal miałem jeszcze coś do ukończenia.

Na nowo zacząłem trening. Ćwiczyłem, czytałem, medytowałem i zadawałem sobie pytania, które wnikały we mnie coraz głębiej, niczym miecz. W przeciągu paru miesięcy poczułem się tak dobrze, jak nie czułem się już od lat. W tym okresie zacząłem pisać, kompletowałem notatki z moich spotkań z Sokratesem. Miałem nadzieję, że przegląd tego, co razem przeżyliśmy, da mi nowe wskazówki. Od czasu, gdy Sokrates odesłał mnie, nic się tak naprawdę nie zmieniło – a przynajmniej ja nie widziałem żadnej zmiany.

Pewnego ranka siedziałem na schodach mojego małego mieszkania, skąd roztaczał się widok na autostradę. Cofnąłem się myślami o osiem lat. Byłem głupcem i prawie zostałem wojownikiem. Wtedy Sokrates wysłał mnie w świat, żebym się uczył i znowu jestem głupcem.

Te osiem lat wydały się stracone. Tak więc siedziałem na schodach frontowych, gapiąc się ponad miastem na odległe góry. Nagle moja uwaga zawęziła się, a góry w oddali zaczęły połyskiwać lekko. Wiedziałem, co mam robić.

Sprzedałem cały niewielki dobytek jaki mi pozostał, założyłem plecak i autostopem pojechałem na południe w kierunku Fresno, a potem skierowałem się na wschód z góry Sierra Nevada. Było późne lato – dobry czas, by zagubić się w górach.

8. Brama otwiera się

Szedłem wąską ścieżką, gdzieś w pobliżu jeziora Edison. Zacząłem wędrówkę do miejsca, o którym kiedyś opowiadał Sokrates. Droga pięła się ciągle w górę, prowadząc w samo serce odludzia. Czułem, że tu, w górach, odnajdę odpowiedź – lub umrę. W pewnym sensie nie pomyliłem się ani co do jednego, ani co do drugiego.

Wędrowałem przez górskie łąki, pomiędzy granitowymi szczytami, krętymi ścieżkami, przez gęste sosnowe i świerkowe zagajniki, w głąb krainy wysoko położonych jezior, gdzie trudniej było spotkać człowieka niż pumę, jelenia, czy małe jaszczurki, które umykały pod kamienie, kiedy się zbliżałem.

Tuż przed zmierzchem rozbiłem obozowisko. Następnego dnia powędrowałem jeszcze wyżej, przez granitowe skały na granicy lasu. Wspinałem się na ogromne głazy, przemierzałem wąwozy i pokonywałem rozpadliny. Po południu zebrałem trochę jadalnych korzeni i jagód, i położyłem się przy krystalicznym źródełku. Chyba po raz pierwszy od wielu lat byłem zadowolony.

Pod wieczór schodziłem samotnie przez zacienione, gęste lasy, kierując się z powrotem ku głównemu obozowisku. Nazbierałem drewna na wieczorne ognisko, zjadłem jeszcze garść pożywienia i usiadłem pod wysoką sosną pogrążając się w medytacji, poddając się górom. Jeśli miały mi coś do zaoferowania, byłem gotów to przyjąć.

Po zapadnięciu zmroku siedziałem ogrzewając ręce i twarz przy trzaskającym ogniu, gdy nagle z ciemności wyłonił się Sokrates!

– Byłem w sąsiedztwie, więc pomyślałem, że wpadnę – powiedział.

Byłem zachwycony i ledwo wierzyłem własnym oczom. Uścisnąłem go i powaliłem na ziemię. Śmialiśmy się i tarzaliśmy w pyle. Potem otrzepawszy się nawzajem usiedliśmy przy ognisku.

– Prawie się nie zmieniłeś, stary wojowniku – powiedziałem. Sokrates postarzał się, ale jego szare oczy nadal błyszczały.

– Ty z kolei – uśmiechnął się, przyglądając mi się uważnie – wyglądasz na dużo starszego, ale na niewiele mądrzejszego. Powiedz mi, nauczyłeś się czegoś?

Westchnąłem wpatrując się w ogień.

– No cóż, nauczyłem się sam przyrządzać sobie herbatę. Postawiłem mały garnek z wodą na prowizorycznej kracie i

przyrządziłem aromatyczną herbatę, wsypując zioła, które tego dnia znalazłem po drodze. Nie spodziewałem się towarzystwa – wręczyłem Sokratesowi własny kubek, a sobie nalałem do małej miseczki. W końcu słowa popłynęły. Gdy mówiłem, rozpacz, którą powstrzymywałem przez tak długi czas, w końcu wylała się.

– Nie mam dla ciebie nic, Sokratesie. Nadal jestem zagubiony – i nie jestem ani trochę bliżej bramy niż wtedy, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Zawiodłem cię, a życie zawiodło mnie – życie złamało mi serce.

Tak! – wykrzyknął triumfalnie. – Twoje serce jest pęknięte, Dan – pęknięte, aby odsłonić bramę jaśniejącą wewnątrz. To jest jedyne miejsce, w którym jeszcze nie szukałeś. Otwórz oczy, pajacu – już prawie dotarłeś! Zmieszany i sfrustrowany siedziałem bezradnie.

– Jesteś już prawie gotów – uspokajał mnie Sokrates – jesteś bardzo blisko.

– Blisko czego? – złapałem się jego słów z nadzieją.

– Blisko końca.

Ciarki przeszły mi po plecach. Szybko wsunąłem się do mojego śpiwora, a Sokrates rozwinął swój. Ostatnią rzeczą jaką widziałem tego wieczoru były błyszczące oczy mojego nauczyciela, jakby patrzące przeze mnie, przez ogień, w inny świat.

Gdy pojawiły się pierwsze promienie słońca, Sokrates był już na nogach i siedział nad pobliskim strumieniem. Dołączyłem do niego siadając na chwilę w ciszy, wrzucając kamyki do płynącej wody i słuchając ich plusku. Milcząc Sokrates odwrócił się i obserwował mnie uważnie.

Tego wieczoru, po beztroskim dniu spacerów, pływania i wygrzewania się na słońcu, Sokrates powiedział, że chciałby usłyszeć wszystko co pamiętam ze swoich uczuć, od czasu gdy się ostatnio widzieliśmy. Mówiłem przez trzy dni i trzy noce – wyrzuciłem z siebie cały bagaż wspomnień. Przez cały ten czas Sokrates rzadko się odzywał, jedynie czasami zadawał krótkie pytanie.

Tuż po zachodzie słońca wskazał mi gestem, abym usiadł obok niego przy ognisku. Siedzieliśmy nieruchomo ze skrzyżowanymi nogami, stary wojownik i ja, wysoko w górach Sierra Nevada.

– Sokratesie, wszystkie moje złudzenia rozwiały się, ale zdaje się, że nie pozostało nic, co mogłoby je zastąpić. Pokazałeś mi daremność poszukiwań. Ale co z drogą miłującego pokój wojownika? Czyż nie jest to jakaś ścieżka poszukiwań?

Sokrates roześmiał się uradowany i poklepał mnie po ramieniu.

– Po tak długim czasie, w końcu wymyśliłeś jakieś sensowne pytanie! Ale odpowiedź masz tuż przed nosem. Przez cały czas pokazywałem ci drogę miłującego pokój wojownika, a nie drogę do zostania miłującym pokój wojownikiem. Dopóki kroczysz tą drogą, dopóty jesteś wojownikiem. W ciągu ostatnich ośmiu lat porzuciłeś “kurs wojownika" i musiałeś odnajdywać go od nowa. Ale droga jest tu i teraz – zawsze była.

– Co więc mam teraz robić? Dokąd mam pójść?

– A kogo to obchodzi? – wrzasnął radośnie. – Głupiec jest “szczęśliwy", kiedy jego pragnienia zostaną zaspokojone. Wojownik jest szczęśliwy bez żadnego powodu. To właściwie czyni szczęście najwyższą dyscypliną – przewyższającą wszystko inne, czego cię uczyłem.

Gdy wieczorem raz jeszcze wchodziliśmy w nasze śpiwory, twarz Sokratesa promieniała czerwonym blaskiem ogniska.

– Dan – powiedział cicho – to jest ostatnie zadanie, jakie ci daję, zadanie na zawsze: Zachowuj się jak człowiek szczęśliwy, czuj się szczęśliwy, bądź szczęśliwy, bez najmniejszego powodu. Wtedy będziesz mógł kochać i robić to, na co masz ochotę.

Robiłem się senny. Zamykając oczy powiedziałem cicho:

– Ale Sokratesie, pewne rzeczy i pewnych ludzi bardzo trudno kochać. Wydaje się niemożliwe, aby zawsze być szczęśliwym.

– Niemniej jednak, Dan, to właśnie znaczy być wojownikiem. Widzisz, nie mówię ci jak być szczęśliwym, po prostu mówię ci, byś był szczęśliwy.

Z tymi słowami zasnąłem.

Tuż po wschodzie słońca Sokrates zbudził mnie potrząsając mną lekko.

– Długa droga przed nami – powiedział.

Wkrótce wyruszyliśmy w wysokie góry. Jedyną oznaką wieku Sokratesa i jego słabego serca było powolne tempo z jakim się wspinał. Raz jeszcze przypomniała mi się słabość mojego nauczyciela i jego poświęcenie. Nigdy już nie potraktuję z lekceważeniem tego, co mi oferuje. Gdy wspinaliśmy się coraz wyżej, przypomniałem sobie pewną dziwną opowieść, którą dopiero teraz zrozumiałem.

Pewna święta kobieta szła skrajem urwiska. Kilkadziesiąt metrów poniżej zobaczyła nieżywą lwicę otoczoną przez zawodzące lwiątka. Bez wahania skoczyła w dół, aby miały coś do jedzenia.

Być może w innym miejscu, w innych okolicznościach, Sokrates zrobiłby to samo.

Wspinaliśmy się coraz wyżej, przeważnie w ciszy, poprzez rzadko zadrzewione skaliste tereny, a potem na szczyty ponad granicą lasu.

– Sokratesie, dokąd idziemy? – zapytałem, gdy usiedliśmy na krótki odpoczynek.

– Zmierzamy do specjalnego kopca, świętego miejsca, do najwyżej położonej wyżyny na przestrzeni wielu kilometrów. Było to cmentarzysko pewnego plemienia indiańskiego, tak małego, że w historii nie znalazła się żadna wzmianka o jego istnieniu, ale ludzie ci żyli i pracowali w samotności i spokoju.

– Skąd o tym wiesz?

– Moi przodkowie żyli pośród nich. Ruszajmy dalej. Musimy dotrzeć do wyżyny przed zmrokiem.

Starałem się w pełni zaufać Sokratesowi w tej sprawie – jednak miałem niejasne przeczucie, że jestem w śmiertelnym niebezpieczeństwie, i że on nie mówi mi wszystkiego.

Słońce było złowieszczo nisko, Sokrates przyspieszył kroku. Dyszeliśmy ciężko, przeskakując i wdrapując się z jednego ogromnego głazu na drugi, w głębokim cieniu. W pewnym momencie Sokrates zniknął w szczelinie pomiędzy dwoma głazami. Podążyłem za nim wąskim tunelem uformowanym przez ogromne skały, po czym znowu wyszliśmy na otwartą przestrzeń.

– W razie gdybyś wracał sam, musisz użyć tego przejścia – powiedział mi Sokrates. – Nie ma innej drogi.

Chciałem go o coś zapytać, ale uciszył mnie.

Światło dnia gasło, gdy pokonaliśmy ostatnie wzniesienie. Pod nami leżało zagłębienie w kształcie miski otoczone stromymi ścianami, teraz ukrytymi w cieniu. Zeszliśmy do zagłębienia, nad którym wznosił się postrzępiony szczyt.

– Czy jesteśmy już blisko cmentarzyska? – zapytałem nerwowo.

– Stoimy na nim – powiedział. – Stoimy pośród duchów starożytnego plemienia, plemienia wojowników.

Jakby na podkreślenie tych słów zerwał się wiatr. Dał się słyszeć najbardziej upiorny dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałem – niczym ludzkie jęki i zawodzenia.

– Co to u licha za wiatr?

Sokrates nie odpowiedział. Zatrzymał się przed czarnym otworem w skalnej ścianie.

– Wchodzimy – powiedział.

Mój instynkt jak oszalały sygnalizował niebezpieczeństwo, ale Sokrates już wszedł. Zapaliłem latarkę i za jej słabym światełkiem podążyłem w głąb jaskini, pozostawiając za sobą zawodzenie wiatru. Skaczący promień światła mojej latarki ukazywał otwory i szczeliny, których dna nie mogłem dostrzec.

– Sokratesie, nie chcę być pogrzebany tak głęboko pod górą.

Obrzucił mnie piorunującym spojrzeniem. Ulżyło mi, gdy zawrócił w stronę wyjścia. Nie miało to jednak większego znaczenia – na zewnątrz było tak samo ciemno jak wewnątrz. Rozbiliśmy obozowisko, a Sokrates wyjął z plecaka kilka małych kawałków drewna.

– Pomyślałem, że mogą się tutaj przydać – powiedział. Wkrótce zapłonął ogień. Gdy płomienie pożerały drewno, nasze

ciała rzucały dziwaczne, powykrzywiane cienie, które tańczyły dziko na ścianie jaskini przed nami.

– Te cienie w jaskini – powiedział Sokrates wskazując je – są podstawowymi obrazami iluzji i rzeczywistości, cierpienia i szczęścia. Oto stara opowieść przedstawiona przez Platona:

Kiedyś byli ludzie, którzy całe życie spędzali w Jaskini Iluzji. Minęło parę pokoleń i ludzie ci zaczęli wierzyć, że ich własne cienie, rzucane na ściany, są rzeczywistością. Jedynie mity i opowieści religijne mówiły o innej, świetlanej możliwości.

Przytłoczeni grą cieni, ludzie przywykli do swojej ciemnej rzeczywistości i zostali przez nią zniewoleni.

Wpatrywałem się w cienie i czułem ciepło ogniska na plecach.

– W całej historii, Dan – mówił dalej Sokrates – zdarzały się chwalebne wyjątki pośród więźniów Jaskini. Byli to ci, którzy zmęczyli się grą cieni, którzy zaczęli wątpić w jej prawdziwość, których nie zadowalały cienie, bez względu na to, jak wysoko podskakiwały. Stawali się oni poszukiwaczami światła. Nieliczni szczęśliwcy znajdowali przewodnika, który przygotowywał ich i zabierał poza wszelkie iluzje, do światła.

Urzeczony jego opowieścią, obserwowałem cienie tańczące w żółtym świetle na granitowych ścianach.

– Wszyscy ludzie świata, Dan – kontynuował Sokrates – uwięzieni są w Jaskini swoich własnych umysłów. Jedynie ci nieliczni wojownicy, którzy widzą światło, którzy potrafią wyrwać się n* wolność, porzucając wszystko inne, mogą śmiać się wieczności w nos. Tobie też się to uda, przyjacielu.

– Brzmi to nieosiągalnie, Sokratesie – i jakoś przerażająco.

– To, o czym mówię, jest poza poszukiwaniami i poza lękiem. Gdy już się przydarzy, zobaczysz, że jest jedynym, co oczywiste, proste, zwyczajne, przebudzone i szczęśliwe. Jest to jedyna rzeczywistość, która jest poza cieniami.

Siedzieliśmy w ciszy przerywanej jedynie trzaskaniem płonącego drewna. Obserwowałem Sokratesa, który jakby na coś czekał. Dręczyło mnie uczucie niepokoju, więc gdy blade światło świtu ukazało wyjście z jaskini, poczułem się lepiej.

Ale wtedy jaskinia znowu pogrążyła się w ciemności. Sokrates szybko wstał i skierował się do wyjścia. Trzymałem się tuż za jego plecami. Gdy znaleźliśmy się na zewnątrz, poczułem zapach ozonu. Czułem jak powietrze naładowane elektrycznością podnosi mi włosy na karku. Wtedy uderzył piorun.

Sokrates odwrócił się twarzą do mnie.

– Zostało niewiele czasu. Musisz uciekać do jaskini. Wieczność jest niedaleko stąd!

Błysnęło. Piorun uderzył w jedną ze skalnych ścian w oddali.

– Szybko! – ponaglił głosem jakiego nigdy wcześniej nie słyszałem.

Wtedy przyszło Odczucie – przeczucie, które nigdy się nie myliło – i szepnęło mi: "Uważaj – Śmierć się skrada."

Wtedy Sokrates przemówił ponownie. Jego głos brzmiał złowieszczo i przeraźliwie.

– Tu jest niebezpiecznie. Cofnij się w głąb jaskini. – Zacząłem szperać w plecaku szukając latarki, ale on warknął: – Ruszaj!

Wycofałem się w ciemność i przylgnąłem do ściany. Bojąc się oddychać, czekałem na Sokratesa, ale on zniknął.

Już miałem go zawołać, gdy nagle niemal straciłem przytomność. Coś z miażdżącą siłą, niczym imadło, złapało mnie za kark i powlokło w tył, w głąb jaskini.

– Sokratesie! – wrzasnąłem. – Sokratesie!

Uścisk na moim karku zwolnił się, ale wtedy poczułem jeszcze straszliwszy ból – coś miażdżyło mi głowę. Krzyknąłem raz, i jeszcze raz. Zanim moja czaszka rozpadła się pod wpływem potwornego ucisku, usłyszałem słowa – bez wątpienia głos Sokratesa:

– To jest twoja ostatnia podróż.

Wraz z potwornym trzaskiem ból zniknął. Zgiąłem się w pół i z głuchym odgłosem uderzyłem o dno jaskini. Błysnęło. W świetle błyskawicy ujrzałem nad sobą patrzącego na mnie Sokratesa. Wtedy usłyszałem grzmot dobiegający z innego świata. Wiedziałem, że umieram.

Jedna z moich nóg zwisała bezwładnie przez krawędź głębokiej dziury. Sokrates zepchnął mnie w dół, w przepaść. Spadałem odbijając się od skał, wpadając coraz głębiej w trzewia ziemi, a potem wypadłem na otwartą przestrzeń. Góra wyrzuciła mnie na światło dzienne. Moje pogruchotane ciało koziołkowano w dół, aż w końcu wylądowało na kupce liści na mokrej, zielonej łące daleko, daleko w dole.

Ciało było teraz połamanym, powykręcanym kawałem mięsa. Padlinożerne ptaki, gryzonie, owady i robaki żywiły się rozkładającym się ciałem, które, jak sobie kiedyś wyobrażałem, było "mną". Czas płynął coraz szybciej. Dni mijały błyskawicznie, a niebo coraz szybciej migotało na zmianę światłem i ciemnością, aż wszystko się rozmazało. Następnie dni przeszły w tygodnie, a tygodnie w miesiące.

Pory roku zmieniały się, a szczątki ciała zaczęły rozkładać się w glebie, użyźniając ją. Na krótki czas zimowe śniegi zakonserwowały kości, ale gdy pory roku zmieniały się coraz szybciej, nawet kości obróciły się w pył. Z pokarmu, jakiego dostarczało moje ciało, wyrastały kwiaty i drzewa, które potem również umierały na tej łące. W końcu nawet łąka zniknęła.

Stałem się częścią padlinożernych ptaków, które ucztowały na moim ciele, częścią owadów i gryzoni, jak też częścią polujących na nie drapieżników w wielkim cyklu życia i śmierci. Stałem się ich przodkami, aż w końcu oni również wrócili do ziemi.

Dan Millman, który żył dawno temu, odszedł na zawsze. Istniał tylko przez moment – ale “Ja" pozostało niezmienione przez wieki. Byłem teraz Sobą, Świadomością, która wszystko obserwowała, która była wszystkim. Wszystkie moje odrębne części będą istniały zawsze – zawsze zmieniając się, zawsze nowe.

Zdałem sobie teraz sprawę, że Ponura Kostucha, Śmierć, której Dan Millman tak się obawiał, była jego wielką iluzją. Także jego życie było iluzją, jedynie problemem, nie więcej niż zabawnym incydentem, kiedy Świadomość zapomniała o sobie samej.

Gdyby Dan żył nadal, nie przeszedłby przez bramę. Nie odkryłby swojej prawdziwej natury. Żyłby w śmiertelności i lęku, samotnie.

Ale “Ja" wiedziało. Gdyby tylko Dan wiedział to, co “Ja" wie teraz.

Leżałem na dnie jaskini uśmiechając się. Usiadłem i oparłem się o ścianę. Wpatrywałem się w ciemność z zaciekawieniem, ale bez lęku.

Moje oczy zaczęły przyzwyczajać się do ciemności. Ujrzałem siwowłosego starca, który siedział obok mnie uśmiechając się. A zatem, skądś sprzed tysięcy lat, wszystko powróciło do punktu wyjścia. Natychmiast posmutniałem z powodu powrotu do mojej śmiertelnej formy. Potem zdałem sobie sprawę, że to nie ma znaczenia – nic nie ma znaczenia!

Wydało mi się to bardzo śmieszne, podobnie jak wszystko inne. Zacząłem się śmiać. Spojrzałem na Sokratesa – nasze oczy błyszczały ekstatycznie. Wiedziałem, że on wie to samo, co ja. Skoczyłem ku niemu i uściskałem go. Tańczyliśmy wokół jaskini, śmiejąc się do rozpuku z mojej śmierci.

Potem spakowaliśmy się i wyruszyliśmy w drogę powrotną. Przeszliśmy wąskim tunelem, pokonaliśmy rozpadliny i zbocza pełne głazów, kierując się w stronę głównego obozowiska.

Nie mówiłem wiele, ale śmiałem się często, ponieważ za każdym razem, gdy spoglądałem wokoło – na ziemię, niebo, słońce, drzewa, jeziora, strumienie – pamiętałem, że wszystko to było Mną!

Przez wszystkie te lata Dan Millman dorastał, zmagając się, by “być kimś". I był kimś, kimś zamkniętym w lękliwym umyśle i śmiertelnym ciele.

Dobrze, pomyślałem, teraz znów gram Dana Millmana i równie dobrze mógłbym przywyknąć do tego na tych parę chwil wieczności, dopóki i one nie przeminą. Ale teraz wiem, że nie jestem tylko kawałkiem ciała – a ten sekret stanowi wielką różnicę!

Nie ma sposobu, aby opisać wpływ tej wiedzy. Po prostu byłem przebudzony.

I tak przebudziłem się do rzeczywistości, wolny od przywiązywania znaczenia do czegokolwiek, wolny od jakiegokolwiek poszukiwania. Bo czego tu poszukiwać? Wraz z moją śmiercią ożyły wszystkie słowa Sokratesa. To był paradoks tej sytuacji, humor i zarazem wielka zmiana. Wszystkie poszukiwania, wszystkie osiągnięcia, wszystkie cele były równie zabawne i równie niepotrzebne.

Energia płynęła przez moje ciało. Byłem przepełniony szczęściem i wybuchałem śmiechem. Był to śmiech człowieka szczęśliwego bez powodu.

I tak schodziliśmy w dół, minęliśmy wysoko położone jeziora, minęliśmy granicę drzew i weszliśmy w gęsty las, kierując się ku strumieniowi, gdzie biwakowaliśmy dwa dni – lub tysiąc lat – temu.

Tam, w górach, straciłem wszystkie swoje zasady, całą swoją moralność i cały swój lęk. Już nie miały na mnie wpływu. Jaka kara może mi grozić? Chociaż nie miałem żadnego kodeksu postępowania, to jednak czułem, co jest stosowne, co słuszne i czym jest miłość. Byłem zdolny do działania z miłością, i do niczego więcej. Jak powiedział Sokrates – cóż może dać większą moc?

Straciłem umysł i wpadłem we własne serce. W końcu brama otworzyła się i wpadłem przez nią śmiejąc się, ponieważ ona również była żartem. Była to brama bez bramy, kolejna iluzja, kolejne wyobrażenie, które Sokrates wplótł w strukturę mojej rzeczywistości, tak jak obiecał to dawno temu. W końcu ujrzałem to, co było do zobaczenia. Ścieżka będzie prowadziła dalej, bez końca – ale teraz była pełna światła.

Gdy doszliśmy do obozu, ściemniało się. Rozpaliliśmy ognisko, zjedliśmy mały posiłek złożony z suszonych owoców i ziaren słonecznika – resztę moich zapasów. Dopiero wtedy, gdy światło płomieni zamigotało na naszych twarzach, Sokrates przemówił.

– Wiesz, stracisz to.

– Stracę co?

– Swoją wizję. Jest rzadka – możliwa do uzyskania jedynie przy mało prawdopodobnym splocie okoliczności – ale jest doznaniem, więc ją stracisz.

– Być może to prawda, Sokratesie, ale kogo to obchodzi? – roześmiałem się. – Straciłem też swój umysł i nie wygląda na to, abym miał go gdzieś odnaleźć!

Uniósł brwi mile zaskoczony.

– Dobrze. W takim razie, wygląda na to, że skończyłem już pracę z tobą. Mój dług został spłacony.

– Ha! – uśmiechnąłem się. – Czy to znaczy, że to dzień mojego końcowego egzaminu?

– Nie, Dan, to dzień mojego końcowego egzaminu.

Wstał, założył plecak i odszedł wtapiając się w mrok.

Nadszedł czas powrotu na stację, tam gdzie wszystko się zaczęło. Miałem jakieś przeczucie, że Sokrates już tam jest i czeka na mnie. O świcie spakowałem plecak i ruszyłem w drogę powrotną.

Podróż zajęła mi parę dni. Złapałem samochód jadący do Fresno, potem podążyłem autostradą 101 do San Jose, aby w końcu dotrzeć do Palo Alto. Trudno było uwierzyć, że zaledwie parę tygodni wcześniej opuściłem mieszkanie jako beznadziejny “ktoś".

Rozpakowałem swoje rzeczy i pojechałem do Berkeley. Dojechałem do znajomych ulic o trzeciej po południu, na długo przed przyjściem Sokratesa na wieczorną zmianę. Zaparkowałem samochód na ulicy Piedmont i poszedłem na spacer przez miasteczko uniwersyteckie. Właśnie zaczęły się zajęcia i studenci zajęci byli byciem studentami. Przechadzałem się po Telegraph Avenue i obserwowałem sprzedawców doskonale odgrywających role sprzedawców. Wszędzie, gdzie byłem – w sklepach tekstylnych, w supermarketach, w kinach czy w salonach masażu – wszyscy doskonale byli tymi, za kogo się uważali.

Minąłem uniwersytet, potem Shattuck, szedłem ulicami jak szczęśliwy fantom, duch samego Buddy. Chciałem szeptać ludziom w uszy: “Zbudźcie się! Zbudźcie się! Wkrótce osoba, którą myślicie, że jesteście, umrze – a więc teraz obudźcie się i cieszcie się tą wiedzą: Nie ma potrzeby szukać – osiągnięcia prowadza donikąd. Nie robią żadnej różnicy, więc bądźcie szczęśliwi teraz! Mmiłość jest jedyną rzeczywistością świata, ponieważ wszystko jest Jednym. A jedynymi prawami są paradoks, humor i zmiana. Nie ma problemów, nigdy nie było i nigdy nie będzie. Porzućcie zmagania, odrzućcie swoje umysły, wyrzućcie troski i odprężcie się. Nie ma potrzeby opierać się życiu – po prostu starajcie się robić wszystko jak najlepiej. Otwórzcie oczy i zobaczcie, że jesteście czymś o wiele większym niż sobie wyobrażacie. Jesteście światem, jesteście wszechświatem – jesteście sobą, a także każda inna istota! Wszystko jest cudowna Boża Gra. Obudźcie się, odzyskajcie dobry humor. Nie martwcie się, po prostu bądźcie szczęśliwi. Jesteście już wolni!"

Chciałem mówić to każdemu, kogo spotkałem, ale gdybym to robił, ludzie mogliby mnie uznać za wariata lub wręcz za niebezpiecznego szaleńca. Wiedziałem czym jest mądrość milczenia.

Zamykano sklepy. Za parę godzin Sokrates miał przyjść na swoją zmianę. Pojechałem na wzgórza, zostawiłem samochód i usiadłem na krawędzi urwiska, skąd rozciągał się widok na Zatokę. Patrzyłem na San Francisco leżące w dali i na most Golden Gate. Czułem wszystko, ptaki w gniazdach w lasach Tiburon, Marin i Sausalito. Czułem życie miasta, obejmujących się kochanków, przestępców zajętych “robotą", ochotników społecznych dających z siebie wszystko. Wiedziałem, że wszystko to, co dobre i złe, wysokie i niskie, święte i bluźniercze, jest doskonałą częścią Gry. Wszyscy odgrywali swoje role tak dobrze! A ja byłem tym wszystkim, każdą cząstką. Sięgałem wzrokiem ku krańcom świata i kochałem to wszystko.

Zamknąłem oczy, by pomedytować, ale zdałem sobie sprawę, że medytuję teraz przez cały czas, z szeroko otwartymi oczami.

Po północy wjechałem na stację. Rozległ się dzwonek sygnalizujący moje przybycie. Z ciepło oświetlonego kantoru wyszedł mój przyjaciel, człowiek, który wyglądał jak krzepki pięćdziesięciolatek: szczupły, wyprostowany, pełen gracji.

Podszedł do samochodu od strony kierowcy i uśmiechając się zapytał:

– Nalać do pełna?

– Szczęście to pełen bak – odparłem i zawahałem się. Gdzie ja to słyszałem? Czy było coś, o czym powinienem był pamiętać?

Gdy Sokrates nalewał paliwo, ja myłem okna. Potem zaparkowałem samochód za stacją i po raz ostatni wszedłem do kantoru. Był dla mnie świętym miejscem – niezwykłą świątynią. Tego wieczoru pomieszczenie zdawało się być naładowane elektrycznością – coś się miało wydarzyć, ale nie miałem pojęcia co.

Sokrates sięgnął do szuflady i wręczył mi duży notes, popękany i wyschnięty ze starości. Wypełniały go bardzo staranne zapiski.

– To mój dziennik – zapiski mojego życia od czasu młodości. Odpowie ci na wszystkie pytania, na które nie uzyskałeś jeszcze odpowiedzi. Teraz jest twój, to prezent. Dałem już wszystko, co mogłem. Teraz twoja kolej. Moja praca skończona, ale ty nadal masz dużo do zrobienia.

– Co jeszcze pozostało do zrobienia? – zapytałem z uśmiechem.

– Będziesz pisał i będziesz uczył. Będziesz żył zwyczajnym życiem, ucząc się jak pozostać zwyczajnym w niespokojnym świecie, do którego w pewnym sensie już nie należysz. Pozostań zwyczajny, a może przydasz się innym.

Sokrates wstał z krzesła i starannie postawił swój kubek na stole, obok mojego. Spojrzałem na jego rękę. Błyszczała, jarzyła się jaśniej niż kiedykolwiek przedtem.

– Czuję się bardzo dziwnie – powiedział tonem wyrażającym zaskoczenie. – Chyba muszę iść.

– Czy mogę ci jakoś pomóc? – zapytałem myśląc, że ma kłopoty z żołądkiem.

– Nie. – Wpatrując się w przestrzeń przed sobą jakby nic dookoła nie istniało, Sokrates podszedł powoli do drzwi z napisem “Pomieszczenie prywatne", otworzył je i wszedł do środka.

Zastanawiałem się, czy nic mu się nie stało. Czułem, że czas, jaki wspólnie spędziliśmy w górach, wyczerpał go, chociaż jaśniał teraz jak jeszcze nigdy dotąd. Zachowanie Sokratesa jak zwykle nie miało dla mnie sensu.

Siedziałem na sofie i obserwowałem drzwi, czekając na jego powrót.

– Hej, Sokratesie, świecisz dzisiaj jak świetlik – zawołałem przez drzwi. – Zjadłeś na obiad węgorza elektrycznego? Muszę cię zabrać ze sobą na Boże Narodzenie – będziesz fantastyczną ozdobą na mojej choince.

Zdawało mi się, że przez szczelinę pod drzwiami widzę błysk światła. No cóż, przepalona żarówka szybciej go stamtąd wygoni.

– Sokratesie, zamierzasz tam spędzić cały wieczór? Myślałem, że wojownicy nie dostają zatwardzenia.

Minęło pięć minut, potem dziesięć. Siedziałem trzymając w rękach jego cenny dziennik. Zawołałem go, potem jeszcze raz zawołałem, ale odpowiadała mi cisza. Nagle zrozumiałem – to było niemożliwe, ale wiedziałem, że to się stało.

Zerwałem się, podbiegłem do drzwi i pchnąłem je tak mocno, że uderzyły w pokrytą kafelkami ścianę z metalicznym łoskotem, który zadudnił echem w pustej łazience. Przypomniałem sobie błysk światła sprzed paru minut. Sokrates jarząc się wszedł do łazienki i zniknął.

Stałem tam przez długi czas, aż usłyszałem znajomy dźwięk dzwonka, a potem trąbienie klaksonu. Wyszedłem na zewnątrz i mechanicznie zatankowałem samochód, wziąłem pieniądze i wydałem resztę z własnego portfela. Gdy wróciłem do kantoru, zauważyłem, że nawet nie założyłem butów. Zacząłem się śmiać. Mój śmiech stał się histeryczny, po czym ucichł. Ponownie usiadłem na sofie, na starym meksykańskim kocu, teraz już mocno zniszczonym, rozpadającym się. Rozejrzałem się po pomieszczeniu, popatrzyłem na żółty dywan, wyblakły od starości, na stare biurko z drewna orzecha włoskiego i na zbiornik na wodę. Zobaczyłem dwa kubki – mój i Sokratesa – wciąż stojące na biurku, i w końcu popatrzyłem na jego puste krzesło.

Potem przemówiłem do niego. Gdziekolwiek był ten przewrotny stary wojownik, ja miałem ostatnie słowo.

– Cóż, Sokratesie, oto jestem. Pomiędzy przeszłością i przyszłością, unosząc się między niebem i ziemią. Cóż mogę powiedzieć? Dziękuję ci, mój nauczycielu, moja inspiracjo, mój przyjacielu. Będzie mi ciebie brakowało. Żegnaj.

Po raz ostatni wyszedłem ze stacji, czując jedynie zdumienie. Wiedziałem, że tak naprawdę nie straciłem go. Tyle lat zajęło mi, by zobaczyć to, co było oczywiste – to, że Sokrates i ja nigdy nie byliśmy różni. Przez cały ten czas byliśmy jednym i tym samym.

Poszedłem ścieżkami miasteczka uniwersyteckiego, przez strumień i przez cieniste zagajniki, w stronę miasta – zmierzając dalej Drogą, drogą prowadzącą do domu.

Epilog
Śmiech na wietrze.

Przeszedłem przez bramę. Zobaczyłem, co było do zobaczenia, uświadamiając sobie, tam wysoko w górach, swoją prawdziwą naturę. Jednak, tak jak starzec, który zarzucił ciężar z powrotem na plecy i poszedł dalej, wiedziałem, że chociaż wszystko się zmieniło, tak naprawdę nic się nie zmieniło.

Nadal żyłem zwyczajnym ludzkim życiem, mając zwyczajne ludzkie obowiązki. Musiałem przystosować się do szczęśliwego, pożytecznego życia w świecie, w którym obrazą był każdy, kogo nie interesowały już poszukiwania ani problemy. Jak się przekonałem, człowiek szczęśliwy bez powodu, potrafi nieźle działać ludziom na nerwy! Wiele razy zdarzało mi się zazdrościć mnichom, którzy znajdują schronienie w odległych jaskiniach. Ale ja już byłem w swojej jaskini. Mój czas otrzymywania skończył się – teraz nadszedł czas dawania.

Przeniosłem się z Palo Alto do San Francisco i zacząłem pracować jako malarz pokojowy. Gdy tylko zamieszkałem w nowym domu, zająłem się pewną niedokończoną sprawą. Nie rozmawiałem z Joyce od czasu pobytu w Oberlin. Znalazłem numer jej telefonu w New Jersey i zadzwoniłem.

– Dan, co za niespodzianka! Jak ci leci?

– Bardzo dobrze, Joyce. Dużo ostatnio przeżyłem. Po drugiej stronie zapanowało milczenie.

– A jak się czuje twoja córka – i żona?

– Linda i Holly mają się dobrze. Rozwiodłem się z Lindą jakiś czas temu.

– Dan – znowu zamilkła – dlaczego dzwonisz? Wziąłem głęboki oddech.

– Joyce, chciałbym żebyś przyjechała do Kalifornii i zamieszkała ze mną. Zyskałem pewność co do siebie, co do nas. Jest tu mnóstwo miejsca...

– Dan – roześmiała się Joyce. – Posuwasz się, jak na mnie, o wiele za szybko! Kiedy, twoim zdaniem, powinna nastąpić ta mała zmiana?

– Zaraz lub gdy tylko będziesz mogła. Joyce, tyle mam ci do powiedzenia – rzeczy których nigdy nikomu nie mówiłem. Trzymałem je w sobie tak długo. Zadzwonisz do mnie, gdy tylko się zdecydujesz?

– Dan, jesteś tego pewien?

– Tak, wierz mi. Co wieczór będę czekał na twój telefon. Mniej więcej po dwóch tygodniach, około siódmej wieczorem, odebrałem telefon.

– Joyce!

– Dzwonię z lotniska.

– Z lotniska Newark? Wylatujesz? Lecisz do mnie? – Z San Francisco. Właśnie przyleciałam.

– Z lotniska w San Francisco? – przez chwilę nie rozumiałem.

– Tak – roześmiała się. – Znasz ten pas startowy na południu miasta? Tak? Przyjedziesz po mnie, czy mam łapać okazję?

Przez następne dni spędzaliśmy każdą wolną chwilę razem. Porzuciłem pracę malarza i uczyłem gimnastyki na małej sali w San Francisco. Opowiedziałem jej o swoim życiu, większość z tego co tu napisałem, i wszystko o Sokratesie. Słuchała mnie z przejęciem.

– Wiesz, Dan, kiedy opowiadasz mi o tym człowieku, mam takie dziwne wrażenie, jakbym go znała.

– Wszystko jest możliwe – roześmiałem się.

– Nie, naprawdę. Tak jakbym go znała! Nigdy ci nie mówiłam, Danny, że opuściłam dom rodzinny tuż przed rozpoczęciem szkoły średniej.

– No cóż – odparłem. – To dość rzadkie, ale nie takie znowu dziwne.

– Dziwną rzeczą jest to, że zupełnie nie pamiętam lat pomiędzy opuszczeniem domu i rozpoczęciem studiów w Oberlin. I to jeszcze nie wszystko. W Oberlin, zanim cię poznałam, miałam sny, bardzo dziwne sny, o kimś podobnym do ciebie – i o siwowłosym starcu! A moi rodzice – moi rodzice, Danny... – jej wielkie, błyszczące oczy otworzyły się szeroko i wypełniły łzami – ...moi rodzice zawsze nazywali mnie... – Chwyciłem ją za ramiona i spojrzałem jej w oczy. W następnej chwili, jak pod wpływem impulsu elektrycznego, jakieś miejsce w naszej pamięci otworzyło się, kiedy powiedziała: – ...nazywali mnie Joy.

Pobraliśmy się otoczeni przyjaciółmi, w górach Kalifornii. Dałbym wiele, aby móc tę chwilę dzielić z człowiekiem, któremu oboje zawdzięczaliśmy to wszystko. Wtedy przypomniałem sobie wizytówkę, którą mi kiedyś dał – tę, której miałem użyć, gdybym naprawdę go potrzebował. Pomyślałem, że nadeszła właśnie odpowiednia chwila.

Wymknąłem się na chwilę, przeszedłem przez drogę w stronę niewielkiej hałdy ziemi, z której rozciągał się widok na lasy i wzgórza. Znajdował się tam ogród, w którym rósł samotny wiąz, prawie całkowicie porośnięty winoroślą. Sięgnąłem do portfela i wyjąłem z niego wizytówkę ukrytą pośród innych kartek. Była pozaginana, ale wciąż lśniła.

Firma: Wojownik
Właściciel: Sokrates
Specjalizacja: Paradoks, humor i zmiana
Tylko nagłe potrzeby!

Wziąłem ją w obie dłonie i powiedziałem cicho:

– No, Sokratesie, stary czarodzieju. Pokaż co potrafisz. Odwiedź nas, Sokratesie!

Poczekałem i spróbowałem jeszcze raz. Nic się nie wydarzyło. Absolutnie nic. Przez chwilę powiał wiatr – i to było wszystko.

Moje rozczarowanie zaskoczyło mnie. Miałem cichą nadzieję, że jednak Sokrates jakoś wróci. Ale nie wrócił – ani teraz, ani już nigdy nie wróci. Opuściłem ręce i pochyliłem głowę.

– Żegnaj, Sokratesie. Żegnaj, przyjacielu.

Otworzyłem portfel, by schować z powrotem wizytówkę i ponownie spojrzałem na nią. Zmieniła się! W miejscu “Tylko nagłe potrzeby!" widniało teraz tylko jedno słowo, lśniące bardziej niż pozostałe: “Szczęście". To był jego prezent ślubny.

W tym momencie poczułem ciepły wietrzyk, który musnął moją twarz, rozczochrał włosy, a spadający z wiązu liść uderzył mnie lekko w policzek.

Podniosłem głowę, śmiejąc się głośno. Spojrzałem w górę poprzez rozłożyste gałęzie wiązu, na chmury płynące leniwie po niebie. Patrzyłem ponad kamiennym murem na domy rozrzucone w dole, w zielonym lesie. Wiatr powiał jeszcze raz, a samotny ptak wzbił się w powietrze nade mną.

Wtedy poczułem prawdę tej chwili. Sokrates nie przyszedł, ponieważ nigdy nie odszedł. Jedynie zmienił się. Był teraz wiązem nade mną, był chmurami i ptakiem, i wiatrem. One zawsze będą moimi nauczycielami, moimi przyjaciółmi.

Zanim wróciłem do żony, do domu, przyjaciół i do mojej przyszłości, spojrzałem raz jeszcze na świat wokół mnie. Sokrates był tam. Był wszędzie.

Zapraszamy do odwiedzenia stron internetowych Miłującego Pokój Wojownika (Peaceful Warrior Web Site):

http://www.danmillman.com

Znajdują się tam informacje na temat Dana Millmana, jego wykładów i treningów, książek i kaset jak również odpowiedzi na najczęściej zadawane pytania.

Adres do korespondecji:

Peaceful Warrior
P.O. Box 6148
San Rafael, CA 94903
Phone: (415) 491–0301